

**Philip K. Dick**

**Inna Ziemia**

*(The Crack In Space)*

*Przekład Marta Koźbiał*

Para młodych ludzi, czarnowłosych, o ciemnej skórze, Meksykanów lub Portorykańczyków, stanęła zdenerwowana przed ladą Herba Lackmore'a. Chłopak odezwał się niskim głosem:

– Proszę pana, chcemy zostać uśpieni.

Lackmore wstał od biurka i podszedł do lady. Nie lubił kolorowych. Zdawało się, że z każdym miesiącem coraz więcej ich schodzi się do jego oaklandzkiego biura, filii Departamentu Dobra Publicznego. Zdobył się jednak na uprzejmy ton, obliczony na wzbudzenie zaufania tej dwójki.

– Czy starannie przemyśleliście tę decyzję, moi drodzy? To odważny krok. Możecie wypaść z gry na jakieś sto lat. Radziliście się profesjonalisty?

Chłopak przełknął ślinę i, patrząc na żonę, mruknął:

– Nie, proszę pana. Sami o tym zdecydowaliśmy. Żadne z nas nie może dostać pracy i pewnie już niebawem wyrzucą nas z mieszkania. Nie mamy pojazdu, a bez tego ani rusz, nawet pracy nie ma jak szukać.

Chłopak, mniej więcej osiemnastolatek, wyglądał nieźle, jak zauważył Lackmore. Ubrany był w płaszcz i wojskowe spodnie. Dziewczyna, dość niska, długowłosa, miała czarne błyszczące oczy i delikatnie zarysowaną, niemal dziecinną twarzyczkę. Nie przestawała obserwować swego męża.

– Spodziewam się dziecka – wyrzuciła z siebie niespodziewanie.

– A niech to! – zaklął Lackmore z niesmakiem. – Wynoście się stąd natychmiast!

Schyliwszy głowy w poczuciu winy, chłopak i jego żona odwrócili się z zamiarem opuszczenia biura w ten wczesny poranek. Za chwilę mieli się znaleźć z powrotem na ruchliwej ulicy centrum Oakland.

– Idźcie do konsultanta aborcyjnego! – zawołał za nimi zirytowany Lackmore.

Pomagał im z obrzydzeniem. Najwyraźniej jednak ktoś musiał to zrobić z uwagi na kłopoty, w jakie popadło tych dwoje. Oczywiście było bowiem, że żyją z rządowej renty wojskowej. Cięża dziewczyny oznaczałaby automatyczne odebranie renty.

Szarpiąc z zażenowaniem rękaw pomiętego płaszcza, chłopak spytał:

– Jak możemy znaleźć konsultanta aborcyjnego, proszę pana?

Ta ignorancja ciemnoskórych! Nie były jej w stanie zaradzić nawet nieustanne akcje edukacyjne organizowane przez rząd. Nic dziwnego, że kobiety wszystkich kolorowych nader często zachodziły w ciążę.

– Zerknijcie do książki telefonicznej – powiedział Lackmore. – Pod „aborcja” lub „terapia”. Potem poszukajcie podrozdziału „porady”. Rozumiecie?

– Tak, proszę pana, dziękujemy. – Chłopak skwapliwie pokiwał głową.

– Umiecie czytać?

– Tak. Ja chodziłem do szkoły do trzynastego roku życia odparł młodzieniec z dumą, a jego czarne oczy zabłyśły.

Lackmore powrócił do czytania gazety; nie zamierzał poświęcać więcej czasu za darmo. Nie ulegało wątpliwości, że ta para pragnęła zostać uśpiona. Byłaby zakonserwowana w rządowym magazynie, niezmiennie rok za rokiem, dopóki... Ale czy sytuacja rynku pracy kiedykolwiek się poprawi? Lackmore bardzo w to wątpił, a żył na tym świecie wystarczająco długo, żeby trafnie ocenić rzeczywistość – miał już dziewięćdziesiąt pięć lat, był członem starej daty. Zdążył uśpić tysiące ludzi, większość z nich młodych, jak ta para przed chwilą, i... ciemnoskórych. Drzwi biura zatrzasnęły się. Młoda para zniknęła równie cicho, jak się wcześniej zjawiała.

Westchnąwszy, Lackmore ponownie zabrał się do czytania artykułu na temat procesu rozwodowego Lurtona D. Sandsa Juniora. Było to obecnie najbardziej sensacyjne wydarzenie. Jak zwykle pochłaniał tekst chciwie, słowo po słowie.

Dzień zaczął się dla Dariusa Pethela wideotelefonami od zirytowanych klientów wypytyjących, dlaczego ich Jiffi-scuttlerzy nie zostały jeszcze naprawione. Jak zawsze Pethel uspokajał rozmówców, mając jedynie nadzieję, że Erickson zgłosił się już do pracy w dziale naprawczym Pethel Jiffi-scuttler Sprzedaż i Serwis.

Po zakończeniu rozmów telefonicznych Pethel zaczął wertować strony aktualnego numeru „Kuriera biznesu”. Był zawsze na bieżąco z wszelkimi nowinkami ekonomicznymi. Oprócz zaawansowanego wieku i dobrej pozycji finansowej to jedno wynosiło go ponad pracowników.

– Co nowego? – zapytał jego sprzedawca Stu Hadley, stając w drzwiach z magnetyczną miotłą w ręku.

Pethel cichym głosem odczytał nagłówek:

## EFEKTY POLITYKI RASOWEJ SPOŁECZEŃSTWO CZARNEGO PREZYDENTA

Dalej widniał trójwymiarowy wizerunek Jamesa Briskina. Kiedy Pethel nacisnął przycisk poniżej, podobizna ożyła. Kandydat Briskin uśmiechnął się. Ocienione wąsami wargi Murzyna drgnęły, a wtedy nad jego głową pojawił się balon wypełniony słowami, które wypowiadał:

„Moim pierwszym zadaniem będzie znalezienie rozsądnego rozwiązania kwestii milionów uśpionych”.

– I rzucenie ich wszystkich, co do jednego, z powrotem na rynek pracy – zamruczał ze złością Pethel, puszczając przycisk.

Ale to było nieuniknione. Wcześniej czy później musiały nastąpić czasy czarnego prezydenta.

W końcu od wydarzeń 1993 roku kolorowych zrobiło się więcej niż polityków.

Pethel w ponurym nastroju przerzucił parę stron gazety, aby poznać najnowsze szczegóły skandalu Lurtona Sandsa. To mogło być coś, co poprawiłoby mu humor, zepsuty wiadomościami ze świata polityki. Rzecz dotyczyła sensacyjnego procesu rozwodowego między sławnym transplantologiem a jego równie słynną żoną Myrą, konsultantką aborcyjną. Wszelkiego rodzaju pikantne szczegóły zaczynały wychodzić na jaw, przy czym obie strony oskarżały się nawzajem. Według homeogazety doktor Sands miał kochankę; dlatego też Myra natychmiast wyniosła się z domu, i słusznie zrobiła. Pethel pomyślał, że sprawy wyglądają zupełnie inaczej niż za czasów jego młodości w ostatnich latach dwudziestego wieku. Teraz był rok 2080 i poziom moralności, zarówno publicznej jak i prywatnej, uległ znacznemu spadkowi.

Jak doktor Sands mógł chcieć kochanki – zastanawiał się Pethel – kiedy każdego dnia nad jego głową przelatuje satelita Złote Wrota Chwil Rozkoszy? Mówią, że jest tam do wyboru pięć tysięcy dziewcząt.

Pethel sam nigdy nie odwiedzał satelity Thisbe Olt. Nie popierał takich rzeczy, zresztą jak wiele osób w jego wieku. To było zbyt radykalne rozwiązanie problemu przeludnienia. W siedemdziesiątym drugim roku seniorzy poprzez listy i telegramy wywalczyli przywrócenie tej sprawy pod obrady Kongresu. Ale przedstawiony projekt ustawy przebrzmiał bez echa... Prawdopodobnie, jak sądził Pethel, stało się tak dlatego, że większość kongresmenów sama miała ochotę wziąć powietrzną taksówkę i udać się na satelitę.

– Jeśli my, biali, będziemy się trzymać razem... – zaczął Hadley.

– Posłuchaj – przerwał mu Pethel. – Te czasy już minęły. Jeśli Briskin wie, co zrobić z uśpionymi, niech zdobędzie władzę. Ja osobiście nie mogę spać po nocach, myśląc o tych wszystkich ludziach, przeważnie dzieciakach jeszcze, zalegających rok po roku w rządowych magazynach. Spójrz, jak wiele talentów idzie w ten sposób na marne. To czysta... biurokracja! Tylko skrajnie socjalistyczny rząd wymyśliłby podobne rozwiązanie! – Spojrzał surowo na sprzedawcę. – Gdybyś nie dostał pracy u mnie, też mógłbyś...

Hadley przerwał mu cicho:

– Ale ja jestem biały.

Czytając dalej, Pethel dowiedział się, że w dwa tysiące siedemdziesiątym dziewiątym roku satelita Thisbe Olt zarobiła w sumie miliard dolarów amerykańskich.

– Nieźle – zauważył. – To już wielki biznes.

Przed nim widniała podobizna Thisbe; z kadmowobiałymi włosami i drobnym, wysokim, stożkowatym biustem przedstawiała wspaniały widok, zarówno ze względów estetycznych jak i erotycznych. Na wizerunku widniejącym w gazecie Thisbe podawała gościom gorzką tequilę z dodatkiem ziół podniecających, gdyż serwowanie samej tequili było przez długi czas zabronione na Ziemi.

Pethel wcisnął przycisk pod podobizną i oczy Thisbe natychmiast zaczęły się skrzyć. Kobieta odwróciła głowę, a jej jędrny biust zafalował powoli. W balonie nad głową piękności formowały się słowa:

„Kłopotliwe wewnętrzne pragnienia, panie biznesmenie? Zrób to, co poleca wielu lekarzy: odwiedź moje Złote Wrota!”

To było zwykłe ogłoszenie, jak odkrył Pethel, nie zaś tekst informacyjny.

– Przepraszam.

Jakiś mężczyzna wszedł do sklepu. Hedley ruszył w jego kierunku.

O, Boże!, pomyślał Pethel, rozpoznawszy klienta. Czyżbyśmy jeszcze nie naprawili jego scuttlera?

Podniósł się z krzesła, wiedząc, że nikt poza nim samym nie zdoła uspokoić tego człowieka. Był to bowiem doktor Lurton Sands, który z powodu ostatnich domowych kłopotów stał się niezwykle wymagający i porywczy.

– Słucham, panie doktorze – odezwał się Pethel, podchodząc do klienta. – Co mogę dla pana dzisiaj zrobić?

Tak jakby nie wiedział. Doktor Sands miał wystarczająco dużo problemów: walka z Myrą, utrzymywanie kochanki, Cally Vale; Jiffi-scuttler był mu naprawdę potrzebny. Tego klienta nie dało się, jak każdego innego, po prostu odprawić z kwitkiem.

Skubiąc w zamyśleniu sumiaste wąsy, kandydat na prezydenta, Jim Briskin, powiedział ostrożnie:

– Znaleźliśmy się w dołku, Sal. Muszę cię zwolnić. Próbujesz mi wyłożyć rację kolorowych, chociaż wiesz, że dwadzieścia lat grałem według zasad białych. Szczerze mówiąc myślę, że więcej szczęścia będziemy mieli szukając poparcia u białych, nie u ciemnoskórych. To do nich się przyzwyczaiłem; wiem, jak się do nich odwołać.

– Mylisz się, Jim – powiedział Salisbury Heim, menedżer Briskina do spraw kampanii. – Posłuchaj mnie uważnie. Tym, do kogo masz się odwoływać, jest śmiertelnie przerażony kolorowy dzieciak i jego żona. Dla nich jedyną perspektywą jest uspienie się i wpakowanie do jednego z rządowych magazynów. Chcą być „nabici w butelkę”, jak to oni mówią. W tobie ci ludzie widzą...

– Ale ja czuję się winny.

– Dlaczego? – nastawał Sal Heim.

– Bo jestem fałszywką. Nie mogę zamknąć Departamentu Dobra Publicznego, dobrze o tym wiesz. Dałem słowo i od tego czasu pocę się bez przerwy, próbując wykombinować jakiś sposób. Ale nic z tego. – Spojrzał na zegarek; do przemówienia pozostał kwadrans. – Czytałeś mowę, którą napisał dla mnie Phil Danville?

Sięgnął do przeładowanej kieszeni płaszcza.

– Danville! – Heim wykrzywił twarz. – Myślałem, że się go pozbyłeś. Pokaż mi to.

Chwytał złożone kartki i zaczął je przeglądać.

– Danville to kretyn. Spójrz!

Machnął pierwszą kartką przed nosem Briskina.

– Według niego zamierzasz zakazać ruchu między Stanami a satelitą Thisbe. To szaleństwo! Jeśli Złote Wrota zostaną zamknięte, liczba urodzeń skoczy do poprzedniego poziomu. I co wtedy? Jak Danville chce rozwiązać ten problem?

Po chwili milczenia Briskin powiedział:

– Złote Wrota są niemoralne.

– Jasne. A zwierzęta powinny nosić gacie – odparował Heim.

– Musi istnieć rozwiązanie lepsze niż satelita.

Heim zagłębił się w dalszą lekturę przemówienia.

– On chce, żebyś poparł tę staromodną, zupełnie zdyskredytowaną technikę nawadniania planety Bruno Miniego – odezwał się po chwili, po czym rzucił papiery Jimowi Briskinowi na kolana. – Więc co w końcu zamierzasz? Jeżeli będziesz za przywróceniem wypróbowanego dwadzieścia lat temu i porzuconego już planu kolonizacji planety i zamknięciem Złotych Wrót, po dzisiejszym wieczorze niewątpliwie zyskasz popularność. Pytanie tylko: u kogo. Powiedz mi, proszę, do kogo będziesz kierował swoje słowa? – Zamilkł czekając na odpowiedź.

Zapadła cisza.

– Wiesz, co ja myślę? – podjął Heim. – To jest twoja wyszukana metoda, aby się poddać, posłać wszystko do diabła. W ten sposób chcesz uniknąć odpowiedzialności. Próbowaleś już tak zrobić na zjeździe, wygłaszając szaloną mowę nadającą się na dzień Sądu Ostatecznego. I ta twoja odmienność, która do dziś wszystkich wprawia w zakłopotanie. Na szczęście byłeś już mianowany. Zjazd nie mógł cię odwołać.

– W tej przemowie wyraziłem swoje szczerze przekonania – odezwał się Briskin.

– Co? Naprawdę sądzisz, że społeczeństwo jest skończone z powodu przeludnienia? To przekonanie w sam raz dla pierwszego w historii kolorowego prezydenta!

Heim podniósł się i podszedł do okna. Patrzył na centrum Filadelfii, na lądujące transportery odrzutowe, sznury samochodów i szeregi pieszych pojawiających się i znikających we wszystkich wieżowcach jak okiem sięgnąć.

– Tak sobie myślę – powiedział Heim niskim głosem – że czujesz, iż to społeczeństwo jest skończone, bo nominowało Murzyna i możliwe, że teraz wybierze go na swego prezydenta; w ten sposób sam siebie pomniejszasz.

– Nie – odparł Briskin spokojnie; jego pociągła twarz pozostała niewzruszona.

– Powiem ci, o czym będzie twoje dzisiejsze przemówienie – odezwał się Heim, wciąż

zwrócony plecami do Briskina. – Najpierw jeszcze raz wyjaśnisz swoje powiązania z Frankiem Woodbine'em, bo ludzie przepadają za badaczami kosmosu. Woodbine jest bohaterem o wiele większym niż ty, czy tamten, jak go tam zwa – twój rywal. Przedstawiciel SRCD.

– William Schwarz.

Heim ostentacyjnie skinął głową.

– Tak, właśnie. Kiedy już, więc nabzdurzysz o Woodbinie i pokażemy kilka fotek z wami dwoma na różnych planetach, opowiesz kawał o doktorze Sandsie.

– Nie – zaoponował Briskin.

– Dlaczego nie? Czy on jest świętą krową? Nie wolno go tknąć?

Jim Briskin odpowiedział powoli, starannie dobierając słowa:

– Sands jest wspaniałym lekarzem i nie powinien być ośmieszany przez media, jak to się dzieje obecnie.

– Pewnie w ostatniej chwili znalazł dla twojego brata świeżą, nowiutką wątrobę do przeszczepu. Albo uratował matkę, kiedy już...

– Sands ocalił setki, tysiące istnień ludzkich. W tym mnóstwo kolorowych, nie bacząc na zapłatę. – Briskin zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Chociaż miałem też okazję spotkać jego żonę. Nie przypadła mi do gustu. Udałem się do niej wiele lat temu; pewna dziewczyna zaszła ze mną w ciążę i potrzebowaliśmy porady aborcyjnej.

– Świetnie! – rzucił gwałtownie Heim. – Możemy to wykorzystać. Dziewczyna zaszła przez ciebie w ciążę. Powiemy o tym, kiedy Nonovulid będzie zadawał pytania. Widać od razu, że jesteś typem przezornego człowieka, Jim. – Heim uderzył dłonią w czoło. – Myślisz naprzód.

– Zostało pięć minut – stwierdził Briskin lakonicznie. Pozbierał kartki z przemówieniem Phila Danville'a i wrzucił je z powrotem do kieszeni płaszcza. Wciąż, nawet w upalne dni, nosił ciemny garnitur. To, zarówno jak flamingowoczerwona peruka, było jego wizytówką jeszcze kiedy robił za klauna w telewizyjnych wiadomościach.

– Jeśli wygłosisz jego mowę, jesteś skończony politycznie – zawyrokował Heim. – A jeśli...

Przerwał. Drzwi do pokoju otwarły się i stanęła w nich żona Heima, Patrycja.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała – ale wasze krzyki doskonale słychać na zewnątrz.

Heim przelotnie zerknął na ogromny salon za plecami żony. Pomieszczenie wypełnione było nastoletnimi zwolennikami Briskina, wolontariuszami przybyłymi ze wszystkich stron kraju, by wesprzeć wybór kandydata Liberalno-Republikańskiego.

– Przepraszam – wymamrotał Heim.

Kobieta weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Myślę, że Jim ma rację, Sal.

Pat, drobna, o wdzięcznych kształtach, niegdyś tancerka, usiadła z gracją i zapaliła

papierosa.

– Im bardziej Jim pokaże się jako osoba naiwna, tym lepiej. – Wypuściła kłęb siwego dymu spomiędzy bladych warg. – Wciąż ciągnie się za nim reputacja cynika. On natomiast powinien okazać się drugim Wendellem Wilkiem.

– Wilkie przegrał – zauważył Heim.

– I Jim może przegrać – powiedziała Pat, potrząsając głową, aby odgarnąć długie włosy z oczu. – Wtedy będzie kandydował po raz kolejny i wygra. Rzecz w tym, żeby zaprezentował się jako wrażliwa i niewinna osoba, biorąca na własne barki wszystkie cierpienia tego świata po prostu dlatego, że taki już jest. Nic nie może na to poradzić; musi cierpieć. Rozumiesz?

– Amatorszczyzna – skwitował Heim, mrużąc z niezadowoleniem.

Mijały sekundy, kamery stały bezużyteczne, ale przygotowane do pracy. Właśnie nadszedł czas przemówienia. Jim Briskin zasiadł przy małym biurku, przy tym co zawsze, ilekroć zwracał się do publiczności. Przed nim w zasięgu ręki leżała mowa Phila Danville'a. Usiadł w zamyśleniu, podobnie jak operatorzy telewizyjni przygotowani już do nagrania.

Przemówienie miało być nadane do satelitarnej stacji transmisyjnej Partii Liberalno-Republikańskiej, a stamtąd wielokrotnie retransmitowane aż do momentu przesycenia. Konserwatywnym Demokratom prawdopodobnie nie uda się zagłuszyć przekazu z powodu ogromnej siły sygnału satelity L-R. Przemówienie dotrze do celu pomimo Aktu Tompkinsa zezwalającego na zagłuszanie politycznych transmisji. Jednocześnie przesyłanie wystąpienia Schwarza będzie również zakłócanie; zaplanowano, że obie mowy zostaną wygłoszone w tym samym czasie.

Naprzeciw Briskina, pogrążona w nerwowej introspekcji, siedziała Patrycja Heim. W pokoju kontrolnym Jim dostrzegł Sala razem z inżynierami zajętego sprawdzaniem poprawności nagrania.

Z dala od wszystkich, w rogu, siedział Phil Danville. Nikt z nim nie rozmawiał; różne osobistości wchodziły i wychodziły ze studia, najwyraźniej zupełnie ignorując obecność twórcy przemówienia.

Technik skinął głową w stronę Jima na znak, że pora zaczynać.

– W dzisiejszych czasach – powiedział do kamery Jim – bardzo popularne stało się wyśmiewanie starych mrzonek i planów kolonizacji planetarnej. Jak ludzie mogli być tak nierozsądni, próbując żyć w kompletnie nieludzkich warunkach... w świecie nigdy nie przewidzianym dla *homo sapiens*. Zabawne też, że przez dziesiątki lat starali się przystosować te obce środowiska do swoich potrzeb i... oczywiście ponieśli fiasko – mówił powoli, cedząc słowa; wiedział, że uwaga odbiorców jest skupiona na nim i postanowił to wykorzystać. – Teraz więc poszukujemy gotowej dla nas planety, drugiej Wenus, a dokładniej tego, czym Wenus nigdy nawet nie była. Jaką mieliśmy nadzieję, że będzie: bujna, wilgotna i zielona, jak Eden,



tylko czekająca aż ją odkryjemy.

Patrycja Heim w zamyśleniu paliła papierosa El Producto Alta, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z mówcy.

– Cóż – ciągnął Jim Briskin – nigdy czegoś takiego nie znajdziemy. A nawet jeśli, to już będzie za późno; miejsce okaże się bowiem zbyt małe i zbyt odległe. Jeśli chcemy nowej Wenus, planety, którą moglibyśmy skolonizować, musimy sami ją stworzyć. Możemy śmiać się do rozpuku z Bruno Miniego, ale pozostaje faktem, że miał rację.

Z pokoju obserwacyjnego Sal Heim przyglądał się Briskinowi z narastającym bólem. A jednak Jim zrobił to. Poparł dawno zarzucony projekt Bruno Miniego przeobrażania środowiska innych planet. Szaleństwo wróciło.

Kamera zgasła.

Odwracając głowę, Jim Briskin pochwyił wzrokiem wyraz twarzy Sala Heima. Nagranie zostało przerwane; Sal wydał takie zarządzenie.

– Nie zamierzasz dać mi skończyć? – spytał Jim. Głos Sala zagrzmiął przez wzmacniacze:

– Nie, do jasnej cholery!

Pat rzuciła podnosząc się z krzesła:

– Musisz, on jest kandydatem. Jeśli sam chce siebie pograć...

Danville, również wstając, odezwał się schrypniętym głosem:

– Jeśli wyłączysz go ponownie, rozpowiem o wszystkim publicznie. Rozgłoszę, jak się nim posługujesz niczym marionetką!

Zdecydowanie ruszył w kierunku wyjścia. Najwyraźniej mówił serio.

– Lepiej to włącz, Sal. Oni mają rację; musisz pozwolić mi mówić – wtrącił Briskin.

Nie czuł złości, był tylko zniecierpliwiony. W tej chwili pragnął jedynie kontynuować przemówienie.

– No, Sal – rzekł cicho. – Czekam.

W pokoju kontrolnym członkowie partii zaczęli prowadzić naradę z Salem Heimem.

– Podda się – powiedziała Pat do Jima Briskina. – Znam Sala. – Twarz kobiety nie wyrażała żadnych emocji. Nie podobała się Patrycji ta sytuacja, ale zamierzała jakoś to znieść.

– Racja – przyznał Jim, kiwając głową.

– Ale obejrzyś nagranie, Jim? – spytała. – Oddaj tę przysługę Salowi. Żeby było wiadomo, że naprawdę myślisz to, co powiedziałaś.

– Jasne – odparł Jim. I tak zamierzał to zrobić. Z głośnika zagrzmiął głos Sala Heima:

– Niech cię szlag, Jim, ty czarnuchu!

Jim Briskin z uśmiechem siedział w oczekiwaniu przy biurku z rękoma splecionymi na piersiach.

Czerwone światło głównej kamery zapaliło się ponownie.



Po przemówieniu rzeczniczka prasowa Jima Briskina, Dorothy Gill, pochwyciła swego przełożonego w korytarzu.

– Panie Briskin, prosił mnie pan wczoraj, abym się dowiedziała, czy Bruno Mini jeszcze żyje. Otóż tak, choć nie ma się zbyt dobrze. – Panna Gill spojrzała w notatki. – Jest sprzedawcą w przedsiębiorstwie zajmującym się handlem suszonymi owocami w Sacramento, w Kalifornii. Najwyraźniej Mini zupełnie zarzucił pomysł nawadniania planet, ale pańska mowa prawdopodobnie pozwoli mu wrócić na stare podwórko.

– Nie jestem pewien – powiedział Briskin. – Może mu się nie spodobać fakt, że jakiś kolorowy podchwycił i rozpowszechnia jego ideę. Dziękuję, Dorothy.

Koło Briskina pojawił się Sal Heim i, potrząsając głową, stwierdził:

– Jim, nie masz za grosz politycznego wyczucia.

– Może i racja – odpowiedział Briskin, wzruszając ramionami. Był w tej chwili nastrojony biernie i nieco depresyjnie. Tak czy inaczej, mowa została nagrana i właśnie przesyłano ją do satelity L-R. Stosunek Briskina do całej sytuacji stał się w najlepszym wypadku obojętny.

– Słyszałem, co powiedziała Dotty – odezwał się Sal. – Teraz wyjdzie na jaw prawdziwa natura Miniego. Będziemy go tu mieli, obok innych problemów, z którymi się borykamy. A tak w ogóle, co powiesz na drinka?

– Nie mam nic przeciwko – zareagował Jim. – Prowadź!

– Mogę się dołączyć? – spytała Patrycja, stając obok męża.

– Jasne – odparł Sal, po czym otoczył ją ramionami i uściskał. – Dobry, wysokiej klasy drink, z cudownie odświeżającymi maleńkimi bąbelkami. Dokładnie to, co lubią kobiety.

Kiedy wyszli na chodnik, Jim Briskin ujrzał dwóch demonstrantów; nieśli transparenty, które głośno:

**POZOSTAWCIE BIAŁY DOM BIAŁYM!**

**TRZYMAJMY AMERYKĘ W CZYSTOŚCI!**

Demonstranci, obaj z elity, gapili się na niego, a Sal z Patrycja przyglądali się manifestującym mężczyznom. Nikt się nie odzywał. Paru fotoreporterów pstrykało zdjęcia. Lampy błyskowe przez moment silnie oświetlały tę niemą scenę. Sal i Patrycja, a za nimi Jim Briskin, ruszyli do przodu. Demonstranci kontynuowali marsz w tę i z powrotem.

– Skurczybyki – skwitowała Pat, kiedy zasiedli przy ławie w koktajlbarze naprzeciw studia TV.

– Takie ich powołanie – powiedział Jim Briskin. – Najwidoczniej zostali stworzeni przez Boga właśnie w tym celu.

Osobiście nie przejmował się demonstracjami. W tej czy innej formie, były nieodłączną

częścią jego życia.

– Schwarz zgodził się przecież nie podejmować w wyborach tematu religii i pochodzenia – nie ustępowała Pat.

– Bill Schwarz, owszem – odparł Jim Briskin. – Ale Verne Engel nie. A to on przewodzi Partii Czystości.

– Wiem akurat cholernie dobrze, że SRCD płaci ciężkie pieniądze, by utrzymać Czystościowców w stanie płynności finansowej – wymamrotał Sal. – Inaczej padliby w ciągu jednego dnia.

– Nie zgadzam się z tobą – zaproponował Briskin. – Według mnie zawsze pojawi się wrogo nastawiona organizacja, jak Czystościowcy, i znajdą się ludzie, którzy ją poprą.

Bądź co bądź Czystościowcy mieli konkretny postulat; nie chcieli czarnego prezydenta. Ich prawo, jedni podzielali to zdanie, inni nie; zupełnie naturalna sytuacja.

„Dlaczego mielibyśmy udawać – zapytywał siebie Briskin – że nie istnieje problem rasy? Owszem, istnieje. Ja jestem czarny. Verne Engel ma rację”.

Pozostawało pytanie: jak duży procent elektoratu popierał punkt widzenia Czystościowców. Z pewnością Czystościowcy nie zranili jego uczuć. Nie byli zdolni tego uczynić; zbyt wiele doświadczył w ciągu lat bycia klaunem w wiadomościach.

„W ciągu lat bycia amerykańskim czarnuchem – myślał gorzko”.

Mały chłopiec, biały, pojawił się obok ławy z długopisem i notesem w ręku.

– Panie Briskin, czy mogę prosić o autograf?

Jim złożył podpis i chłopak popędził z powrotem do rodziców, stojących w drzwiach baru. Para – młoda, dobrze ubrana, najwyraźniej z wyższych sfer – radośnie pomachała kandydatowi.

– Jesteśmy z tobą! – zawołał mężczyzna.

– Dzięki – odparł Jim, kiwając ku nim głową i bezskutecznie próbując być równie pogodny jak oni.

– Masz niezły humor – podsumowała Pat. Przytaknął w milczeniu.

– Pomyśl o tych wszystkich ludziach z różowiotkobiłą skórą, którzy zamierzają oddać głos na kolorowego – odezwał się Sal. – To naprawdę mobilizujące. Dowodzi, że nie każdy z nas, białych, jest aż tak zły.

– Czy kiedykolwiek powiedziałem coś takiego? – zapytał Jim.

– Nie, ale w głębi duszy tak uważasz. W rzeczywistości nie ufasz żadnemu z nas.

– Skąd wyssałeś te brednie? – pytał Jim, rozłoszczony nie na żarty.

– Co mi zrobisz? – odparował Sal. – Potniesz mnie magnetycznym ostrzem elektrograficznym?

Pat odezwała się gwałtownie:

– Co ty wyprawiasz, Sal? Dlaczego zwracasz się do Jima w ten sposób? – Rozejrzała się

nerwowo wokół. – A jeśli ktoś podsłuchuje?

– Próbuje wyrwać go z depresji – powiedział Sal. – Nie lubię patrzeć, jak się poddaje. Ci demonstranci zmartwili go, ale on nie zdaje sobie z tego sprawy. – Rzucił okiem na Jima. – Słyszałem wiele razy, jak mówisz: „Nie można mnie zranić”. Jasne, że można do diabła. Właśnie zostałeś zraniony. Chcesz, żeby wszyscy cię kochali, biali, czy kolorowi. Przede wszystkim nie wiem, jak dostałeś się do polityki. Powinieneś pozostać klaunem, bawiącym starych i młodych. Szczególnie bardzo młodych.

– Chcę pomóc ludzkości – odparł Jim.

– Zmieniając ekologię planet? Mówisz serio?

– Jeśli zdobędę stanowisko, mianuję Bruno Miniego dyrektorem programu kosmicznego, nawet bez uprzedniego wspólnego spotkania. Zamierzam dać Miniemu szansę, jakiej oni nigdy mu nie dali. Nawet, kiedy...

– Jeśli cię wybiorą, będziesz mógł ułaskawić doktora Sandsa – wtrąciła się Pat.

– Ułaskawić? – Spojrzał na nią zbity z tropu. – On nie ma procesu, on się rozwodzi.

– Nie słyszałeś pogłosek? – spytała zdziwiona Pat. – Jego żona chce odgrzebać sprawę jakiegoś wykroczenia, które kiedyś popełnił. W ten sposób załatwi Sandsa i otrzyma cały ich wspólny majątek. Nikt jeszcze nie wie, o co chodzi, ale pani Sands dała do zrozumienia, że...

– Nie chcę o tym słyszeć – zaprotestował Briskin.

– Masz rację – rzekła z namysłem Pat. – Rozwód Sandsa staje się coraz bardziej drażliwym tematem; mogłoby się obrócić przeciw tobie, jeśli byś o nim wspomniał tak, jak chce Sal. Kochanka, Cally Vale, zniknęła. Nawet krążą pogłoski, że została zamordowana. Może kierujesz się dobrym wyczuciem i wcale nas nie potrzebujesz, Jim.

– Potrzebuję – zaprotestował znowu Briskin. – Ale nie po to, żebyście mnie płątali w matrymonialne problemy doktora Sandsa.

Umilkł i zaczął powoli sączyć drinka.

Rick Erickson, mechanik firmy Pethel Jiffi-scuttler Sprzedaż i Serwis, zapalił papierosa, uporządkował warsztat, po czym popchnął kościstymi kolanami stół naprawczy. Na blacie leżał główny napęd uszkodzonego Jiffi-scuttlera, pojazdu doktora Lurtona Sandsa.

W Jiffi-scuttlerach zawsze występowały jakieś defekty. Prototypowy model wprowadzony do obiegu zwyczajnie się popsuł. Było to wiele lat temu, ale scuttlerzy niewiele się zmieniły od tamtego czasu.

Zgodnie z historią, pierwszy wadliwy scuttler należał do Henry'ego Ellisa zatrudnionego w Biurze Rozwoju Ziemi. Los chciał, że Ellis nie zgłosił wady swoim pracodawcom... o ile Rick dobrze pamiętał. Wszystko to działo się przed jego urodzeniem, ale mit przetrwał do obecnych czasów. Niesamowita i wręcz niewiarygodna legenda, a jednak wciąż żywa wśród naprawiaczy

scuttlerów, mówiła, że przez usterkę swojego scuttlera Ellis znalazł się w czasach biblijnych.

U podstaw działania scuttlerów leżała ograniczona możliwość podróży w czasie. Na tubie scuttlera, jak głosiła legenda, Ellis znalazł jakby nieco przetarte błyszczące miejsce, przez które wyraźnie było widać inną rzeczywistość. Nachylił się i ujrzał zgromadzenie drobnych osóbek. Istotki paplały jedna przez drugą, wierząc się w swoim światku tuż pod ścianą tuby.

Kim były? Z początku Ellis tego nie wiedział, ale mimo to zaangażował się w wymianę handlową z tymi ludzikami. Przyjmował od nich kartki, zdumiewająco małe i cienkie, na których widniały pytania. Zapisane kawałeczki papieru przekazywał ekipie dekodującej języki w Biurze RZ. Następnie, kiedy już pytania drobnych ludzi zostały przetłumaczone, wprowadzał je do jednego z wielkich komputerów korporacji, aby na nie odpowiedział. Potem raz jeszcze udawał się do Departamentu Językowego i nareszcie, już pod koniec dnia, wracał do tuby Jiffi-scuttlera, by drobnym ludziom wręczyć odpowiedzi w ich własnym języku.

Jeśli się w to wierzyło, należało przyznać, że Ellis był człowiekiem niezwykle uczynnym.

Tak czy inaczej, Ellis przypuszczał, że drobni ludzie reprezentowali rasę pozaziemską, zamieszkującą miniaturową planetę w zupełnie innym systemie. Mylił się. Według legendy pochodzili oni z przeszłości; ich pismem był naturalnie starożytny hebrajski. Rick nie miał pojęcia, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę. W każdym razie za złamanie bliżej nieokreślonych zasad obowiązujących w przedsiębiorstwie, Ellis został przez RZ zwolniony i od tego czasu nikt go już nie widział. Może wyemigrował? Zresztą nieważne. Do RZ należało teraz zlikwidować maleńką skazę na tubie i dopilnować, by defekt nie pojawił się już w kolejnych scuttlerach.

Nagle zabrzączał dzwonek intercomu umocowanego przy końcu stołu warsztatowego.

– Cześć, Erickson – odezwał się Pethel. – Jest tu na górze doktor Sands i pyta o swój scuttler. Kiedy będzie gotowy?

Rączką śrubokrętu Rick Erickson uderzył silnie w napęd scuttlera doktora Sandsa.

„Lepiej pójdę na górę i pogadam z Sandsem, bo już to doprowadza mnie do szału. Scuttler nie ma takiej usterki, o jakiej on mówi”, mruknął do siebie Rick.

Przeskakując po dwa stopnie, Erickson znalazł się na pierwszym piętrze. Sands właśnie wychodził; mechanik rozpoznał transplantologa z podobizn w gazecie. Pospieszył się i zdołał złapać klienta, gdy ten był już na chodniku.

– Niech pan posłucha, doktorze... czemu pan twierdzi, że scuttler wyrzuca pana w takich miejscach, jak Portland, czy Oregon? On nie jest w stanie tego zrobić; nie został zbudowany w takim celu!

Stali naprzeciw siebie. Doktor Sands – dobrze ubrany, szczupły, lekko łysiejący, z haczykowatym nosem, mocno opalony – spoglądał wnikliwie na Ericksona, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wyglądał inteligentnie, bardzo inteligentnie.

Więc to jest człowiek, o którym rozpisują się gazety – myślał w duchu Erickson. – Nosi się lepiej niż my wszyscy, a garnitur ma z kreciej skóry od Martiana.

Erickson czuł irytację, gdy patrzył na doktora. Sands sprawiał wrażenie człowieka samolubnego. Przystojny, czterdziestoparoletni, cechował się luźnym sposobem bycia i wręcz kłopotliwą niefrasobliwością. Był człowiekiem wypalonym, ale potrafił jeszcze szokować.

A jednak przy tym wszystkim pozostał gentlemanem. Cichym, rzeczowym głosem powiedział:

– Ale tak właśnie się dzieje. Żałuję, że nie mogę powiedzieć więcej, nie jestem zbyt dobry w mechanice.

Uśmiechnął się rozbrajająco, aż rozmówca poczuł się zawstydzony swoim wrogim nastawieniem.

– O, do diabła! – zawołał Erickson, uświadamiając sobie swe błędne rozumowanie. – To wina RZ. Mogli źle usunąć usterkę ze scuttlerów wiele lat temu. Ma pan bubla, niedobrze.

„Nawet nie wyglądasz na złego faceta” – dodał w myśli.

– Bubel – powtórzył doktor Sands. – To wszystko wyjaśnia.

Wykrzywił twarz; sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Cóż, takie moje szczęście. Ostatnio wszystko mi się tak układa.

– Może udałoby mi się nakłonić RZ, by przyjęli scuttler z powrotem i wymienili na nowy – zaproponował Erickson.

– Nie. – Dr Sands potrząsnął żywo głową. – Zależy mi właśnie na tym scuttlerze.

Wypowiedział te słowa zdecydowanym tonem; najwyraźniej wiedział, czego chce.

– Dlaczego?

Kto by upierał się, aby zatrzymać bubel? To nie miało sensu. Prawdę mówiąc, cała sprawa była podejrzana. Dobre wyczucie pozwoliło Ericksonowi na wykrycie tego faktu. Miał już w swym życiu do czynienia z wieloma klientami.

– Bo jest mój – odparł Sands. – Sam go wybrałem.

Ruszył przed siebie chodnikiem.

– Nie wciskaj mi kitu – powiedział półgłosem Erickson.

– Co? – zapytał Sands, przystając.

Cofnął się o krok, jego twarz pociemniała. Wszystkie nienaganne maniery nagle zniknęły.

– Bez urazy.

Erickson spoglądał ostro na doktora. Nie podobało mu się to, co widział. Pod płaszczykiem dobrego wychowania skrywała się oziębłość, coś pokrętnego i trudnego do wytłumaczenia. Sands nie był zwykłym człowiekiem; Erickson poczuł się nieswojo.

Transplantolog powiedział szorstko:

– Napraw go i to szybko.

Odwrócił się i zaczął iść szybko chodnikiem, pozostawiając za sobą Ericksona.

„Jezu”, rzekł Erickson do siebie i zagwizdał. „Nie chciałbym wejść w konflikt z tym człowiekiem”, mruzczał, wchodząc do sklepu.

Schodząc schodek po schodku, z rękoma głęboko w kieszeniach, myślał: Może poskładam tę maszynę do kupy i zrobię sobie przejazdkę.

Znów wrócił myślami do Henry’ego Ellisa, pierwszego człowieka, który otrzymał wadliwy scuttler. Przypomniawszy sobie, że Ellis także nie chciał oddać tego jednego pojazdu. A miał swoje powody.

Gdy Rick ponownie znalazł się w oddziale naprawczym, usiadł przy stole warsztatowym, podniósł napęd scuttlera doktora Sandsa i zaczął ponownie montować urządzenie. W krótkim czasie, z wprawą eksperta, przywrócił je na dawne miejsce i wczepił w obwód.

„A teraz zobaczymy, dokąd nas zanieś”, powiedział do siebie, włączając pole siłowe.

Przeszedł przez błyszczącą, kolistą obręcz, wejście scuttlera, i znalazł się, jak zwykle, w szarej, bezkształtnej tubie rozciągającej się w dwóch kierunkach. Za okolonym ramą wejściem pozostał stół warsztatowy. A naprzeciw widniał... Nowy Jork. Niestabilny obraz ruchliwej ulicy, na której rogu mieściło się biuro doktora Sandsa. Za nim klinem wbijał się potężny budynek – drapacz chmur wzniesiony z plastiku i związków rekseroidowych z Jupitera. A dalej widać było małe odrzutowce wznoszące się i opadające po pochylniach, wzdłuż których mrowie pieszych biegało tak bezładnie, jakby podążało ku samozniszczeniu. Największe miasto świata, w znacznej części położone pod ziemią. To, co Erickson zobaczył, stanowiło jedynie znikomy ułamek całości. Żaden człowiek, nawet wiekowy, nigdy nie zobaczył miasta w pełni – było po prostu zbyt ogromne.

„Widzisz, doktoru?” mruknął Erickson. „Twój scuttler działa dobrze; to nie jest Portland w Oregonie, tylko dokładnie to, co miało być”.

Przykucnąwszy, mechanik wprawna ręką przejechał po powierzchni tuby. W poszukiwaniu czego? Nie wiedział. Na pewno jednak miało to być coś, co uzasadniłoby upór doktora Sandsa, by zatrzymać właśnie ten scuttler.

Nie spieszył się. Zamierzał znaleźć to, czego szukał.



Propagujące plan nawadniania planet przemówienie Jima Briskina, nagrane w ciągu dnia i wyemitowane w nocy przez satelitę L-R, było zbyt bolesne do zniesienia dla Salisbury'ego Heima. Dlatego wziął godzinę wolnego i poszukał ukojenia tam, gdzie większość mężczyzn; wszedł do taksówki odrzutowej i już był w drodze do satelity Złotych Wrót.

„Niech się Jim rozgaduje na temat sfiksowanego programu inżynierskiego Brano Miniego”, mówił do siebie, siedząc wygodnie na tylnym siedzeniu wznoszącej się taksówki, wdzięczny za tę chwilę relaksu. „Trzeba mu pozwolić samemu sobie poderżnąć gardło. Przynajmniej nie muszę dzielić z nim porażki. Teraz jeszcze, kiedy zanosi się na jego elekcję, mam czasem ochotę przejść do SRCD”.

Bill Schwarz bez wątpienia z chęcią by go przyjął do swej partii. Jakaś pokrętną ścieżką Heim zdołał wybadać nastroje opozycji. Schwarz ze swej strony ostrożnie i nie wprost dał do zrozumienia, że pomysł Heima dzielenia z nim władzy był mu miły. Heim nie czuł się jeszcze gotowy, by uczynić ten krok, więc nie zgłębiał tematu.

Przynajmniej przed dniem dzisiejszym. Jednak wobec tak bolesnej niespodzianki i w sytuacji, gdy partia ma sporo innych kłopotów... kto wie?

Z ostatnich prognoz wynikało, że Jim Briskin zostawał w tyle za Schwarzem. Pomimo faktu, że miał zapewnione głosy kolorowych, w tym także Portorykańczyków ze wschodniego wybrzeża i Meksykanów z zachodu. To jeszcze nie dawało przepustki do zwycięstwa. A dlaczego Briskin nie objął prowadzenia? Ponieważ wszyscy biali pójdą do urn, podczas gdy kolorowych w dniu elekcji pojawi się tylko około sześćdziesięciu procent. Przy tym, co niewiarygodne, większość z nich odnosiła się do Jima z niechęcią. Być może uwierzyli, że Jim zaprzedał się systemowi białych, Heim słyszał podobną opinię. Nawet więc kolorowi nie uznawali Briskina za swojego lidera. W pewnym sensie mieli rację.

Wszystko dlatego, że Jim Briskin reprezentował zarówno białych jak i przedstawicieli innych ras.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił ciemnoskóry taksówkarz.

Pojazd zwolnił i zatrzymał się na lądowisku w kształcie biustu, kilkanaście metrów od różowego sutka, służącego jako lokalny drogowskaz.

– Pan jest menedżerem Jima Briskina, prawda? – zapytał kierowca, odwracając do tyłu głowę. – Tak, poznaję pana. Proszę posłuchać, panie Heim. Briskin nie jest sprzedawczykiem, prawda? Wiele osób tak uważa, ale on by nie zdradził, wiem to.

– Jim Briskin – rzekł Heim, szukając portfela – nikomu się nie zaprzedał. I nigdy tego nie zrobi. Możesz powiedzieć to swoim kumplom.

Zapłacił należność. Czuł się podle, piekielnie podle.

– Ale to prawda, że...

– Tak, współpracuje z białymi. Na przykład ze mną. I co z tego? Czy biali mają w ogóle zniknąć, jeśli Briskin zostanie wybrany? Bzdura.

– Wydaje mi się, że wiem, o co panu chodzi – odezwał się kierowca, wolno kiwając głową.

– Pan uważa, że Briskin myśli o wszystkich, tak? Leży mu na sercu zarówno interes białej mniejszości, jak i kolorowej większości. Chce chronić wszystkich, nawet was, białych.

– Właśnie – skwitował Salisbury Heim, otwierając drzwi taksówki.

Tak, nawet nas. Bo to my mamy z tego korzyść, powiedział do siebie, stając na chodniku.

– Dzień dobry, panie Heim – przywitał gościa melodyjny damski głos.

Heim odwrócił się.

– Thisbe – rzekł ucieszony. – Jak się masz?

– Cieszę się, że nie zostajesz na Ziemi tylko dlatego, że twój kandydat nas nie aprobeuje – powiedziała Thisbe Olt, podnosząc na zielono zafarbowane brwi tak, że utworzyły łuk nad oczami.

Wąska twarz Thisbe pobłyskiwała niezliczonymi punktami czystego światła, wszczepionymi pod skórę; to sprawiało, że kobieta wyglądała niesamowicie, jakby była otoczona jakimś nimbem. Heim miał przed sobą obraz stale odnawianej piękności. Rzeczywiście nieraz się „odrestaurowywała” przez ostatnich kilka dekad. Wysmukła, niemal filigranowa, bawiła się frędzlami wysadzanego kamieniami materiału, owiniętego wokół jej nagich ramion. Założyła na siebie ten atrakcyjny strój specjalnie, żeby wyjść Heimowi na powitanie.

Sal czuł się usatysfakcjonowany. Lubił ją bardzo. Od dłuższego już czasu.

– Dlaczego sądzisz, że Jim Briskin jest przeciwko Złotym Wrotom? – odezwał się wymijająco. – Czy powiedział kiedykolwiek coś, co mogłoby na to wskazywać?

Heim osobiście pilnował, aby poglądy Jima na ten temat nigdy nie były podawane do publicznej wiadomości.

– Wiemy o wszystkim, Sal – odparła Thisbe. – Myślę, że powinieneś wejść i porozmawiać z George’em Waltem; jest na dole, w biurze na poziomie C. Ma ci do powiedzenia kilka rzeczy.

Sal odezwał się, znudzony:

– Nie przyjechałem tutaj...

Ale po co dyskutować. Jeśli właściciel Złotych Wrót życzy sobie go widzieć, to jest wysoce wskazane, by się do jego woli zastosować.

– W porządku – powiedział i podążył za Thisbe w kierunku windy.

Zawsze, mimo wysiłków czynionych, by temu zapobiec, rozmowa z George’em Waltem była dla Heima bardzo stresująca. Właściciel Złotych Wrót, chociaż upośledzony, zdobył ogromną władzę ekonomiczną w społeczeństwie. Satelita Złote Wrota Szczęśliwości był, jak głośno plotki, tylko jedną z jego własności, które rozciągały się na całej mapie finansowej

współczesnego świata. George Walt był formą zmutowanych bliźniaków, połączonych u podstawy czaszki w ten sposób, że jedna głowa służyła obu ciałom. Z tego, co sobie Heim przypominał, za osobowość George'a odpowiedzialna była jedna z półkul mózgowych. Natomiast osobowość Walta wynikała z procesów drugiej półkuli. Obie zaś jednostki różniły się poglądami, potrzebami, a każda miała oddzielne oko do obserwowania świata zewnętrznego.

Kiedy drzwi windy otworzyły się na poziomie C, Sala zatrzymał odziany w mundur dozorca pełniący funkcje strażnika.

– Pan George Walt chciał się ze mną widzieć – odezwał się Sal. – Przynajmniej tak mnie poinformowała panna Olt.

– Tędy, panie Heim – powiedział dozorca, z szacunkiem dotykając brzegu czapki. Poprowadził gościa cichym, wyłożonym dywanem holem.

Salisbury został wpuszczony do ogromnej sali, gdzie na kanapie siedział George Walt. Oba ciała powstały jednocześnie. Wspólna głowa reprezentująca dwa oddzielne istnienia skinęła na powitanie, usta wykrzywiły się w uśmiechu. Jedno oko – lewe – przyglądało się przybyszowi z nieustającą uwagą, podczas gdy drugie wędrowało niespokojnie, jakby zaobserwowane wszystkim naraz.

Dwie szyje łączyły się z głową w ten sposób, że ta była cofnięta nieco do tyłu. George Walt próbował spokojnie ogarniać wzrokiem każdego, z kim rozmawiał, chociaż uwaga właściciela Złotych Wrót wydawała się wciąż rozproszona. Wielkość głowy jak również obu ciał nie odbiegała od normy. Lewe ciało – Sal nie pamiętał, czy był to George, czy Walt – miało na sobie codzienne ubranie: bawełniana koszula, szelki; prawe natomiast nosiło jednorzędowy garnitur, krawat i szarą kamizelkę na guziki; ręce spoczywały głęboko w kieszeniach spodni, co dodawało prawej postaci autorytetu, jeśli nie wieku. Zdawała się wyraźnie starsza od swej bliźniaczej lewej części.

– Tu George – odezwała się głowa ciepłym głosem. – Jak się masz, Salu Heim. Miło cię widzieć.

Lewe ciało wyciągnęło rękę. Sal podszedł i ostrożnie ją uścisnął. Walt natomiast nie chciał wymienić uścisków. Jego dłonie pozostawały w kieszeniach.

– Tu Walt – powiedziała głowa, tym razem mniej uprzejmie. Chcieliśmy porozmawiać o twoim kandydacie, Heim. Usiądź i napij się. Czym możemy ci służyć?

Oba ciała podeszły do kredensu, w którym umieszczony był wymyślny barek. Ręce Walta otwierały butelką burbona, podczas gdy George z wprawą eksperta mieszał cukier i wodę z gorzką nalewką na dnie szklanki. Z przyrządzonym drinkiem wrócili do Sala.

– Dzięki. – Sal Heim przyjął od nich szklankę.

– Tu Walt – odezwała się do niego głowa. – Wiemy, że jeżeli Jim Brisken zostanie wybrany, nakaże swemu prokuratorowi generalnemu znalezienie sposobu na zamknięcie satelity.

Skierowali na rozmówcę jednocześnie oboje oczu, przesywając go spojrzeniem.

– Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy – odparł Sal wymijająco.

– Tu Walt – powiedziała głowa. – Macie przeciek; stąd wiem. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Musimy przenieść nasze poparcie na Schwarza. A wiesz, jak wiele transmisji przekazujemy na Ziemię.

Sal westchnął. Złote Wrota utrzymywały stały strumień śmieciowych programów przelewających się przez różnorodność kanałów, powszechnie dostępnych i oglądanych przez niemal każdego mieszkańca kraju. Programy te – szczególnie nastrojowa orgia ze słynnym występem, w której Thisbe demonstruje pracę swych mięśni zabarwionych na cztery kolory – były siłą napędową interesów satelity. Mimo wszystko stawanie w opozycji do Briskina nie wyszłoby mutantowi na dobre.

Opróżniwszy szklanke, Sal Heim ruszył w kierunku drzwi.

– Możecie nastawiać swoje show przeciw Jimowi. Tak czy inaczej wygramy wybory, a wtedy bądźcie pewni, że Briskin każe was zamknąć. Już w tej chwili macie to zagwarantowane.

Twarz George'a Walta odzwierciedlała niepokój.

– Paskudne w-wybory – wyjąkał.

Sal wzruszył ramionami.

– Bronię tylko mojego klienta, któremu się odgrazacie. To wy zaczęliście.

– Tu George. Oto co powinniśmy zrobić. Słuchaj, Walt. Sprawimy, żeby Jim Briskin pojawił się w Złotych Wrotach i został sfotografowany publicznie – rzuciła porywczo głowa, po czym zadowolona z siebie dodała: – Niezły pomysł, co, Sal? Briskin przyjeżdża tutaj tropiony przez media i odwiedza jedną z dziewczyn. To dobrze wpłynęłoby na jego wizerunek; pokazałoby, że jest normalnym facetem, a nie babą. Zyskujecie więc na tym. A gdy już tu będzie, pośle pod naszym adresem kilka komplementów. Dobrze zakończenie, choć niekonieczne. Mógłby, na przykład powiedzieć, że interes narodowy wymaga...

– Nigdy się na to nie zgodzi – wypalił Sal. – Prędzej przegra wybory.

Głowa odezwała się płaczliwie:

– Damy mu każdą dziewczynę, którą zechce, na Boga. Mamy ich pięć tysięcy!

– Niestety – odparł Sal Heim. – Gdybyście zaproponowali to mnie, nie wahałbym się ani chwili. Ale nie Jim. On jest staromodnym purytaninem lub też reliktem dwudziestego wieku, jeśli wolisz.

– Albo nawet dziewiętnastego – zauważył George Walt zjadliwie.

– Mów, co chcesz – powiedział Sal, kiwając głową. – Z Jimem to nie przejdzie. Trzyma się swoich zasad. Twierdzi, że działalność satelity jest niemoralna. Wszystko odbywa się tutaj raz dwa, mechanicznie, bezosobowo. Zautomatyzowany zakład usługowy. Mnie to nie przeszkadza,

jak zresztą i większości ludzi; po prostu oszczędność czasu. Jimowi jednak nie podoba się takie rozwiązanie, bo jest sentymentalny.

Ręce prawego korpusu wyciągnęły się ku Salowi w geście grożącym, podczas gdy głowa odezwała się podniesionym głosem:

– Do diabła z tym! Jesteśmy tutaj tak sentymentalni, że bardziej już nie można. W każdym pokoju gra muzyka w tle; dziewczęta zawsze uczą się pierwszego imienia klienta i mają się do niego zwracać tylko i wyłącznie w ten sposób! Czego więcej chcesz? – wrzeszczał piskliwy głos. – Małżeństwo przed, a rozwód po, by usankcjonować te praktyki, czy o to ci chodzi? A może powinniśmy uczyć dziewczęta robić wyszywanki, a ty będziesz płacił jedynie za oglądanie lekko odsłoniętych kostek? Posłuchaj, Sal. – Głos obniżył się o jeden ton, stając się złowieszczy. – Posłuchaj, Heim – powtórzył. – Wiemy, co do nas należy. Nie wtrącaj się w nasze sprawy, a my zostawimy twoje w spokoju. Poczawszy od dzisiaj, nasi prezenterzy będą włączać Schwarza podczas każdego przekazu na Ziemię, w samym środku wspaniałego głównego numeru, kiedy dziewczęta... no, wiesz. Tak, właśnie tę część audycji mam na myśli. Zrobimy prawdziwą kampanię. Zapewnimy Billowi Schwarzowi reelekcję. A temu kolorowemu nudziarzowi totalną porażkę.

Sal nie odezwał się ani słowem. W wielkim, wyłożonym dywanami gabinecie panowała absolutna cisza.

– Nic nie mówisz, Sal? Zamierzasz tak siedzieć beczynnienie?

– Przyjechałem tu odwiedzić dziewczynę, którą lubię – odparł Sal. – Nazywa się Sparky Rivers. Chciałbym ją teraz zobaczyć.

Czuł się wyczerpany.

– Różni się od wszystkich innych... Przynajmniej od tych, z którymi byłem – wymamrotał pocierając dłonią czoło. – Nie, teraz jestem zbyt zmęczony. Jednak zrezygnuję. Wychodzę.

– Jeśli ona jest tak dobra, jak mówisz, wcale nie będziesz musiał wkładać wysiłku – zaśmiała się głowa, zadowolona ze swego dowcipu. – Przyślij tu na dół panienkę o imieniu Sparky Rivers – rzuciła do mikrofonu, naciskając guzik na biurku.

Sal Heim ze znudzeniem kiwnął głową. Może mutant miał rację. „Poza tym, właśnie w tym celu tutaj przyjechałem; starodawny, uznany środek”, pomyślał Heim.

– Pracujesz zbyt ciężko – powiedziała głowa przenikliwym głosem. – W czym problem, Sal? Pękasz? Naprawdę potrzebujesz naszej pomocy, i to bardzo.

– Pomocy, pomocy – powtórzył drwiąco Sal. – Ja potrzebuję sześciu tygodni odpoczynku, i to nie spędzonego w Złoty Wrotach. Powinienem wziąć taksówkę do Afryki i zapolować na pająki czy na co tam jest teraz moda.

Z powodu nawału pracy zupełnie wypadł z rytmu.

– Wielkie pająki kopacze już od dawna nikogo nie interesują – poinformowała głowa. –

Teraz na topie są ćmy.

Prawa ręka Walta wskazała na ścianę. Tam za szkłem Sal ujrzał trzy monstrualnych rozmiarów opalizujące okazy, oświetlone lampą ultrafioletową, ukazującą całą paletę ich barw.

– Sam je złapałem – powiedziała głowa i natychmiast zaczęła siebie strofować: – Nie, nie złapałeś ich, ja to zrobiłem. Ty zobaczyłeś, ale to ja wepchnąłem je do słoja-pułapki.

Sal Heim usiadł, czekając w ciszy na przybycie Sparky Rivers, podczas gdy dwóch właścicieli głowy kłóciło się, który z nich przywiózł ćmy z Afryki.

Najlepszy i najdroższy ciemnoskóry prywatny detektyw, Tito Cravelli z Nowego Jorku, wręczył siedzącej naprzeciwko kobiecie wyciąg z danych wprowadzonych do komputera Altac 3-60. To była dobra maszyna.

– Czterdzieści szpitali – powiedział. – Czterdzieści przeszczepów w ciągu ostatniego roku. Statystycznie jest to mało prawdopodobne, żeby Bank Organów w tak krótkim czasie zdołał dostarczyć aż tyle narządów. A jednak to możliwe. Krótko mówiąc, znów nic nie mamy.

Myra Sands z namysłem wygładziła fałdy spódnicy, po czym zapaliła papierosa i odezwała się:

– Wybierzemy kilka szpitali na chybił-trafił. Chcę, żebyś śledził przynajmniej pięć albo sześć placówek. Jak długo ci to zajmie?

Tito liczył w milczeniu.

– Powiedzmy, że dwa dni. Jeśli będę musiał osobiście spotkać się z ludźmi. Zakładam jednak, że uda mi się załatwić przynajmniej część przez telefon... Lubię korzystać z urządzeń Amerykańskiej Korporacji Wideofonicznej.

Oznaczało to, że mógł załatwić sprawy siedząc przy Altac 3-60. Gdy tylko pojawi się coś ciekawego, nakarmi komputer danymi i otrzyma opinię bez żadnego poślizgu. Czuł respekt do 3-60. Oddał mu wielką usługę rok temu, kiedy go nabył. Cravelli nie zamierzał pozwolić maszynie stać beczynną, jeśli tylko miałyby jej coś do zadania. Ale czasami...

Sytuacja była trudna. Myra Sands nie należała do ludzi, którzy łatwo znoszą niepewność. Dla niej wszystko musiało przedstawiać się jasno. Albo a, albo b. Potrafiła zrobić użytek z arystotelesowskiego prawa wyłączonego środka. Tito podziwiał tę około czterdziestoletnią damę: atrakcyjną, niezwykle wykształconą, jasnowłosą. Siedziała naprzeciw niego wyprostowana. Wyglądała schludnie w żółtej garsonce z żab księżycowych. Miała długie, zgrabne nogi. Ostry podbródek wyraźnie zdradzał zawziętość. Myra reprezentowała typ kobiety interesu. Jako jeden z największych autorytetów w dziedzinie aborcji terapeutycznej była wysoko opłacana i cieszyła się wielkim szacunkiem. I doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Tito szanował każdego, kto prowadził niezależny interes. Cravelli przecież także sam dla siebie był panem, nie dłużny nic nikomu, żadnej organizacji sponsorującej czy firmie. On i Myra

mieli ze sobą coś wspólnego. Oczywiście Myra, jako potworna snobka, zaprzeczyłaby temu. Dla niej Tito Cravelli to jedynie pracownik wynajęty do sprawdzenia, a raczej do ustalenia pewnych informacji na temat jej męża. Tito nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego Lurton Sands ją poślubił. Z pewnością od samego początku istniał między nimi rozdzwięk – psychologiczny, socjalny, seksualny i zawodowy. Nie ma wytłumaczenia dla procesów chemicznych łączących kobietą i mężczyzną, zamykających małżonków w okowach nienawiści i sprawiających, że zadają oni sobie nawzajem ból, co trwa czasem nawet dziewięćdziesiąt lat. Cravelli widział już tyle podobnych przypadków, że wołał zostać kawalerem do końca życia.

– Zadzwoń do szpitala Lattimore w San Francisco – poleciła twardym, władcym głosem Myra. – W sierpniu tam właśnie Lurton przeprowadził transplantację śledziony u pewnego majora. Chyba nazywał się Walleck lub równie bezsensownie. Przypominam sobie, że wtedy Lurton... jak by to powiedzieć?... wypił trochę za dużo. To było po południu; jedliśmy obiad. Lurton bełkotał coś o „ciężkich pieniądzach” za śledzionę. Wierz, Tito, że ONZ z góry ustala, ile kosztują poszczególne organy. I ceny nie są zbyt wysokie. Wręcz przeciwnie, są zbyt niskie... Dlatego głównie bankowi tak często brakuje narządów. Nie z powodu braku dostaw. Przyczyną jest cholerny nadmiar biorców.

– Hmm... – mruknął Tito.

– Lurton zawsze mawiał, że jeśli Bank Organów zamierzałby podnieść ceny...

– Czy jesteś pewna, że chodzi o śledzionę? – spytał Tito.

– Tak – przytaknęła krótko Myra, wydychając smużki szarego dymu.

Kobieta wstała i zaczęła krążyć po gabinecie, pocierając dłonie w rękawiczkach, w sposób, który irytował Tito do tego stopnia, że nie mógł się skupić na telefonie.

– Jadła pani obiad? – spytał czekając na połączenie.

– Nie, ale jadam najwcześniej o wpół do ósmej albo o dziewiątej. To barbarzyństwo jeść wcześniej.

– Czy mogę zatem zaprosić panią na kolację, pani Sands? Znam jedną piekielnie dobrą armeńską restaurację w Village. Jedzenie jest tam przygotowywane przez ludzi.

– Przez ludzi? W przeciwieństwie do czego?

– W przeciwieństwie do automatycznej obróbki – wymamrotał – czy nigdy nie jadła Pani automatycznie przyrządzonego posiłku? – Cóż, Sandsowie byli bogaci; możliwe, że na co dzień spożywali posiłki robione przez kucharzy. – Osobiście nie znoszę takiego jedzenia. Jest zawsze jednakowe. Nigdy przypalone czy... – przerwał; na ekranie wideo pojawił się zminiaturyzowany wizerunek urzędnika z Lattimore.

– Dzień dobry, tu konsultanci do spraw badań nad przejawami życia z Nowego Jorku. Szukam informacji na temat zabiegu, jakiemu w sierpniu został poddany major Wozzeck lub Walleck; przeszczep śledziony.

– Czekaj! – odezwała się nagle Myra. – Przypomniałam sobie; to nie była śledziona, lecz wysepki Langerhansa. Wiesz, część trzustki, która kontroluje produkcję cukru w organizmie. Pamiętam, że Lurton wspomniał o tym, gdy zobaczył, jak wsypuję dwie łyżki cukru do kawy.

– Zaraz sprawdzę – powiedziała urzędniczka z Lattimore, słysząc słowa Myry.

– Chcę się dowiedzieć, kiedy organ został przekazany z banku – dodał Tito. – Czy mogłaby pani znaleźć dokładną datę?

Czekał na informację. Nauczył się cierpliwości w pracy, która bezwzględnie wymagała tej wielkiej cnoty, nawet bardziej niż inteligencji.

Po chwili urzędniczka poinformowała:

– Pułkownik Weisswasser. Dwunastego sierpnia tego roku miał transplantację. Wysepki Langerhansa otrzymano z Banku Organów dnia poprzedniego – jedenastego sierpnia. Operację przeprowadził Lurton Sands, on również potwierdził odbiór.

– Dziękuję – powiedział Tito i przerwał połączenie.

– Biuro Banku Organów jest zamknięte – przypomniała Myra, kiedy detektyw jeszcze raz próbował się tam dodzwonić. – Musisz poczekać do jutra.

– Mam tam swojego człowieka – oznajmił i dalej wybierał numer.

W końcu połączył się z Gusem Andertonem, swoją wtyczką w banku.

– Mówi Tito. Gus, sprawdź dla mnie, czy chirurg, o którym wcześniej rozmawialiśmy, pobrał organ jedenastego sierpnia tego roku; wysepki Langerhansa.

Anderton niemal natychmiast zgłosił się ponownie z informacjami.

– Tak Jedenasty sierpnia, wysepki Langerhansa. Przetransportowane do Lattimore w San Francisco. Wszystko zgodnie z procedurą.

Tito Cravelli rozłączył się poirytowany. Po chwili milczenia Myra Sands, wciąż niezamordowana krążąca po gabinecie, wykrzyknęła:

– Nie mam żadnych wątpliwości, że on zdobywał organy nielegalnie. Nigdy nikomu nie odmówił, a przecież w banku nie znalazłoby się tyle narządów. Musiał brać je z innego źródła i nadal to robi, wiem o tym.

– Wiedzieć, a dowieść czegoś to dwie różne...

Obracając się ku detektywowi, Myra warknęła:

– Poza bankiem jest tylko jedno miejsce, z którego mogłby korzystać.

– Zgadza się – przytaknął Tito. – Ale jak powiedział pewien prokurator, lepiej znajdź dowód, zanim sformułujesz oskarżenie. W przeciwnym bowiem razie Lurton wytoczy ci proces o zniesławienie. Nie miałby innego wyjścia.

– Nie podoba ci się ta cała sprawa – oceniła Myra.

Tito wzruszył ramionami.

– Nie musi mi się podobać, to nie ma znaczenia.



– Ale sądzisz, że stąпам po niebezpiecznym gruncie.

– Owszem. Nawet jeśli to prawda, że Lurton Sands...

– Nie mów: jeśli! Dobrze wiesz, że on jest fanatykiem. Do tego stopnia identyfikuje się ze swoim publicznym wizerunkiem zbawiciela ludzkości, że stracił kontakt z rzeczywistością. Prawdopodobnie zaczynał od pojedynczych przypadków, które wydawały mu się wyjątkowe; musiał mieć konkretny organ, więc po prostu wchodził w jego posiadanie. Następnym razem... – Myra wzruszyła ramionami – było już łatwiej. I tak dalej.

– Rozumiem – zgodził się Tito.

– Myślę, że wiem, co powinniśmy zrobić – ciągnęła Myra. – Co ty powinienesz zrobić. Dowiedz się od twojego informatora w ONZ, jakiego organu brakuje obecnie w banku. Potem zaaranżuj sytuację alarmową. Niech ktoś w którymś ze szpitali poprosi Lurtona o przeszczep tego konkretnego organu. Zdaję sobie sprawę, że to będzie kosztowało fortunę. Ale jestem gotowa pokryć wszystkie wydatki. Jasne?

– Tak – odparł Tito.

Innymi słowy, należało złapać Lurtona Sandsa w pułapkę. Wykorzystać jego determinację w ocalaniu życia umierających... Humanitaryzm uczynić narzędziem zguby. Co za sposób zarabiania na życie – dumał Tito. Kolejny dzień, kolejny dolar... Takie jest życie. Ale nie wtedy, gdy człowiek zostaje wciągnięty w bagno.

– Wiem, że potrafisz to zorganizować – powiedziała żarliwie Myra. – Jesteś dobry, doświadczony.

– Tak, pani Sands – odparł Tito. – Prawdopodobnie zdołam złapać pani męża w pułapkę, wodzić go za nos. To nie powinno być zbyt trudne.

– Dopilnuj, żeby twój „pacjent” zaoferował hojną zapłatę – powiedziała sucho Myra. – Lurton zaangażuje się w sprawę, jeśli tylko zwięszy dobry interes. Tak naprawdę interesuje go tylko forsa, a nie idea, jak ty i całe cholerne społeczeństwo sobie wyobrażacie. Wiem, bo żyłam z nim dobrych parę lat. Dzieliłam jego najskrytsze myśli. – Myra uśmiechnęła się lekko. – To zawstydzające, że mówię ci, jak masz wykonywać swoje obowiązki. Ale najwyraźniej nie mam innego wyjścia. – Na jej twarzy znów pojawił się uśmiech, zimny i przesadnie surowy.

– Doceniam twoją pomoc – powiedział sztywno Tito.

– Nie, wcale nie. Uważasz, że próbuję zrobić jakiś przekręt, że przesadzam.

– Nic podobnego – odparł Tito. – Jestem po prostu głodny. Może ty nie jadasz przed wpół do dziewiątej, ale mnie już ssie w żołądku i muszę zjeść przed siódmą. Pozwolisz, że cię przeproszę.

Wstał odsuwając krzesło.

– Chcę zamknąć biuro.

Tym razem już nie zaproponował jej wspólnej kolacji. Zabierając płaszcz i torebkę, Myra

Sands rzekła:

– Czy zlokalizowaliście Cally Vale?

– Nie mieliśmy szczęścia – odparł Tito.

Poczuł się bardzo nieswojo.

Wpatrując się w niego, Myra powiedziała:

– Dlaczego jeszcze jej nie znaleźliście? Musi gdzieś być!

Pani Sands wyglądała, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Ludzie z sądu też nie wiedzą, gdzie się podziała – zauważył Tito. – Ale jestem przekonany, że pojawi się do czasu procesu.

On także dziwił się, że jego ludziom nie udało się odnaleźć kochanki doktora Sandsa. Bądź co bądź istniała ograniczona liczba miejsc, w których można się ukryć. A przyrzady tropiące w ciągu ostatnich dwóch dekad zostały ulepszone na niespotykaną wprost skalę.

– Zaczynam podejrzewać, że wcale nie jesteś taki dobry oświadczyła chłodno Myra. – Zastanawiam się, czy nie powinnam powierzyć swoich interesów komuś innemu.

– Masz do tego prawo – rzekł Tito.

Potwornie ssało go w żołądku. Zastanawiał się, czy ma jeszcze szansę coś zjeść tego wieczora.

– Musisz znaleźć pannę Vale – poleciła stanowczo Myra. – Ona zna wszystkie szczegóły działalności Lurtona. Dlatego ją ukrył. W piersiach tej kobiety bije serce, które dla niej zdobył.

– W porządku, pani Sands – powiedział Tito, niemal skrecając się z głodu.

Czarnowłosa, o niezwykle ciemnej skórze, młody człowiek powiedział:

– Przyszliśmy tutaj, pani Sands, gdyż przeczytaliśmy o pani w gazecie. Było tam napisane, że jest pani dobrym fachowcem i że przyjmuje pani także biednych. – Po chwili dodał: – W tej chwili nie mamy żadnych pieniędzy, ale może moglibyśmy zapłacić później.

Myra Sands rzekła krótko:

– Nie martwcie się o to teraz.

Uważnie obserwowała chłopaka i dziewczynę.

– Zobaczmy. Nazywacie się Art i Rachael Chaffy. Usiądźcie, porozmawiamy, dobrze?

Jak na profesjonalistkę przystało, uśmiechnęła się do nich serdecznie i bardzo ciepło. Ten rodzaj uśmiechu miała zarezerwowany wyłącznie dla klientów. Nie obdarzała nim nawet własnego męża czy też byłego męża – jak myślała teraz o Lurtonie.

Dziewczyna, Rachael, odezwała się miękkim głosem:

– Próbowaliśmy ich nakłonić, by nas uspili, ale powiedzieli, że powinniśmy najpierw zasięgnąć u kogoś porady. Jestem... no cóż, widzi pani, zaszłam w ciążę – wyjaśniła. – Przykro mi. – Schyliła głowę ze strachu i wstydu. Jej policzki oblały się purpurą. – Szkoda, że nie pozwalają, jak jeszcze kilka lat temu, po prostu się zabić – wymamrotała. – To rozwiązałoby problem.

– Wprowadzenie tego prawa nie było najlepszym pomysłem – powiedziała pewnym głosem Myra. – Jakkolwiek niedoskonały, głęboki sen jest z pewnością lepszy niż dawna forma samodestrukcji bez konsultacji. Który miesiąc ciąży?

– Prawie drugi – odparła Rachael Chaffy, unosząc nieco głowę. Udało jej się przynajmniej na chwilę spojrzeć konsultantce w oczy.

– W takim razie postępowanie aborcyjne nie przedstawia żadnego problemu – powiedziała Myra. – Rutynowa sprawa. Do południa możemy to zorganizować i około szóstej będzie po wszystkim. Wykonania zabiegu podejmie się każda z klinik rządowych. Chwileczkę.

Drzwi do gabinetu otwarły się i zajrzała przez nie sekretarka Myry.

– O co chodzi, Tino?

– Pilny telefon do pani.

Myra włączyła wideofon. Na ekranie pojawiła się twarz Tito. Detektyw aż sapał z podniecenia.

– Pani Sands – odezwał się Tito. – Przepraszam, że dzwonię o tak wczesnej porze i przeszkadzam w pracy, ale wszystkie przyrządy tropiące skończyły poszukiwania i wróciły do bazy. Pomyślałem, że chciałaby pani poznać wyniki. Cally Vale nie ma nigdzie na Ziemi. Stwierdziliśmy to z absolutną pewnością.

Zamilkł, czekając aż Myra coś powie.

– W takim razie wyemigrowała – stwierdziła pani Sands, próbując sobie wyobrazić wątłą, niemal chorobliwie kruchą Cally Vale w surowym klimacie Marszcy Ganimedesa.

– Nie – odezwał się Cravelli wolno kręcąc głową. – Sprawdziliśmy też inne planety. Cally Vale nie wyemigrowała. Dziwne, ale prawdziwe. Nie ma wątpliwości, że nie posuwamy się naprzód. Stanęliśmy w obliczu wielkiej tajemnicy.

Nie wyglądał na zbyt szczęśliwego z tego powodu. Jego twarz na wideofonie wykrzywiła się ponuro.

– Nie ma jej na Ziemi i nie wyemigrowała – zaczęła Myra. – W takim razie...

Dla pani Sands rozwiązanie było oczywiste. Dlaczego nie wpadli na to od razu, kiedy tylko Cally zniknęła z pola widzenia?

– Ona jest w którymś z magazynów rządowych; Cally została uśpiona.

Trudno o inne wytłumaczenie.

– Zajrzemy tam – powiedział bez entuzjazmu Tito. – Przyznaję, że to możliwe, ale szczerze mówiąc, nie trafia do mnie. Osobiście sędzę, że wymyślili coś nowego, oryginalnego. Stawiam wszystko, co mam, że tak właśnie jest.

Cravelli mówił zdecydowanym głosem, bez cienia wahania.

– Oczywiście sprawdzimy wszystkie dziewięćdziesiąt cztery oddziały magazynów DDP. Zajmie nam to przynajmniej kilka dni. W tym czasie... – Pochwycił spojrzenie pary młodych Chaffy'ów, czekających w milczeniu. – Dobrze, szczegóły przedyskutujemy później, nie ma pośpiechu.

Może rzeczywiście sugestie prasy były słuszne: Lurton po prostu zabił kochankę, żeby Frank Fenner nie mógł jej pozwać na świadka.

– Czy wierzysz, że Cally Vale nie żyje? – zwróciła się bez ogródek do Tito.

Nie zwracała uwagi na parę siedzącą obok. Oni się teraz nie liczyli.

– Nie do mnie należy... – zaczął Tito.

Myra przerwała połączenie; ekran zgasł. „Nie do mnie należy wyrokowanie w tej sprawie”, dokończyła w myślach. A do kogo? Do Lurtona? Może nawet on nie wie, gdzie jest Cally. Może uciekła od niego? Może wstąpiła do Złotych Wrót i pod przybranym imieniem dołączyła do zastępów dziewczyn. Myra z rozkoszą wyobrażała sobie kochankę Lurtona jako jedno ze stworzeń Thisbe – bezpłciowych automatów. Myra zaśmiała się bezgłośnie. „To właśnie jest miejsce dla ciebie, Cally”, pomyślała. „Na resztę twego życia. Na następnych dwieście lat.”

– Wybaczcie, że wam przerwałam – zwróciła się do pary siedzącej naprzeciwko. – Kontynuujcie, proszę.

– No więc – zaczęła z zakłopotaniem Rachael. – Art i ja poczuliśmy, że... Przemysleliśmy sprawę aborcji i już nie chcemy tego zrobić. Nie wiem dlaczego, pani Sands. Po prostu

wolelibyśmy... Ale nie możemy.

Zapanowała cisza.

– W takim razie nie rozumiem, po co do mnie przyszlście, skoro już zdecydowaliście – powiedziała Myra. – Z praktycznego punktu widzenia powinniście jakoś przez to przejść. Prawdopodobnie się boicie... bądź co bądź jesteście jeszcze bardzo młodzi. Do niczego was nie namawiam. Decyzję tego rodzaju każdy musi podjąć samodzielnie.

Art odezwał się niskim głosem:

– Nie boimy się, proszę pani. Nie o to chodzi. My... cóż, chcielibyśmy mieć dziecko.

Myra Sands nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy dotąd w ciągu wielu lat praktyki nie natknęła się na taki przypadek; postawa Chaffy'ów zupełnie zabiła ją z tropu. Zanosilo się na kiepski dzień. Razem z telefonem od Tito było to zbyt wiele. I w dodatku tak wcześnie z rana. Jeszcze nawet nie minęła dziewiąta.

W piwnicy Pethel Jiffi-scuttler Sprzedaż i Serwis mechanik Rick Erickson już drugi dzień z rzędu przygotowywał się do ponownego wykorzystania wadliwego scuttlera doktora Sandsa. Wciąż nie mógł znaleźć tego, czego szukał.

Niemniej jednak nie zamierzał się poddać. Intuicja podpowiadała mu, że jest już blisko. Zza pleców Ericksona odezwał się głos:

– Co robisz, Rick?

Mechanik podskoczył przestraszony i rozejrzał się wokół. W drzwiach działu naprawczego stał jego pracodawca, Darius Pethel, mocno zbudowany, w wygniecionym, ciemnobrązowym, staromodnym wełnianym garniturze, który zwykle nosił.

– Słuchaj, to jest scuttler doktora Sandsa – powiedział Erickson. – Możesz myśleć, że zwariowałem, ale sądzę, że gdzieś tu w środku ukryta jest jego kochanka.

– Co? – Pethel głośno zaśmiał się.

– Poważnie. Nie przypuszczam, żeby była martwa, choć rozmawiałem z Sandsem wystarczająco długo, by stwierdzić, że zamordowałby tę kobietę, gdyby uważał to za konieczne; jest tego rodzaju człowiekiem. Jakimś cudem nikt nie może znaleźć Cally Vale, nawet pani Sands. Rozumiesz? Scuttler Lurtona znajduje się tutaj, poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku. Tropiciele nie wiedzą, że pojazd jest w naprawie. I bez względu na to, co Sands mówi, on wcale nie chce tej maszyny z powrotem. Zależy mu właśnie, żeby tkwiła tutaj, w tej piwnicy.

Wpatrując się w pracownika, Pethel powiedział:

– Niezły pomysł. Czy tym zajmowałeś się w godzinach pracy? Zmyślaniem teorii detektywistycznych?

– To ważne! – odparł Erickson. – Nawet jeśli nie przyniesie ci żadnych zysków. Do diabła, a może i przyniesie! Jeśli mi się poszczęści i znajdę cenną zgubę, będziesz mógł ją odsprzedać

pani Sands.

Po chwili milczenia Darius Pethel powiedział, filozoficznie wzduszając ramionami:

– W porządku, sprawdzaj dalej. Jeśli rzeczywiście znajdziesz CallyVale...

Obok Pethela pojawił się sprzedawca firmy, Stuart Hadley.

– Jak leci, Dar? – zapytał z werwą, jak zawsze pogodny i wszystkiego ciekaw.

– Rick poszukuje kochanki doktora Sandsa – odparł Pethel, wskazując kciukiem na scuttlera.

– Czy jest ładna? Dobrze wykrojona? – spytał z lubieżnym wyrazem twarzy.

– Widziałeś jej podobizny w gazetach – odparł Pethel. – Słodka. W przeciwnym razie, dlaczego doktor miałby ryzykować swoje małżeństwo. Chodź, Hadley, potrzebuję cię na górze. Nie możemy wszyscy trzej tkwić tutaj, bo ktoś ukradnie nasz rejestr. – Ruszył po schodach.

– Ona tu jest? – spytał Hadley, zginając się wół i zaglądając z zaintrygowaniem do wnętrza scuttlera. – Nie widzę jej, Dar.

Darius Pethel zachnął się.

– Ani ja. Rick także nie, ale wciąż szuka zamiast pracować, psiakrew. Słuchaj, Rick, jeśli ją znajdziesz, będzie moja, bo robisz to na mój koszt, w godzinach pracy.

Wszyscy trzej parsknęli śmiechem.

– W porządku – zgodził się Rick.

Kłęcząc, niestrudzenie drapał ostrzem śrubokręta powierzchnię tuby scuttlera.

– Możecie się śmiać, bo przyznaję, że jest to zabawne, ale nie zamierzam przestać. Najwyraźniej usterka jest niewidoczna. Inaczej Sands nie odważyłby się zostawić scuttlera. Niech mnie nie uważa aż za takiego głupka. Zamaskował usterkę, i to naprawdę dobrze.

– Usterka – powtórzył Pethel. Zmarszczył brwi, schodząc z powrotem do piwnicy.

– Coś takiego, co znalazł Henry Ellis dawno temu? Pęknięcie w ścianie tuby, które prowadziło do starożytnego Izraela?

– Właśnie – powiedział krótko Rick, kontynuując skrobanie.

Jego wprawne, wyćwiczone oko dostrzegło nagle na powierzchni drobną nieregularność, zniekształcenie. Pochylony do przodu, mechanik wyciągnął rękę... Palce, szukając na oślep, przeszły przez ścianę tuby i zniknęły.

– Jezu! – szepnął Rick.

Wyciągnął swe niewidzialne palce i z początku nic nie czuł. Potem dotknął górnej krawędzi uszkodzenia.

– Znalazłem – oznajmił triumfalnie. Rozejrzał się wokół, ale Pethela już nie było.

– Darius! – wykrzyknął, ale nie usłyszał odpowiedzi. – Do diabła z nim! – powiedział z pasją do Hadleya.

– Trafiłeś na coś? – spytał Hadley, zaglądając ciekawie do wnętrza tuby. – To znaczy odszukałeś tę kobietę, Cally Vale?

Przez pęknięcie w tubie Rick Erickson wpełził głową do przodu. Nie znalazł oparcia, więc runął ciężko na ziemię. Z ust wyrwało mu się przekleństwo. Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą bladoniebieskie niebo, z rzadka usiane chmurami. Wokół rozciągała się łąka. Pszczoły lub coś, co przypominało te owady, bzyczało wśród wysokich roślin o białych kwiatach wielkich jak spodki. W powietrzu unosił się słodki aromat, tak jakby kwiaty roztopione były w atmosferze.

– Nareszcie – mruknął. – Udało się. Tutaj Sands ukrył swoją kochankę, by zapobiec powołaniu jej na świadka w przesłuchaniu.

Wstał ostrożnie. W oddali za nim majaczyło słabe lśnienie – łącznik między tubą Jiffi-scuttlera a piwnicą sklepu w Kansas City.

– Nie mogę stracić orientacji – powiedział do siebie rozważnie. – Jeśli się zgubię, już nigdy nie zdołam wrócić.

„Gdzie ja jestem? Muszę to natychmiast wykombinować. Ciężenie jak na Ziemi, więc to musi być Ziemia”, zdecydował. „Dawno temu? Czy daleko w przyszłości? Do diabła z tą kochanką i z problemami Sandsa! To wszystko nic nie znaczy.” Rozejrzał się wokoło, poszukując jakichś oznak życia. Czegoś podobnego do zwierzęcia albo do człowieka. Czegoś, co by mu wskazało, jaka to epoka, przeszłość czy przyszłość. Może dostrzegłby tygrysa szablozębego albo trylobita. Nie, za późno na trylobity; wtedy nie istniały takie pszczoły. „To jest przełom, który ci z Rozwoju Ziemi próbują odkryć od trzydziestu lat”, uznał w duchu. „A ten nędzny szczur to odnalazł i wykorzystał do swoich własnych sekretnych celów.” Świetne miejsce do ukrycia laluni. Co za świat! Erickson zaczął wolno, krok po kroku posuwać się do przodu...

W dali coś drgnęło. Przysłaniając oczy przed blaskiem z nieba, Rick próbował dostrzec szczegóły i domyślić się, co to jest. Prymitywny człowiek, człowiek z Cro-Magnon albo coś w tym stylu. A może wielkogłowy mieszkaniec przyszłości? Zmrużył oczy. Istota okazała się kobietą, poznał po włosach. Była w spodniach. Biegła ku niemu. „Cally”, pomyślał. „Kochanka doktora spiesząca ku mnie. Pewnie myśli, że jestem Sandsem.” Zamarł ze strachu. „Co robić?”, zastanawiał się nerwowo. „Może lepiej wróć.” Wykonał zwrot w kierunku, z którego przyszedł. Kątem oka ujrzał, że dziewczyna podnosi rękę.” Nie” pomyślał. „Nie rób tego.” Potknął się, przechodząc przez zamglony mały otwór łączący dwa światy: wejście do tuby scuttlera. Czerwona smuga lasera przeleciała nad jego głową. „Nie trafiłaś”, ocenił w przerażeniu. „Ale...” Poszukał wejścia, a gdy już je znalazł, począł z trudem się przez nie przeciskać. „Ale następnym razem. Następnym razem!”

– Stój! – wykrzyknął, nie patrząc na dziewczynę.

Jego głos odbił się echem wśród wypełnionych bzyczeniem kwiatów. Następny strumień lasera trafił go w plecy. Erickson wyciągnął dłoń i zobaczył, że przechodzi ona przez mgłę i znika po drugiej stronie. Była bezpieczna, ale reszta ciała nie. Już za późno na ucieczkę.

„Dlaczego ta dziewczyna nie zaczekała?”, zapytywał sam siebie. „Nie sprawdziła nawet, kim jestem? Czy aż tak się przestraszyła?” Promień lasera znów go uderzył. Trafił Ricka w tył głowy. To koniec. Nie istniała żadna szansa powrotu. Przejście na bezpieczną drugą stronę było dla niego zamknięte. Rick Erickson leżał martwy.

Stojąc na drugim końcu tuby Jiffi-scuttlera, Stuart Hadley czekał nerwowo. W pewnym momencie zobaczył, jak dłoń Ricka Ericksona przedziera się przez ścianę tuż nad podłogą. Palce wykrzywiły się gwałtownie. Wtedy Hadley kucnął i chwycił Ericksona za nadgarstek. Próbując się cofnąć, zdał sobie sprawę z sytuacji. Całą swoją siłą ciągnął Ericksona za rękę. To, co wydobył do wnętrza tuby, było jedynie zwłokami człowieka. Przerażony Hadley podniósł się wolno. Ujrzał dwa czyste otwory w ciele i już wiedział, że Ericksona zabito laserem, prawdopodobnie z dużej odległości. Potykając się o dno tuby, Hadley dotarł do przyrządów kontrolnych scuttlera i odciął dopływ mocy. Blask płynący z obręczy wejściowej natychmiast zgasł. Stuart wiedział, czy też miał nadzieję, że teraz, kimkolwiek byli zabójcy Ricka Ericksona, nie mogli pokonać tej bariery.

– Pethel! – krzyknął. – Zejdź tu natychmiast!

Podbiegł do stołu Ericksona i włączył interkom.

– Panie Pethel – wezwał pracodawcę. – Proszę przyjść do warsztatu. Erickson nie żyje.

Za chwilę Darius Pethel stał już obok sprzedawcy i badał ciało mechanika.

– Musiał znaleźć, czego szukał – mruknął roztrzęsiony właściciel. Jego twarz miała popielaty kolor. – Cóż, zapłacił za swoje wścibstwo. I to słono.

– Lepiej wezwijmy policję – odezwał się Hadley.

– Tak – przytaknął bezbarwnym głosem Pethel. – Oczywiście. Wyłączyłeś maszynę, dobra robota. Lepiej zostawmy ją samej sobie. Biedny chłopak, biedny, szalony chłopak. Widzisz, co go spotkało za to, że był na tyle inteligentny, by się czegoś domyślić. Spójrz, ma coś w dłoni.

Schylił się, by odgiąć palce Ericksona. Martwa ręka ścisnęła kępkę trawy.

– Nie pomoże mu żadna transplantacja – stwierdził ponuro. – Laser trafił go w głowę; dotarł do mózgu. Niedobrze. – Spojrzał na Stuarta Hadleya. – Tak czy inaczej, najlepszym transplantologiem jest Sands. A on z pewnością nie pomoże Ericksonowi, rękę za to.

– Miejsce, gdzie rośnie trawa – mruknął Hadley, dotykając kępki znalezionej w dłoni Ericksona. – Gdzie to może być? Na pewno nie na Ziemi. Przynajmniej nie w teraźniejszości.

– A zatem przeszłość – podsumował Pethel. – Mamy więc do czynienia z podróżą w czasie. Cudownie! – Twarz wykrzywiła mu się z bólu. – Przerażający początek. Jeden człowiek martwy. Ilu czeka podobny los? Co za potwór z tego Sandsa. Zrobi wszystko, aby tylko jego reputacja pozostała nieskazitelna. A może Sands o tym nie wie? Może dano tej kobiecie laser do samoobrony przed prymitywnymi gliniarzami pani Sands? Poza tym skąd pewność, że właśnie



Cally Vale zabiła Ricka, a nie ktoś zupełnie inny. Jedyne, co wiemy, to że Erickson nie żyje. I że z jego teorią było coś nie w porządku.

– Jeśli chcesz, zostaw tak tę sprawę. Sands z pewnością na tym skorzysta – powiedział Hadley. – Ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękoma. – Wstał i z trudem wziął głęboki oddech. – Czy możemy już wezwać policję? Ty zadzwoń, ja nie potrafiłbym z nimi rozmawiać. Zrób to, Pethel, proszę.

Darius Pethel ruszył niepewnym krokiem ku stołowi Ericksona i zaczął po omacku szukać telefonu. Zmysł dotyku odmawiał mu posłuszeństwa. W końcu Pethel podniósł słuchawkę, ale zaraz odwrócił się do Hadleya i rzekł:

– Czekaj, robimy błąd. Wiesz, gdzie powinniśmy zadzwonić? Do przedsiębiorstwa. Musimy powiedzieć o wszystkim ludziom z Rozwoju Ziemi. Przecież oni tego właśnie szukali. Niech przyjadą pierwsi.

Gapiąc się na pracodawcę, Hadley odparł:

– Ja... nie zgadzam się.

– To jest o wiele istotniejsze od obecnych problemów, ważniejsze od Sandsa. – Pethel począł wybierać numer. – Nawet śmierć naszego kolegi nie ma większego znaczenia. Wiesz, o czym myślę? Emigracja. Zobaczyłeś trawę w dłoni Ericksona. Rozumiesz, co to znaczy. Do diabła z tą dziewczyną po drugiej stronie, czy z kimkolwiek, kto strzelał do Ericksona. Do diabła z nami. Z naszymi upodobaniami i poglądami! – Pethel gestykulował żywo. – Do diabła z życiem nas wszystkich razem wziętych.

Z wolna Stuart Hadley zaczynał pojmować, albo tak mu się zdawało.

– Ale ona prawdopodobnie zabije kolejną osobę, która...

– Niech RZ się o to martwi – powiedział surowo Pethel. – Mają własną policję i uzbrojonych strażników. Niech najpierw ich wyślą. – Jego głos stał się niski i szorstki. – Najwyżej stracą paru ludzi, i co z tego? W grę wchodzi życie milionów. Kapujesz?

– T...tak – przytaknął Hadley z wahaniem.

– Cała ta sprawa podpada pod jurysdykcję RZ, gdyż wydarzyła się w jednym z ich scuttlerów – powiedział Pethel już spokojnym głosem. – Nazywaj to wypadkiem i myśl w ten sposób. Po prostu nieuniknione, choć okropne wydarzenie, jakie zaszło pomiędzy obręczą wejściową a wyjściową. Naturalnie przedsiębiorstwo powinno o tym wiedzieć.

Odwrócił się plecami do Hadleya, koncentrując się na telefonie do Leona Turpina, szefa RZ.

– Obawiam się, że coś się na ciebie szykuje – powiedział Salisbury Heim do swojego kandydata, Jamesa Briskina. Rozmawiałem z George'em Waltem.

– W porządku – przerwał James Briskin. – Z nim nie ma problemu. Wiem, czego chce, ale tego nie dostanie, Sal.

– Jeśli odmówisz współpracy z George’em Waltem, będę musiał zrezygnować z posady twojego menedżera – upierał się Sal. – Nie zniosę już więcej po tym przemówieniu na temat nawadniania planet. Zbyt dużo rzeczy obraca się przeciw nam. Nie możemy dodatkowo wziąć na siebie kłopotów z Georege’em Waltem.

– Jest gorzej, niż ci się wydaje – odparł Briskin po chwili milczenia. – Jeszcze o tym nie słyszałeś. Nadeszła wiadomość od Bruno Miniego. Był zachwycony moim przemówieniem i już tu jedzie, by, jak mówi, „połączyć ze mną siły”.

– Ale wciąż możesz... – zaczął Heim.

– Mini rozmawiał z reporterami, więc już za późno, by odwrócić od niego uwagę mediów. Przykro mi, Sal.

– Przegrasz.

– Trudno.

– Wkurza mnie jedynie fakt, że nawet jeśli wygrasz wybory, nie zdołasz działać na własną rękę – powiedział bez ogródek Heim. – Jeden człowiek nie dokona tak wielkich zmian. Satelita Złote Wrota Rozkoszy pozostanie, uśpieni pozostaną, także Nonovulid i konsultantów aborcyjnych możesz zlikwidować tu i ówdzie, ale nie... – przerwał, gdyż w drzwiach pojawiła się Dorothy Gill.

– Telefon do pana, panie Briskin. Ten pan twierdzi, że to pilne i że nie zajmie dużo czasu. Mówi, że pan go nie zna, więc się nie przedstawił. Jest kolorowy – dodała.

– Zaraz z nim porozmawiam – powiedział Jim. Najwyraźniej był zadowolony, że może przerwać rozmowę z Salem. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Przynieś telefon tutaj, Dotty.

– Dobrze, panie Briskin.

Wyszła i za chwilę wróciła z interkomem.

– Dzięki – rzucił Briskin, wyłączając pauzę.

Na ekranie pojawiła się twarz śniadego, przystojnego człowieka o przenikliwym spojrzeniu, dobrze ubranego i najwyraźniej poruszonego.

„Kto to może być?”, zastanawiał się Sal Heim. Nagle przypomniał sobie: nowojorski detektyw z prawdziwego zdarzenia, który pracował dla Myry Sands; niejaki Tito Cravelli. Twardy indywidualista. „Ciekawe, po co dzwoni do Jima?”

Postać Tito Cravellego odezwała się:

– Panie Briskin, chciałbym zjeść z panem lunch. Prywatnie. Muszę porozmawiać z panem o czymś w cztery oczy. To dla pana niesamowicie ważne, zapewniam. Na tyle ważne, że wolałbym, aby nikt nam nie przeszkadzał – dodał, rzucając okiem na Sala Heima.

„A może to próba zamachu?”, myślał Heim. „Jakiś fanatyk od Czystościowców, przysłany przez Verne’a Engela i jego bandę szaleńców?”

– Lepiej, żebyś nie szedł, Jim – doradził menedżer.

– Możliwe. Mimo wszystko zamierzam się spotkać z tym gościem – odparł Briskin, po czym zwrócił się do detektywa: – Gdzie i o której?

– Proponuję małą restaurację w slumsach Nowego Jorku – odparł Tito Cravelli. – W bloku nr 500 przy Piątej Alei. Zawsze tam jadam, kiedy jestem w Nowym Jorku; jedzenie przygotowywane jest ludzką ręką. To miejsce nazywa się „Scotty’s Place”. Odpowiada panu? Powiedzmy o pierwszej po południu czasu nowojorskiego.

– W porządku – powiedział Jim Briskin. – W „Scotty’s Place”. Byłem tam już kiedyś. Są na tyle łaskawi, że obsługują kolorowych.

– Każdy obsługuje kolorowych, kiedy ja jestem w pobliżu – oznajmił Tito.

Przerwał połączenie. Ekran zamazał się i zgasł.

– Nie podoba mi się to – powiedział Sal Heim.

– I tak jesteśmy zrujnowani – przypomniał Jim. – Czy sam tego nie mówiłeś minutę temu? – Uśmiechnął się lakonicznie. – Myślę, że już najwyższy czas wydobyć się z tarapatów, Sal. Wykorzystując każdą możliwość.

– Co mam powiedzieć George’owi Waltowi? On czeka. Miałem zorganizować twoją wizytę na satelicie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Termin upływa dzisiaj o szóstej wieczór. – Wyjął chusteczkę i otarł czoło. – Potem...

– Potem zaczną prowadzić systematyczną kampanię przeciwko mnie – dokończył za niego Jim.

Sal przytaknął.

– Przekaż George’owi Waltowi, że w przemówieniu, które wygłoszę dzisiaj w Chicago, zamierzam opowiedzieć się za zamknięciem satelity. A jeśli wygram wybory...

– Oni już wiedzą – przerwał Sal. – Był przeciek.

– Zawsze jest jakiś przeciek. – Jim nie wyglądał na zmartwionego.

Sal sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął zapieczętowaną kopertę; trzymał ją tam już od dłuższego czasu.

– Oto moja rezygnacja.

Jim Briskin przyjął kopertę. Bez otwierania włożył ją do torby.

– Mam nadzieję, że będziesz oglądał moje przemówienie w Chicago, Sal. To będzie jedno z najważniejszych.

Uśmiechnął się smutno do swojego eks-menedżera. Twarz Briskina odzwierciedlała ból z powodu załamania się współpracy. Kryzys trwał od dawna. Zerwanie układu wisiało w powietrzu już podczas wcześniejszych dyskusji. Ale Jim i tak zamierzał kontynuować swe dzieło i zrobić to, co uważał za stosowne.

Lecąc taksówką do „Scotty’s Place”, Jim Briskin myślał: „Przynajmniej teraz nie muszę poruszać sprawy Lurtona Sandsa ani słuchać rad Sala na żaden temat; skoro nie jest już moim menedżerem, nie może mi mówić, co mam robić.” W pewnym sensie była to ulga. W głębi duszy jednak, Jim Briskin czuł się bardzo nieszczęśliwy. „Czekają mnie kłopoty związane z Salem”, rozważał dalej. „Nie chcę ciągnąć tego wszystkiego bez niego.”

Cóż, kłamka zapadła. Sal ze swą żoną Patrycją udali się do domu w Cleveland na wypoczynek, który im się od dawna należał. Natomiast Jim Briskin z autorem przemówień, Philem Danville’em, i agentką prasową, Dorothy Gill, leciał w przeciwnym kierunku. Zmierzali ku centrum Nowego Jorku z lichymi sklepami i restauracyjkami, starymi podupadającymi budynkami mieszkalnymi i wszystkimi tymi mikroskopijnymi staromodnymi biurami, gdzie bez przerwy zawierano po kryjomu osobliwe transakcje. Mroczne miasto zawsze intrygowało Jima. Ale był to świat, o którym wiedział niewiele. Unikał nowojorskich okolic przez większość swego życia.

– On może jeszcze wrócić, Jim – odezwał się siedzący z tyłu Phil Danville. – Wiesz, jak się zachowuje Sal, kiedy jest przepracowany. Wybucho, nerwy mu puszczają. Jednak po miesiącu leniuchowania...

– Nie tym razem – stwierdził Jim; konflikt był zbyt ostry.

– A tak swoją drogą – wtrąciła się Dorothy – przed odejściem Sal powiedział mi, kim jest ten człowiek, z którym pan ma się spotkać. Sal go rozpoznał. Mówił, że to Tito Cravelli. Wie pan, detektyw Myry Sands.

– Nie, Sal nic mi nie powiedział na ten temat – odparł Briskin. Najwyraźniej czas, kiedy Heim służył mu własnym doświadczeniem, skończył się bezpowrotnie.

Zatrzymali się na krótko przy sztabie głównym Partii Liberalno-Republikańskiej. Phil Danville i Dorothy Gill wysiedli, a Briskin poleciał do „Scotty’s Place” na spotkanie z Tito Cravellim.

Cravelli, podniecony i zdenerwowany, czekał już w budzie na tyłach restauracji.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie Briskin – powiedział, kiedy Jim usiadł naprzeciw niego. – Wypił w pośpiechu resztę kawy. – To nie zajmie dużo czasu. W zamian za moje informacje, chcę zawrzeć z panem umowę. Jeśli zostanie pan wybrany, a tak się z pewnością stanie dzięki moim informacjom, powoła mnie pan do swego gabinetu. – Po tych słowach zamilkł.

– Dobry Boże – rzekł łagodnie Jim. – Czy to wszystko, czego pan pragnie?

– Tak. Chcę stanowiska prokuratora generalnego – powiedział Cravelli. – Pan otrzyma natomiast informacje, jakie przekazał mi człowiek z... – urwał nagle. – Myślę, że będę dobrym

prokuratorem generalnym. Zdołam sprostać obowiązkom... Jeśli nie, zwolni mnie pan. Ale musi mi pan najpierw dać szansę.

– Niech mi pan wyjawi te informacje. Nie mogę nic obiecać, dopóki ich nie usłyszę.

Cravelli zawahał się przez chwilę.

– Skoro raz panu powiem... Chociaż... dobrze. Pan jest uczciwy, Briskin. Każdy o tym wie. Otóż istnieje pewien sposób na pozbycie się kłopotu z uśpionymi. Może pan ich przywrócić do pełnej aktywności.

– Gdzie?

– Nie tutaj, oczywiście – powiedział Cravelli. – Nie na Ziemi. Człowiek, który zdobył dla mnie te informacje, pracuje w Rozwoju Ziemi.

Po chwili milczenia Jim Briskin odparł:

– Nareszcie przełom.

– Tak, odkrycia dokonała mała firma w Kansas City, która naprawiała wadliwego Jiffi-scuttlera. Maszyna znajduje się teraz w RZ i jest sprawdzana przez inżynierów. Została przetransportowana na wschód dwie godziny temu. Zadziałali natychmiast, jak tylko właściciel firmy się z nimi skontaktował. Wiedzieli, jak wiele to znaczy. My też zdajemy sobie sprawę: ja, pan i mój człowiek z RZ – dodał po chwili.

– Dokąd się dostali, do jakich czasów?

– Nie wiadomo dokładnie, czy była to podróż w czasie. Nastąpiło przeniesienie w jakieś szczególne warunki. To wszystko, co na razie ustalono. Planeta o prawie takiej samej masie jak Ziemia, o podobnej atmosferze, dobrze rozwiniętej faunie i florze. Ale to nie Ziemia. Udało im się już zrobić zdjęcie nieba, odczytać układ ciał niebieskich. W ciągu następnych kilku godzin prawdopodobnie zdołają wszystko oszacować na tyle dokładnie, by rozpoznać, w jakim systemie leży to miejsce. Z pewnością jest bardzo odległe, zbyt odległe, by skierować tam statki zwiadowcze, przynajmniej na razie. Ten przełom, tę drogę na skróty, trzeba będzie wykorzystywać przez co najmniej dwadzieścia lat.

Do stołu podeszła kelnerka, by przyjąć zamówienie od Jima.

– Poproszę kawę syntetyczną Perkina – wymamrotał nieobecny głosem Briskin.

Kelnerka odeszła, by zrealizować zamówienie.

– Jest tam Cally Vale – powiedział Tito Cravelli.

– Co?!

– Doktor ją tam umieścił. Dlatego mój człowiek skontaktował się ze mną. Jak pan wie, zostałem wynajęty do odnalezienia Cally. Proces wymaga jej obecności. Zrobiło się niezłe zamieszanie; dziewczyna wypaliła z lasera do pracownika firmy w Kansas City. To jedyny naprawdę doświadczony specjalista od naprawy scuttlerów. Sprawdzał maszynę Sandsa i jakoś dostał się do środka. Miał pecha. Ale w obliczu ważniejszych spraw...

– Tak – zgodził się Jim Briskin.

Cravelli miał rację. Śmierć jednego człowieka to rzeczywiście niewielki koszt. W grę wchodziło przecież życie miliardów, a może nawet bilionów.

– Naturalnie cała sprawa jest ściśle tajna. RZ postarał się o maksymalne zabezpieczenia. Szczęście, że w ogóle otrzymałem te informacje. Gdybym wcześniej nie miał w RZ swojego człowieka... – mówił Cravelli, żywo gestykulując.

– Powołam cię do gabinetu. Jako prokuratora generalnego – oznajmił Jim Briskin.

„Nie podoba mi się ten układ, ale sądzę, że jest uczciwy”, pomyślał Jim. „I bardzo korzystny. Dla mnie, a także dla każdego człowieka na Ziemi. Zarówno dla uświadomionych jak i nie. Dla nas wszystkich.”

Rozluźniony już i przejęty tryumfem, Tito Cravelli bełkotał:

– Rany! Wprost nie mogę uwierzyć, to wspaniałe!

Wyciągnął dłoń, ale Jim zignorował ten gest. Miał teraz zbyt wiele na głowie, by chcieć gratulować Tito Cravellemu.

„Sal Heim trochę za szybko zrezygnował”, myślał Jim. „Powinien jeszcze zostać. Intuicja polityczna zawiodła go w kluczowym momencie.”

Siedząc w swym biurze, konsultantka aborcyjna, Myra Sands, jeszcze raz przeglądała raport Tito. Za oknem z głośników płynęła czyjaś wypowiedź na temat znalezienia Cally Vale. Do wiadomości publicznej podała tę informację policja.

– Nie myślałem, że jesteś do tego zdolny, Tito – powiedziała do siebie Myra. – Cóż, myliłam się. Byłeś wart tak wysokiego wynagrodzenia. Proces już prawie gotowy – szeptała z ulgą.

Z pobliskiego biura doszedł Myrę wzmocniony męski głos, który po chwili nieco ścisł. Ktoś nastawił telewizor i oglądał przemówienie kandydata Partii Liberalno-Republikańskiej.

– Chyba ja także powinnam tego posłuchać – rzekła półgłosem Myra i wyciągnęła rękę, by włączyć odbiornik tv stojący na biurku. Po chwili na ekranie pojawiła się ciemna sylwetka Jima Briskina. Myra odwróciła krzesło do telewizora i odłożyła raport Tito. W końcu każde słowo Jima Briskina było niezwykle istotne; ten człowiek miał szansę zostać ich kolejnym prezydentem.

– ...przede wszystkim zamierzam rozpocząć legalną kampanię przeciw satelicie zwanemu Złote Wrota Rozkoszy – mówił Briskin. – Wiem, że wielu z was nie zaakceptuje tej akcji, ale jest ona bliska memu sercu. Zastanawiałem się nad tym dłuższy czas. Nie podjąłem decyzji pod wpływem emocji. Sądzę, iż wszyscy w końcu zrozumieją, iż Złote Wrota są już zupełnie nie na czasie. Seksualność w naszym społeczeństwie mogłaby znowu zyskać wymiar biologiczny jako środek do dawania życia, a nie jako cel sam w sobie.

„Czyżby?”, myślała Myra z przekąsem. „A niby w jaki sposób?”

– Zamierzam się podzielić wiadomością, której nikt z was jeszcze nie zna – kontynuował Briskin. – Pewne odkrycia zmieniają całe nasze życie... Jak bardzo, tego nikt nie zdoła w tej chwili przewidzieć. Otwiera się przed nami nowa możliwość emigracji. W Rozwoju Ziemi...

Zadzwoił wideofon na biurku Myry. Klnąc ze złością, ściszyła telewizor i podniosła słuchawkę.

– Tu Myra Sands, czy mógłbyś oddzwonić za jakiś czas? Dziękuję. Jestem teraz bardzo zajęta.

Dzwonił ciemnowłosy chłopak, Art Chaffy.

– Byliśmy ciekawi, co pani zdecydowała – wymamrotał, ale nie odwiesił słuchawki. – To wiele dla nas znaczy, pani Sands.

– Wiem, Art. Ale jeśli dacie mi parę minut, może pół godziny...

Starła się wyłowić słowa Jamesa Briskina, dobiegające z odbiornika telewizyjnego. Ale słyszała jedynie niewyraźny bełkot. „Jaką wiadomość chciał przekazać? Gdzie mieliby emigrować? Dziewicze tereny? Najwidoczniej. Ale gdzie dokładnie?”, zastanawiała się Myra. „Czy pan zamierza wyciągnąć ten nowy świat z rękawa, panie Briskin? Jeśli tak, chciałabym to zobaczyć!”

– W porządku, zadzwonię później, pani Sands. I przepraszam, że panią niepokoiłem – powiedział Art Chaffy i rozłączył się.

– Powinieneś słuchać teraz przemówienia Briskina – warknęła Myra, odwracając krzesło z powrotem w stronę odbiornika.

Następnie pochyliła się, przekręciła gałkę, tak że głos Briskina znów stał się dobrze słyszalny. „Teraz ty jesteś najważniejszy, Jim”, oświadczyła w myślach.

– ...według raportów, które do mnie dotarły, teren ten ma atmosferę o składzie prawie identycznym z ziemską i podobną siłą grawitacji – mówił powoli i z mocą Briskin.

– Wielki Boże – odezwała się Myra. – Jeśli sprawy tak stoją, to stracę pracę. – Serce zaczęło jej walić jak młotem. – Nikt już nie będzie dokonywał aborcji. Ale szczerze mówiąc, i tak się cieszyć zdecydowała. – To wielka rzecz. Chciałabym pozbyć się tego obowiązku na zawsze. – Z mocno zaciśniętymi dłońmi jeszcze raz słuchała wygłoszonego przed chwilą przemówienia Jima Briskina. „Mój Boże”, myślała. „Tworzy się właśnie fragment historii. Jeśli to odkrycie jest prawdą, a nie zwykłym, chwytem reklamowym?” Ale coś w głębi duszy mówiło Myrze, iż Briskin nie kłamie. Zresztą nie był typem człowieka, który mógłby coś podobnego wymyślić.

W jednym z biur Departamentu Dobra Publicznego w Oackland w Kalifornii Herbert Lackmore także słuchał przemówienia Jima Briskina, które puszczone z satelity LR szło na wszystkie kanały. „Teraz z pewnością zostanie wybrany”, zrozumiał Lackmore. „W końcu będziemy mieli kolorowego prezydenta, tak jak się obawiałem. Jeśli rzeczywiście zaistnieje

nowa możliwość emigracji do nie tkniętego świata o podobnej do ziemskiej faunie i florze, wtedy wszyscy uśpieni zostaną zbudzeni.”

To by oznaczało, że usługi Herba Lackmore’a natychmiast przestaną być potrzebne. „Przez niego stracę robotę”, pomstował Lackmore. „Zrównam się z tymi wszystkimi kolorowymi, którzy napływają tu strumieniami. Będę jak jakiś dziewiętnastoletni Meksykanin, Portorykańczyk czy Murzyn, bez żadnych perspektyw, bez nadziei. Cały mój życiowy dorobek zostanie unicestwione za jednym pociągnięciem.”

Drżącymi rękoma Herb Lackmore otworzył książkę telefoniczną i zaczął przerzucać kartki. Najwyższa pora dołączyć do organizacji Verne’a Engela. Członkowie Partii Czystości nie będą bowiem siedzieć beczynnie i pozwalać na takie poczynania. Jeśli wierzą w to, co robią. Nadszedł czas, by Czystościowcy wykonali ruch, niekoniecznie pokojowy. Na to już za późno. Teraz trzeba czegoś więcej, o wiele więcej. Sprawy przybrały przerażający obrót. Koniecznie należało to zmienić, szybko i bezpośrednio. „Jeśli oni niczego konkretnego nie zrobią, ja się za to wezmę. Nie boję się. Wiem, iż problem musi zostać zlikwidowany raz na zawsze”, myślał Herb.

Twarz przemawiającego Jima Briskina miała wyraz niezwykle stanowczy, kiedy mówił: zwrócił się George do swego brata, Walta.

– ...stworzymy warunki pracy dla każdego członka naszego społeczeństwa. Dzięki temu nareszcie...

– Czy wiesz, co to oznacza?

– Owszem – odparł tamten. – Ten robak Sal Heim nic nie wskórał. Kompletnie nic. Ty oglądaj Briskina, ja zadzwonię do Verne’a Engela i spróbuję coś załatwić. Z nim możemy współpracować.

– W porządku – zgodził się George, kiwając głową. Skierował swe oko ku ekranowi, podczas gdy jego brat wziął się za wybieranie numeru.

– Cały ten zamęt z Salem Heimem... – burknął Walt, po czym ściszył głos, gdyż George szturchnął go łokciem na znak, że chce posłuchać przemówienia.

– Przepraszam – powiedział Walt, zwracając oko ku ekranowi.

W drzwiach gabinetu pojawiła się Thisbe Olt. Miała na sobie kostium z brunatnej skóry w nieregularne przezroczyste pasy.

– Pan Heim wrócił – poinformowała. – Chce się z wami widzieć. Wygląda na przygnębionego.

– Nie prowadzimy już interesów z Salem Heimem – oświadczył ze złością George.

– Powiedz mu, żeby wracał na Ziemię – dodał Walt. – Od tej chwili satelita jest dla niego zamknięty. Heim nie ma prawa odwiedzać żadnej z naszych dziewczyn, za żadną cenę. Niech



powoli umiera z frustracji.

George przypomniał bratu kwaśno:

– Heim nie będzie nas już potrzebował, jeśli Briskin mówi prawdę.

– Jim mówi prawdę – powiedział Walt. – Zbyt wielki z niego kretyn, by kłamać. On tego nie potrafi.

W tym momencie na ekranie wideofonu pojawiła się podobizna jednego z przybocznych Verne'a Engela. Chłopak był odziany w jaskrawy, zielono-srebrny mundur Czystościowców.

– Chcę rozmawiać osobiście z Verne'em – zakomunikował Walt, robiąc użytek ze wspólnych ust właśnie w momencie, gdy George zamierzał posłać jeszcze kilka uwag w kierunku Thisbe. – Powiedz szefowi, że to dzwoni Walt z satelity.

– Możesz już iść – odezwał się George do Thisbe, kiedy Walt skończył mówić. – Jesteśmy zajęci.

Thisbe rzuciła mutantowi szybkie spojrzenie i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Na ekranie pojawiła się twarz Verne'a Engela.

– Widzę, że przynajmniej jeden z was śledzi propagandę Briskina – powiedział Engel. – Jak zdecydowaliście, która połowa ma do mnie zadzwonić, a która słuchać tego kolorowego?

Twarz Engela wykrzywiła się w drwinie.

– Uważaj, nie przeholuj – odparowali jednocześnie obaj bracia.

– Przepraszam, nie chciałem nikogo urazić – powiedział Engel, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się. – No więc, co mogę dla was zrobić? Streszczajcie się, proszę, ja też chcę obejrzeć przemówienie Briskina.

– Będziesz potrzebował pomocy – zaczął Walt. – Oczywiście jeśli pragniesz powstrzymać Briskina. To przemówienie toruje mu drogę na szczyt. Nie sądzę, by wystarczyło, zgodne z ustaleniami, równoległe nadawanie transmisji z naszego satelity. To, co on mówi, jest cholernie sprytne, prawda, George?

– Jasne – odparł brat, wpatrując się w ekran. – Z każdą sekundą idzie mu coraz lepiej. A to dopiero początek. Potrafi rzucić urok. Działa z siłą gromu.

– Słyszałeś, że Jim Briskin występuje przeciwko nam? – kontynuował Walt, nie odrywając oka od ekranu. – Na pewno dotarła do ciebie ta część przemówienia. Wszyscy w kraju już o tym wiedzą. Nie wystarcza mu projekt nawadniania planet Bruno Miniego, chce się jeszcze zabrać za nas. Zbyt wielkie zamiary jak na kolorowego. Ale najwyraźniej on sam i jego doradcy sądzą, że jest w stanie im podołać. Zobaczmy. Co uczynisz, Engel, w tak decydującym momencie?

– Mam pewien plan – zapewnił Engel.

– Nadal chcesz powstrzymać się od przemocy?

Nie było odpowiedzi, ale na twarzy Engela pojawił się grymas.

– Przyjedź do Złotych Wrót. Pogadamy – zaproponował Walt. – Mój brat i ja nie

omieszkamy złożyć dotacji na rzecz Partii Czystościowej. Powiedzmy... dziesięć, jedenaście milionów. Czy to wam pomoże? Z takimi pieniędzmi powinniście zaspokoić każdą potrzebę.

– J-jasne, George czy Walt, którykolwiek z was to mówi – wyjąkał Engel z twarzą jak papier.

– Przybądź tutaj najszybciej jak możesz – poinstruował Walt i przerwał połączenie. – Myślę, że zrobi to dla nas – zwrócił się do brata.

– Taka glista jak on nie podoła niczemu – ocenił chłodno George.

– To co my, na Boga, wyrabiamy? – zareagował Walt.

– Robimy, co możemy. Wesprzemy Engela, pokierujemy nim, popchniemy we właściwym kierunku, jeśli to konieczne. Ale nie złożymy w nim wszystkich naszych nadziei. Dla pewności będziemy jednocześnie działać na własną rękę. A pewność mieć musimy; sprawa jest poważna. Ten kolorowy naprawdę gotów zamknąć Złote Wrota.

Oboje oczu skierowało się jednocześnie w stronę ekranu tv i obaj bracia rozsiedli się na specjalnej szerokiej kanapie, by posłuchać przemówienia.

W swym luksusowym apartamencie w Reno doktor Lurton Sands siedział zaabsorbowany przed odbiornikiem telewizyjnym, przysłuchując się przemówieniu kandydata Jamesa Briskina. Wiedział, co to wszystko oznacza. Było tylko jedno miejsce, gdzie można by się natknąć na „bujne, dziewicze środowisko”. Najwyraźniej odnaleźli Cally. Lurton Sands podszedł do biurka, wyciągnął z szuflady mały pistolet laserowy i wrzucił do kieszeni płaszcza. „Jestem naprawdę zdziwiony, że Briskin tego dokonał”, myślał Sands. „Sprawił, że moje problemy powróciły. Najwyraźniej go nie doceniałem. Teraz wszystkie życia, które mógłbym ocalić, zostaną stracone. A Briskin jest odpowiedzialny za... Odebrał mi moc uzdrawiania. Zaciemnił siłę pracującą dla dobra ludzkości.”

Przez wideofon Sands zamówił taksówkę w lokalnym przedsiębiorstwie.

– Chcę możliwie szybko polecieć do Chicago.

Podał swój adres, a potem pospiesznie opuścił mieszkanie i udał się ku windzie. „Myra, jej detektywi i te wszystkie gazety chcą zaszczuć mnie i Cally na śmierć. A teraz dołączył do nich jeszcze Jim Briskin. Dlaczego obniżył się do ich poziomu? Czy nie wykazałem dotąd, jak wiele robię w służbie ludzkości? Briskin musi sobie z tego zdawać sprawę. Czy to możliwe, że chce pozwolić, aby chorzy umierali?”, myślał wzburzony Sands. „Czy skaże na śmierć wszystkich tych, którzy na mnie czekają, potrzebują mojej pomocy? Kto ich uratuje, jeśli ja zginę?” Dotykając pistoletu w kieszeni, Sands powiedział ponurym głosem:

– Oczywiście bardzo łatwo mylnie osądzić drugą osobę. „Tak łatwo jest człowieka nabrać”, dodał w myślach. „Celowo wprowadzić w błąd. Tak, celowo!”

Taksówka zahamowała gwałtownie i otworzyła drzwi.

Skończywszy przemawiać, Jim Briskin usiadł z głębokim przekonaniem, że przynajmniej tym razem spisał się na medal. Było to najlepsze przemówienie w jego karierze. W pewnym sensie jedyne naprawdę treściwe. „Co teraz?”, zapytywał sam siebie. „Sal odszedł, a z nim także Patrycja. Obraziłem potężnych i niezwykle bogatych jednogłowych braci, George’a i Walta, nie mówiąc już o samej Thisbe... i Rozwój Ziemi, który też ma wiele do powiedzenia. Wściekną się, że informacja o dokonanych przez nich odkryciach została podana do publicznej wiadomości. Ale to bez znaczenia. Jak również nie jest istotny fakt, iż obiecałem powołać słynnego prywatnego detektywa na prokuratora generalnego. Wszystko nieważne. Miałem tylko wygłosić przemówienie natychmiast po otrzymaniu informacji od Tito Cravellego. I wykonałem zadanie. Co do joty. Nieważne, jakie będą tego konsekwencje.”

Phil Danville podszedł do Briskina i poklepał go przyjacielsko po plecach:

– Kawał dobrej roboty, Jim. Naprawdę przeszedłeś samego siebie.

– Dzięki, Phil – wymamrotał Briskin.

Czuł się zmęczony. Skinął głową na pożegnanie operatorom telewizyjnym i razem z Philem Danville’em dołączył do członków swojej partii, czekających na tyłach studia.

– Potem. Muszę się czegoś napić – odezwał się Jim, kiedy liczne ręce wyciągnęły się, by uściskać jego prawicę.

– Ciekawe, co zrobi opozycja – mówił do siebie. – Co może powiedzieć Bill Schwarz? W zasadzie nic. Wyłożyłem kawę na ławę i nie ma już odwrotu. Teraz, kiedy wszyscy wiedzą, że istnieje szansa emigracji, sprawa będzie posuwać się naprzód, i to wielkimi krokami. Dzięki Bogu, magazyny zostaną nareszcie opróżnione, co powinno stać się już dawno temu. „Szkoda, że nie wiedziałem o tym cudownym miejscu wcześniej, zanim zacząłem się opowiadać za projektem Bruno Piniego”, pomyślał nagle. „Mógłbym tego uniknąć, podobnie jak zerwania z Salem. Ale tak czy owak, zostanę wybrany.”

– Jim, myślę, że osiągnąłeś cel – odezwała się cicho Dorothy Gill.

– Bez wątplenia – powiedział Phil Danville, uśmiechając się z rozkoszą. – Co o tym myślisz, Dotty? Już nie jest tak jak wcześniej. Skąd wytrzasnąłeś te informacje, Jim? Musiały cię nieźle kosztować...

– To prawda – odparł krótko Briskin. – Zapłaciłem zbyt wiele. Ale dałbym nawet dwa razy tyle.

– A teraz chodźmy na drinka – rzekł ochoczo Phil. – Za rogiem jest bar. Zauważyłem go, kiedy tu jechaliśmy. Chodźmy.

Ruszył ku drzwiom, a za nim podążył Jim, trzymając ręce głęboko w kieszeniach płaszcza. Niemal cała jezdnia, jak zauważył Briskin, była zatłoczona ludźmi, machającymi do niego

i wiwatującymi na powitanie. On także pomachał do swoich zwolenników: zarówno białych jak i kolorowych. „Dobry znak”, pomyślał posuwając się krok za krokiem za umundurowanymi policjantami, torującymi drogę przez tłum do baru, który wskazał Phil Danville. Nagle przez tłum zaczęła się prześlizgiwać drobna rudowłosa dziewczyna w krzykliwym futrzanym kostiumie – ubiorze modnym wśród dziewczyn ze Złotych Wrót. Z trudem łapiąc oddech, spieszyła w stronę gwiazdy wieczoru i jego gwardii przybocznej.

– Panie Briskin...

Jim przystanął mimowolnie, zastanawiając się, kim była i czego chciała. Szybko się domyślił, że to jedna z dziewczyn Thisbe Olt.

– Tak? – powiedział i uśmiechnął się.

– Panie Briskin – wysapała rudowłosa panna. – Po satelicie krąży pogłoska, że George Walt ma jakieś interesy z Verne’em Engelem, szefem Czystościowców.

Chwyła Briskina za rękę, by go zatrzymać.

– Chyba chcą pana zamordować. Proszę być ostrożnym. – Widać było, że jest bardzo przejęta.

– Jak się nazywasz? – spytał Jim.

– Sparky Rivers. Ja tam... pracuję, panie Briskin.

– Dziękuję, Sparky. Na pewno cię zapamiętam. Może któregoś dnia dam ci jakieś stanowisko w rządzie – rzekł, uśmiechając się szeroko.

Dziewczyna nie odwzajemniła uśmiechu.

– Żartowałem – powiedział. – Nie bądź taka smutna.

– Myślę, że oni naprawdę planują na pana zamach – powtórzyła ostrzeżenie Sparky.

– Niewykluczone. – Jim wzruszył ramionami. Oczywiście, było to możliwe. Pochylił się lekko do przodu i pocałował rudowłosą w czoło.

– Ty też dbaj o siebie – rzucił na odchodne i ruszył za Philem Danville’em i Dorothy Gill.

– Co zamierzasz zrobić, Jim – spytał po chwili Phil.

– Pozostaje mi czekać. A teraz zamierzam po prostu wypić drinka.

– Musisz siebie chronić – odezwała się Dorothy. – Co zrobimy, jeśli zginiesz?

– Możliwość emigracji pozostanie, nawet jeśli ja odejdę – powiedział Briskin. – Nadal będziecie mogli obudzić śpiących. Tak jak jest napisane w kantacie 140 Bacha: Wachet auf. „Zbudźcie się, śpiący”. Od tej chwili to musi być waszym hasłem.

– Oto bar – zakomunikował Phil Danville.

Policjant chicagowski otworzył przed nimi drzwi i weszli do środka jedno za drugim.

– To szalenie miło ze strony tej dziewczyny, że mnie ostrzegła – zauważył Briskin.

– Pan Briskin? – odezwał się męski głos obok Jima. – Jestem Lurton Sands Junior. Może czytał pan o mnie ostatnio w gazetach?

– O tak – odparł Jim, zdziwiony widokiem transplantologa. Wyciągnął do niego rękę na powitanie. – Cieszę się, że pana widzę, doktorze Sands. Chciałbym...

– Pozwoli pan, że ja będę mówił – przerwał Sands. – Mam panu coś do oznajmienia. Przez pana moje życie i cała działalność humanitarna dwóch dziesięcioleci legła w gruzach. Niech pan nie odpowiada, nie zamierzam wdawać się w spór z panem. Mówię to po prostu dlatego, żeby pan znał powód – powiedział Sands, sięgając do kieszeni płaszcza. Wyciągnął z niej pistolet laserowy i skierował go prosto w pierś Jima Briskina.

– Nie pojmuję, co panu przeszkadzało w mojej pełnej poświęcenia pracy na rzecz chorych, do tego stopnia, by obrócił się pan przeciwko mnie. Co prawda wszyscy zapragnęli mnie zniszczyć, więc dlaczego i pan nie miałby do nich dołączyć? Bądź co bądź, cóż lepszego mógłby pan sobie postawić za cel, jeśli nie zrujnowanie mojego życia.

Pociągnął za spust. Pistolet nie wypalił. Lurton Sands spojrział na broń z rozczarowaniem.

– Myra, moja żona – westchnął niemal przeprasząco. – Usunęła oczywiście ładunek energetyczny. Najwyraźniej uważała, że użyję go wobec niej.

Odrzucił pistolet za siebie. Po chwili milczenia Jim Briskin odezwał się ochryplym głosem:

– No więc, co teraz, panie doktorze?

– Nic, Briskin, nic. Gdybym miał więcej czasu, sprawdziłbym pistolet. Ale musiałem się spieszyć, by tu pana zastać. Wygłosił pan niezwykle bohaterską mowę. Da ludziom wrażenie, że pragnie pan ulżyć w ich problemach... Oczywiście, pan i ja lepiej orientujemy się w sytuacji. A tak swoją drogą... Zdaje pan sobie sprawę, że obudzenie wszystkich uspijonych jest nierealne? Nie może pan dotrzymać danej obietnicy, bo niektórzy z nich są martwi. Ja sam ponoszę odpowiedzialność za śmierć około czterystu osób.

Jim Briskin patrzył na transplantologa oszołomiony.

– Tak, tak – potwierdził Sands. – Miałem dostęp do magazynów rządowych. Wie pan, o co chodzi? Pobranie każdego organu oznaczało śmierć jednego człowieka, który już nie zostanie ożywiony, nigdy!

– Nie, nie zrobiłby pan czegoś podobnego – wysapał Briskin.

– Ależ zrobiłem – upewnił go Sands. – Proszę jednak pamiętać: zabijałem tylko potencjalnie, w zamian za to ocalałem życie kogoś świadomego i żyjącego w teraźniejszości, kogoś zupełnie uzależnionego od mojej pomocy.

W tym momencie zbliżyło się do nich dwóch policjantów. Doktor Sands poderwał się, zirytowany, ale tamci przytrzymali go z dwóch stron. Błady na twarzy Phil Danville odezwał się:

– To próba zamachu, Jim? – Szybko stanął między Briskinem i doktorem Sandsem, osłaniając tego pierwszego. – Historia lubi się powtarzać.

– Tak – zdołał wyjąkać Jim.

Czuł, że zaschło mu w ustach. Był zrezygnowany. Jeśli nie udało się Lurtonowi Sandsowi,

może to zrobić ktoś inny. W bardzo prosty sposób. Technologia produkcji broni zbyt mocno rozwinęła się w ciągu ostatnich dwustu lat. Wiedział o tym każdy. Teraz zabójca nie musiał nawet znajdować się w pobliżu. Mógł, tak jak się rzuca czary, dokonać zbrodni z daleka. Sprzęt nie kosztował drogo i niemal każdy miał do niego dostęp. Nawet zwykły szaraczek bez znajomych, pieniędzy czy jakichś fanatycznych zapędów. Ten przypadek był ponurym zwiastunem.

– Cóż, myślę, że powinniśmy kontynuować – powiedział Phil Danville. – Co chcesz do picia?

– Czarną rosyjską – zdecydował Jim po chwili milczenia. – Wódka i...

– Wiem – przerwał Phil. Jego twarz wciąż przejęta była grozą. Niepewnie ruszył w kierunku baru, by złożyć zamówienie.

– Nawet jeśli mnie dostaną, już wykonałem swoje zadanie – odezwał się Jim do Dotty. – Powtarzam to sobie bez przerwy. Rozgłosiłem wiadomość o przełomie dokonanym przez RZ, wystarczy.

– Naprawdę tak pan sądzi? – indagowała Dorothy. – Aż tak źle ocenia pan swoje szansę? – Dziewczyna uporczywie wpatrywała się w szefa.

– Owszem – rzekł w końcu.

Briskin miał przeczucie, że to nie jest właściwa chwila, by czarny zdobył stołek prezydencki.

Wtyczką u Czystościowców był Dave DeWinter, który wstąpił do partii na samym początku i przez cały czas informował o wszystkim Tito Cravellego. Teraz pospiesznie referował mu najnowszą wiadomość.

– Spróbują późnym wieczorem. Człowiek, który ma tego dokonać, właściwie nie jest z partii. Nazywa się Herb Lackmore czy Lackmore. A ze sprzętem, jaki mu dostarczą, nie musi być nawet świetnym strzelcem. Tą broń nazywają otoczakiem – dodał DeWinter. – Zapłacił za nią George Walt, ten mutant, właściciel Żółtych Wrót.

– Rozumiem – powiedział Tito Cravelli. – Przepada mi stanowisko prokuratora generalnego – mruknął do siebie. – Gdzie mogę w tej chwili znaleźć tego Lackmore'a?

– W jego norze w Oakland, w Kalifornii. Prawdopodobnie je obiad. Jest tam w tej chwili koło szóstej.

Z zamkniętej szafy w swoim gabinecie Tito Cravelli wydobyl krótką laserową strzelbę z radarem o wysokiej mocy i owinawszy ją szmatą, wsadził do kieszeni. Posiadanie tego typu broni było surowo zakazane, ale obecnie nie miało to żadnego znaczenia. Cravelli i tak zamierzał postąpić niezgodnie z prawem bez względu na broń, jakiej by w tym celu użył.

Na złapanie Lackmore'a, czy tam Luckmore'a, było za późno. Zanim Tito by dotarł na zachodnie wybrzeże, Lackmore z pewnością zaczęły już podróż na wschód, próbując

przechwycić Jima Briskina. Ich samoloty minęłyby się w drodze. Lepiej zlokalizować Briskina i trzymać się blisko niego. Wtedy dorwie się Lackmore'a. Problem w tym, że dzięki broni, którą dostarczyli mu bracia mutanci, Herb Lackmore wcale nie musi być w pobliżu. Może znajdować się w odległości kilku kilometrów i z tak daleka trafić Briskina.

„Najlepiej, aby George Walt odwołał swojego snajpera”, zdecydował Cravelli. „To najpewniejszy sposób. Choć nawet on może zawieść.”

– Muszę lecieć na satelitę – powiedział do siebie. – Natychmiast, jeżeli chcę coś osiągnąć.

Mutanci z pewnością się go nie spodziewają. Nie wiedzą o jego powiązaniach z Jimem Briskinem, Tito miał przynajmniej taką nadzieję. Ponadto na satelicie pracowały dla Cravellego trzy dziewczyny. Dzięki temu istniały trzy miejsca, gdzie detektyw mógł się udać lub też ukryć podczas pobytu w Żółtych Wrotach. Od tego przecież zależało jego życie, kiedy już rozprawi się z George'em Waltem.

Oczywiście tylko w takim wypadku, gdy George Walt odmówi współpracy, jeśli podejmie walkę. Wtedy przegra. Tito Cravelli uchodził za wyborowego strzelca. Poza tym właśnie on przejmie inicjatywę.

Gdzie znajdował się w tej chwili satelita Żółtych Wrót Rozkoszy? Cravelli chwycił popołudniową gazetę i otworzył na dziale rozrywki. Gdyby satelita był, powiedzmy, nad Indianami, Tito nie miałby szans, nie mógłby złapać braci na czas.

Zgodnie z rozkładem rozpisany w gazecie, satelita powinien krążyć teraz dokładnie nad okolicami Utah. Taksówka dotrze tam w ciągu czterdziestu pięciu minut – wystarczająco szybko.

– Dzięki – zwrócił się do Dave'a DeWintera, który stał zakłopotany na środku gabinetu, w błyszczącym srebrno-zielonym mundurze. – Możesz wracać do Engela, będziemy w kontakcie.

Pędem opuścił gabinet i zbiegł po schodach na parter. Wkrótce leciał już na satelitę.

Gdy tylko taksówka wylądowała, Cravelli ruszył w dół po pochylni. Kupił bilet od nagiej złotowłosej strażniczki i pogonił przez piątą bramę, aby odszukać drzwi Francy. Pamiętał numer – 705, ale ze zdenerwowania nie mógł trafić. Było tam pięć tysięcy drzwi, korytarz za korytarzem. Wszędzie naokoło, po każdej stronie, podobizny dziewcząt: uśmiechnięte i szczebioczące, próbujące zwrócić jego uwagę i zwabić do środka. „Muszę sprawdzić w spisie”, zdecydował. To oznaczało stratę cennego czasu, ale nie miał wyboru. Roztrzęsiony biegł susami przez korytarz, aż znalazł ogromną oświetloną tablicę informacyjną z imionami. Napisy zapalały się i gasły, w zależności od tego, czy ktoś wchodził czy opuszczał pokój. Cravelli znalazł odpowiedni numer: 705. Aktualnie nie był zajęty przez żadnego klienta.

– Witam – powiedziała Francy, kiedy otworzył drzwi. Usiadła spoglądając na niego zdziwiona. – Panie Cravelli – zaczęła po chwili niepewnym głosem. – Czy wszystko

w porządku?

Naga, ześlizgnęła się z łóżka, przykrytego prześcieradłem z jakiegoś taniego materiału, i podeszła do Tito z wahaniem.

– Co mogę dla ciebie zrobić? Jesteś tutaj...

– Nie dla przyjemności. Załóż coś na siebie i posłuchaj mnie. Czy istnieje sposób, bym mógł spotkać się z George'em Waltem?

Franczy zastanowiła się przez moment.

– On nigdy tu nie zagląda. Ja...

– Przypuśćmy, że zaistniałyby jakieś kłopoty. Klient odmówiłby zapłaty...

– Nie, wtedy pojawiłaby się ochrona. George Walt przyjdzie, jeśli będzie myślał, że przybyła FBI albo policja i pragnie oficjalnie aresztować nas, dziewczyny. – Wskazała tajemniczy guzik na ścianie. – To właśnie służy w takich wypadkach. Szef wręcz obsesyjnie obawia się policji, sądzi, że ona wcześniej czy później na pewno się tu zjawi. George Walt ma chyba niezbyt czyste sumienie. Guzik jest połączony z biurem.

– Naciśnij go – powiedział Cravelli i wyciągnął laser, a następnie usiadł na łóżku Franczy i zaczął przygotowywać broń do użycia.

Mijały minuty.

Szczupła, naga dziewczyna stała niespokojnie przy drzwiach, nasłuchując.

– Co się dzieje, panie Cravelli? – spytała po chwili. – Mam nadzieję, że nie...

– Cicho – uciął ostro.

Drzwi do pokoju otwarły się. Stanął w nich George Walt, jedną rękę trzymając na guziku. W pozostałych trzech tkwiły kawałki metalowych rur.

Tito Cravelli wycelował broń w mutanta i powiedział:

– Nie zamierzam zabić obu, tylko jednego z was. Drugi pozostanie z martwą połową mózgu, z jednym martwym okiem i gnijącym ciałem przyczepionym do siebie. Nie przypuszczam, żeby wam się to podobało. Czy możecie mi zagrozić czymś równie przeraźliwym? Wątpię.

Po chwili milczenia jeden z braci, Cravelli nie wiedział który, odezwał się:

– Czego... chcesz?

Wściekłość wykrzywiła twarz szefa Żółtych Wrót. Jedno oko gapiło się na Tito, drugie na jego broń laserową.

– Wejdźcie i zamknijcie drzwi – rozkazał Cravelli.

– Dlaczego? – dopytywał się George Walt. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Po prostu wejdźcie do środka – powiedział Tito.

Mutant uczynił, jak kazał napastnik. Zatrzasnął drzwi i stanął twarzą w stronę detektywa, wciąż trzymając w rękach metalowe rury.

– Tu George – odezwała się głowa po chwili. – Kim jesteś? Bądź rozsądny. Jeśli nie



zadowolili cię usługi tej kobiety...

– Nie, czy nie widzisz, że to napad? – przerwał drugi brat. – On przyszedł tu, by nas obrabować. Przyniósł ze sobą broń.

– Zadzwońcie do Verne'a Engela – komenderował Tito. – On zaś skontaktuje się ze swoim wysłannikiem Lackmore'em. Razem odwołacie zamach. Załatwimy to w waszym biurze. Ty idź pierwsza i wskazuj drogę – zwrócił się do Francy. – Ruszaj, proszę, nie mamy zbyt wiele czasu.

Nagle Cravellego przeszył ostry ból żołądka wywołany chorobą wrzodową. Zacisnął więc zęby i na chwilę zamknął oczy.

Nad jego głową świsnął kawałek metalu. Tito wypalił z lasera w George'a Walta. Jedno z ciał potknęło się, ugodzone w ramię. Odniosło ranę, ale nie zostało zabite.

– Widzicie, to by był koszmar dla tego, który by przeżył – oznajmił Cravelli.

– Tak – powiedział mutant, przytakując śmiesznym kołysaniem głowy. – Będziemy z tobą współpracować, kimkolwiek jesteś. Zadzwońmy do Engela. Dogadajmy się, proszę.

Jedno oko wybałuszyło się i uczyniło szkliste ze strachu. Prawe stało się mętne pod wpływem bólu w zranionej ręce.

– W porządku – odparł Tito Cravelli.

„Może jeszcze będę prokuratorem generalnym”, myślał. Poszturchując braci laserem, prowadził ich ku drzwiom.

Broń, którą dostarczono Herbowi Lackmore'owi, zawierała kosztowną podobizną Jamesa Briskina. Wystarczyło umiejscowić laser kilka kilometrów od celu, pociągnąć za dźwignię, po czym wypalić poprzez naciśnięcie guzika.

Doskonały mechanizm, jak zauważył Lackmore, nie dostarczał prawie żadnej satysfakcji. Na dłuższą metę jednak nie to było najważniejsze. Przede wszystkim zapewniał załatwienie sprawy i możliwość ucieczki.

Dochodziła dziewiąta wieczorem. Jim Briskin siedział w pokoju hotelu Galton Plaża w Chicago, naradzając się ze swymi ludźmi. Czystościowcy, pikietując przed hotelem, zauważyli, jak wchodził, i poinformowali Lackmore'a.

„Zrobię to dokładnie kwadrans po dziewiątej”, zdecydował Lackmore. Siedział z tyłu wynajętego samochodu, a przygotowana broń leżała obok. Była nie większa od piłki futbolowej, ale dosyć dużo ważyła. Odbezpieczona, buczała cicho. „Ciekawe, skąd wzięto fundusze na taki sprzęt”, myślał. „To cacko kosztuje przecież fortunę, tak przynajmniej czytałem.”

Kilka minut później, kiedy czynił ostatnie przygotowania, na zacięzionym chodniku po lewej stronie samochodu pojawiły się dwa masywne, wyprostowane kształty. Ciemne sylwetki miały na sobie zielono-srebrne mundury, rzucające blade światło, podobne do blasku księżyca. Lackmore, podejrzewając coś, ostrożnie opuścił okno.

– Czego chcecie? – zapytał dwóch Czystościowców.

– Wyjdź z samochodu – odezwał się obcesowo jeden z mężczyzn.

– Co? – spytał hardo Lackmore, chociaż ciarki przebiegły mu po plecach; nie mógł sobie pozwolić na słabość.

– Nastąpiła zmiana planów. Właśnie zadzwonił do nas Engel. Masz oddać broń.

– Nie – zaprotestował Lackmore.

Oczywiście, partia zaprzedała się w ostatniej chwili. Herb nie wiedział dokładnie dlaczego, ale tak z pewnością było. Zamach nie dojdzie więc do skutku. Lackmore zaczął nagle ciągnąć za dźwignię u broni.

– Engel powiedział, żebyś sobie dał spokój! – krzyknął drugi z Czystościowców. – Nie rozumiesz?

– Rozumiem – mruknął Lackmore, szukając po omacku guzika detonacyjnego.

Drzwi samochodu otworzyły się z trzaskiem. Jeden z Czystościowców chwycił Lackmore'a za kołnier. Herb kopał i rzucał się, lecz po chwili został wyciągnięty z auta prosto na chodnik. Drugi mężczyzna wyrwał mu otoczaka, drogocenną broń, i z wprawą zaczął ją rozładowywać.

Lackmore walczył. Nie zamierzał się poddać.

Nie wyszło mu to na dobre. Ten, który wziął broń, zdążył już zniknąć w ciemności. Razem

z laserem ulotniły się przemysłne i drobiazgowo plany snute przez Lackmore'a.

– Zabiję cię! – wrzeszczał bezsilnie Lackmore, waląc na oślep potężnego Czystościowca, który trzymał go w uścisku.

– Nikogo nie zabijesz, koleś – odparł tamten i wzmocnił uchwyt na gardle Lackmore'a.

Nie można było tego nawet nazwać walką. Herb Lackmore nie miał szans. Zbyt długo dzierżył rządową posadę, zbyt wiele lat tkwił beczynnie za biurkiem.

Spokojnie, z wyraźną przyjemnością Czystościowiec wyciskał z niego życie. Okazał się w tym zdumiewająco dobry, jak na kogoś, kto uchodził za zdeklarowanego wroga przemocy.

Z biura mutantów, wyłożonego dywanem z łosia, Tito Cravelli zadzwonił do hotelu Plaża, do Jima Briskina.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Pielęgniarka ze Złotych Wrót bezskutecznie próbowała opatrzyć zranione ramię jednego z braci. Pracowała w milczeniu, podczas gdy Cravelli trzymał w gotowości laser, a Francyska stała w drzwiach biura z pistoletem, który Tito znalazł na biurku braci.

– Czuję się dobrze – odparł zaintrygowany Briskin. Widział doskonale George'a Walta leżącego za Tito.

– Trzymam wróbla w garści i nie mogę pozwolić mu odlecieć – powiedział Cravelli. – Masz jakieś propozycje? Zapobiegłem zamachowi na ciebie, ale jak, do diabła, stąd się teraz wydostać?

Detektyw zaczynał się martwić nie na żarty. Briskin po chwili rzekł:

– Poproszę policję z Chicago...

– Akurat! – parsknął drwiąco Cravelli.

Nie przyjdą, tego był pewien. Ich władza tutaj nie sięgała. Dowiedziono tego już niejednokrotnie. Ten obszar nie podlegał jurysdykcji Stanów Zjednoczonych.

– W porządku – powiedział Briskin. – Wyślę ci na pomoc paru ochotników. Pójdą tam, gdzie im każe. Mamy takich, którzy brali udział w starciach ulicznych z przedstawicielami organizacji Engela, oni będą wiedzieli, co zrobić.

– To już rozsądniejsze – rzekł Cravelli z ulgą. Wciąż dokuczały mu wrzody. Z trudem znosił ostry ból, zastanawiając się, czy ma szansę dostać gdzieś szklankę mleka.

– Takie napięcie mnie zabija – mówił dalej. – Poza tym nie jadłem obiadu. Muszą się tu znaleźć prędko, albo ja się poddam. Myślałem, by w ogóle zabrać George'a Walta z satelity, ale obawiam się, że nie zdołałbym doprowadzić go nawet do hali odlotów. Zbyt wielu pracowników Złotych Wrót spotkalibyśmy po drodze.

– Jesteście dokładnie nad Nowym Jorkiem – oznajmił Jim Briskin. – Dostarczenie tam ekipy nie zajmie dużo czasu. Ilu chcesz ludzi?

– Przynajmniej cały transporter. Właściwie to tyłu, ilu możesz mi przysłać. Chyba nie chcesz stracić przyszłego prokuratora generalnego.

– Niespecjalnie. – Briskin zdawał się spokojny, ale oczy mu błyszczały z emocji. Skubał swe wielkie wąsy w zadumie. – Może ja też się zjawię – powiedział w końcu.

– Dlaczego?

– By się upewnić, że udało ci się uciec.

– Twoja wola – rzekł Cravelli. – Ale nie radzę. Tutaj jest naprawdę gorąco. Znasz jakieś dziewczyny z satelity, które mogłyby cię przeprowadzić do biura George’a Walta?

– Nie – powiedział Jim Briskin, za chwilę jednak na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. – Czekał, znam jedną. Dzisiaj była tu w Chicago, ale może już zdążyła wrócić.

– Prawdopodobnie tak – odparł Cravelli. – Śmigają w tę i z powrotem z prędkością światła. W każdym razie możesz spróbować. Do zobaczenia i uważaj na siebie.

Połączenie zostało przerwane.

Wchodząc na pokład wielkiego autobusu odrzutowego wypełnionego ochotnikami L-R, Jim Briskin napotkał dwie znajome twarze.

– Nie jedź na satelitę – odezwał się Sal Heim, zatrzymując Jima. Z tyłu stała smutna Patrycja w długim płaszczu, trzęsąc się na wieczornym wietrze. – To zbyt niebezpieczne... Dobrze znam George’a Walta. W końcu nikt inny tylko ja miałem cię namówić na interesy z mutantem.

– Jeśli tam pojedziesz, Jim, nigdy już nie wrócisz – wtrąciła się Pat. – Jestem tego pewna. Lepiej zostań tu ze mną.

Chwyliła go za rękę, ale wyswobodził się z uścisku.

– Muszę jechać – oświadczył stanowczo. – W Złotych Wrotach jest mój człowiek. Muszę go stamtąd wydostać. Zbyt wiele dla mnie zrobił, bym go teraz zostawił samego.

– Ja pojedę zamiast ciebie – zaoferował Sal Heim.

– Dzięki.

To było miłe ze strony Sala, ale Jim pragnął odplacić Cravellemu za uratowanie życia. Musiał się upewnić, że Tito bezpiecznie opuszcza Złote Wrota. To wszystko.

– W najlepszym wypadku mogę ci zaproponować, abyś mi towarzyszył – zażartował Briskin.

– W porządku, pojedę z tobą – powiedział Sal, po czym zwrócił się do Pat: – Ale ty zostań tutaj. Jeśli uda nam się wrócić, powinniśmy albo pokazać się od razu, albo pozostać w ukryciu. Chodź, Jim.

Ruszył do przodu, by dołączyć do ochotników czekających już w autobusie.

– Uważaj na siebie – rzekła Pat do Briskina.

– Jak ci się podobało moje przemówienie? – spytał.

– Byłam w wannie, docierały do mnie tylko fragmenty twojej wypowiedzi, ale myślę, że

dokonałeś wielkiej rzeczy. Sal słyszał całość i to potwierdził. Teraz wie, że popełnił okropny błąd. Powinien się ciebie trzymać.

– Źle, że wcześniej nie doszedł do takiego wniosku – skwitował Jim.

– Nie powiesz czegoś w stylu „lepiej późno niż...”

– W porządku – odparł Jim. – Lepiej późno niż wcale.

Odwrócił się i ruszył za Salem Heimem do autobusu.

To, co powiedział, nie było prawdą. Zbyt wiele się wydarzyło; Heim za późno się przekonał o swojej pomyłce. Briskin i Sal zerwali ze sobą na wieki. Obaj o tym wiedzieli... lub raczej obaj się tego obawiali. Instynktownie szukali nowej drogi, nie mając pojęcia, jak ją znaleźć.

Kiedy autobus poderwał się do lotu, Sal Heim powiedział:

– Bardzo dużo osiągnąłeś od czasu, gdy ostatni raz cię widziałem. Chcę ci pogratulować. Nie żartuję, daleko mi do tego.

– Dzięki – rzekł krótko Briskin.

– Ale nigdy mi nie wybaczysz, że złożyłem rezygnację?

– Cóż, nie mogę cię za to winić. – Umilkł na chwilę. – Miałeś szansę zostać sekretarzem stanu.

Sal skinął głową.

– Tak bywa. W każdym razie uważam, że zwyciężysz, Jim. Twoje przemówienie to prawdziwe arcydzieło. Obiecywanie wszystkiego wszystkim. Milion złotych kurczaków w milionie złotych garnków. Nie ulega wątpliwości, że będziesz wspaniałym prezydentem, dumą całego narodu. – Uśmiechnął się ciepło. – A może robi ci się niedobrze, jak mnie słuchasz?

Satelita leżał dokładnie nad nimi. W centrum pola lądowiczego błyszczący różowy sutek skierował ich na odpowiednie stanowisko.

– To osobliwe, jak George Walt, połączony u podstawy czaszki, jest w stanie się przemieszczać. Musi być cholernie niezdamny.

– Do czego zmierzasz? – spytał Sal poirytowanym głosem.

– Do niczego szczególnego – odparł Briskin. – Ale można by się spodziewać, że jeden z nich już dawno powinien poświęcić drugiego dla własnej wygody.

– Czy widziałeś ich kiedykolwiek?

– Nie.

Briskin po raz pierwszy odwiedził satelitę.

– Są do siebie przywiązani – powiedział Sal Heim.

Autobus zaczął podchodzić do lądowania. Ruch wirowy satelity dostarczał stałego strumienia magnetycznego, wystarczającego do przytrzymania mniejszych obiektów.

„I tutaj właśnie popełniliśmy błąd”, pomyślał Briskin. „Nie powinniśmy nigdy pozwolić

temu miejscu stać się „przyciągającym”. Kiepski żart, ale Jima nie stać było na lepszy w tych warunkach. „Niewykluczone, że Pat miała rację”, przyszło mu do głowy. „Może ja i Sal już stąd nie wrócimy.” Nie podobała mu się taka perspektywa. Złote Wrota nie należały do miejsc, w których chciałby pozostać na zawsze. „Co za ironia, że moja pierwsza wizyta odbywa się w takich okolicznościach”, powiedział w duchu.

Drzwi autobusu otwarły się.

– Dotarliśmy do celu – oznajmił Sal Heim, podrywając się na nogi. – Idziemy tędy.

Razem z grupą wolontariuszy ruszył do najbliższego wyjścia. Jim Briskin dołączył do nich po chwili.

W bramie wejściowej ładna ciemnowłosa strażniczka uśmiechnęła się, ukazując białe zęby.

– Proszę o bilety.

– Wszyscy jesteśmy tutaj nowi – powiedział Sal Heim, wyciągając portfel. – Zapłacimy gotówką.

– Czy chcecie odwiedzić jakieś konkretne panie? – spytała, wciągając zapłatę do rejestru.

– Dziewczynę o imieniu Sparky Rivers – odezwał się Jim Briskin.

– Wszyscy? – Strażniczka zamruwała oczyma, po czym wzruszyła nagimi ramionami. –

W porządku, panowie – powiedziała grzecznym tonem. – O gustach się nie dyskutuje. Wejście numer trzy. Proszę uważać i nie tłoczyć się. Pokój trzy dziewięć pięć.

Podążyli w kierunku wejścia, które im wskazała. Naprzeciw, za bramą numer trzy, Jim Briskin ujrzał rząd jaśniejących złotych drzwi. Nad niektórymi świeciły się światła. Zrozumiał, że w tym momencie w danych pokojach nie przebywali klienci. Na drzwiach widniały podobizny dziewczyn, wołające kusząco, kiedy zbliżali się po kolei, szukając pokoju 395:

– Cześć!

– Witaj, kolego.

– Pospiesz się, czekam...

– Jak się masz?

– Tędy – poinformował Sal Heim. – Ale nie potrzebujesz jej, Jim. Ja też znam drogę do biura mutantów.

– Czy mogę ci zaufać? – szepnął Jim Briskin. – W porządku – rzekł głośno, mając nadzieję, że dokonuje właściwego wyboru

– Ta winda – powiedział Sal. – Naciśnij guzik C.

Wszedł do środka, a za nim wtłoczyła się część ochotników. Więcej niż połowa grupy została na korytarzu.

– Dołączcie do nas możliwie szybko – poinstruował ich Sal. Jim dotknął guzika C i drzwi windy zamknęły się bezgłośnie.

– Popadłem w depresję – wyznał Salowi. – Nie wiem dlaczego.

– To wina tego miejsca – wyjaśnił Sal. – Ono nie jest w twoim stylu, Jim. Gdybyś jednak był jakimś nędznym wyrobnikiem, spodobałoby ci się tutaj. Wpadałbyś do Złotych Wrót codziennie, jeśli tylko zdrowie by ci pozwalało.

– Nie sądzę – zaprzeczył Jim.

Funkcjonowanie tego przybytku, w pojęciu Briskina, zupełnie nie zgadzało się z zasadami etyki i estetyki. Drzwi od windy otwały się.

– Jesteśmy. Oto prywatny gabinet szefa satelity – przedstawił sytuację Sal. – Witaj, George'u Walcie – powiedział wychodząc z windy.

Mutanci siedzieli na specjalnie skonstruowanej szerokiej kanapie, przy wielkim biurku z drzewa wiśniowego. Jedno z ciał zwisało jak worek. Jedno oko było zupełnie bez wyrazu.

– On umiera – odezwała się głowa piskliwym głosem. – Myślę nawet, że już jest martwy.

Zdrowe oko o złośliwym wyrazie zwróciło się ku Tito Cravellemu, stojącemu w głębi gabinetu z laserem w ręku. Ręka zdrowego ciała puknęła w zwisające ramię towarzysza.

– Powiedz coś! – zaskrzeczała głowa.

Zdrowy mężczyzna z wielkim trudem dźwignął się na nogi. W tym momencie ranny bliźniak gwałtownie przechylił się do przodu. Ten zdrowy podtrzymał balast. Przez zwisające ciało przeszedł lekki dreszcz.

Nie było jeszcze martwe. Na twarzy zdrowego brata pojawiła się nadzieja. Natychmiast, śmiesznie chwiejnym krokiem, ruszył ku drzwiom.

– Biegnij! – wrzeszczała głowa. Ciało niezdarnie brnęło do wyjścia. – Uda nam się! – popędzał zdrowy towarzysz, w którym wciąż jeszcze tliło się życie, a ten zaczął się gramolić na czworakach, wywracając przy drzwiach zdumionych wolontariuszy.

Ochotnicy Briskina ruszyli gromadą, a między nimi biegli mutanci; zraniony mężczyzna runął na zdrowego, i kwicząc próbował się podnieść.

Kiedy George Walt powstał, Jim Briskin przepchnął się przez tłum i chwycił go za jedną z rąk. Ręka odpadła. Trzymał ją jeszcze, kiedy George Walt poderwał się na nogi i mijając drzwi, i ruszył w głąb korytarza.

– To jest sztuczne – odezwał się Briskin, podając oderwaną kończynę Salowi.

– Owszem – zgodził się Sal kamiennym głosem. Odrzuciwszy rękę na bok, biegiem podążył za George'em Waltem. Jim dołączył do Heima i razem pognali za mutantem wzdłuż wyłożonego dywanami korytarza.

Trójreżna istota biegła z wysiłkiem, potykając się o siebie, dwa ciała najpierw rozchodziły się, potem raptownie stykały razem. W końcu bracia upadli. Wtedy Sal Heim chwycił w pasie prawy tułów. Całe ciało się rozpadło – ręce, nogi i korpus, ale nie głowa. Drugiemu ciału w niewiarygodny sposób udało się powstać i znów podjąć ucieczkę.

George Walt wcale nie był mutantem. Okazał się najzwyczajniejszym osobnikiem. Briskin i Sal przyglądali mu się, gdy biegł. Nogi i ręce poruszały się żywo.

– Chodźmy stąd – odezwał się po dłuższym czasie Jim.

– W porządku – przytaknął Sal i odwrócił się ku ochotnikom, którzy wtargnęli na korytarz.

Tito Cravelli również opuścił gabinet, wciąż trzymając laser w ręku. Zobaczył oderwany jednoręki korpus, który stanowił połowę mutantą. Powoli dochodziło do jego świadomości, że druga część zniknęła właśnie za rogiem korytarza.

– Teraz już nigdy ich nie złapiemy – powiedział Tito.

– Raczej jego – powiedział kąśliwie Sal. – Zastanawiam się, który, George czy Walt, i dlaczego odgrywał tę ponurą rolę. Nie rozumiem.

– Jeden z nich musiał dawno temu umrzeć – stwierdził Cravelli.

Sal i Jim spojrzeli na detektywa ze zdziwieniem.

– Oczywiście – kontynuował spokojnie Tito. – To co wydarzyło się tutaj, zaszło już wcześniej. W porządku, byli mutantami złączonymi od urodzenia. Ale potem jeden z nich zginął, a drugi szybko odbudował brata z syntetycznych elementów. Inaczej nie mógłby żyć, bo mózg...

– przerwał. – Widzieliście, co chwilą temu zrobił dla tego żyjącego; cierpiał straszliwie. Pomyślcie, jak musiało być za pierwszym razem, kiedy...

– Ale on przeżył – zauważył Sal.

– Dopisało mu szczęście – rzekł bez cienia ironii Tito. – Szczerze mówiąc, cieszą się, bo na to zasłużył.

Przyklękawszy, zaczął badać korpus.

– Zdaje mi się, że to George. Mam nadzieję, że zostanie znowu doprowadzony do dobrego stanu. Za jakiś czas.

Podniósł się z ziemi.

– Jedźmy na górę na lądowisko. Chcę się stąd wreszcie wydostać – powiedział, wzdrygając się. – Potem z przyjemnością wypiję szklanek ciepłego chudego mleka. Dużą szklanekę.

Wszyscy trzej wraz z tłoczącymi się z tyłu wolontariuszami ruszyli ku windzie. Nikt ich nie zatrzymywał. Na szczęście korytarz był pusty. Nie dostrzegli tam nawet podobizn dziewcząt kuszących i zachwalających siebie przechodniom.

Kiedy znów znaleźli się w Chicago, Patrycja wyszła im na spotkanie.

– Dzięki Bogu – westchnęła. Otoczyła męża ramionami, a on przycisnął ją mocno. – Co się stało? Zdawało mi się, że nie było was wieki, chociaż naprawdę minęła zaledwie godzina.

– Opowiem ci później – odparł krótko Sal. – Teraz chcę odpocząć.

– Chyba przestanę walczyć o zamknięcie Złotych Wrót – powiedział nagle Jim.

– Co? – spytał zdumiony Sal.



– Może byłem zbyt twardy, zbyt purytański. Wolałbym nie odcinać mu środków utrzymania. Wydaje mi się, że na nie zapracował.

Czuł się odrętwiały, niezdolny do głębszego zastanowienia się nad sprawą satelity. Jednak to nie sama postać George'a Walta, dzielącego się na dwie istoty, sztuczną i prawdziwą, najbardziej zaszokowała Jima i sprawiła, że zmienił zdanie. Skłoniło go do tego wyznanie Lurtona Sandsa, mówiące o masach uśpionych, którzy zostali okaleczeni przez transplantologa.

Briskin myślał o tym, próbując znaleźć jakieś wyjście. Oczywiście, jeżeli ofiary Sandsa miałyby być kiedykolwiek obudzone, to muszą być ostatnie w kolejności. Do tego czasu może uda się zdobyć brakujące organy w BO. Ale była jeszcze inna możliwość. Przyszła mu do głowy właśnie podczas wizyty na satelicie. Wspólna egzystencja George'a i Walta potwierdziła działanie w całości mechanicznych organów. W tym właśnie Jim Briskin upatrywał rozwiązanie. Warto byłoby spróbować zawrzeć umowę z George'em Waltem. Zostawiłoby się go w spokoju, gdyby wyjawiał miejsce produkcji niezwykle wyszukanych i udanych sztucznych części organizmu. Najprawdopodobniej robiono je w jednej z niemieckich firm. Tamtejsze kartele prowadziły najbardziej zaawansowane tego rodzaju eksperymenty. Ale producentami mogli być także inżynierzy, którzy mieli kontrakt jedynie z samym satelitą, zatrudnieni tam na stałe. Tak czy inaczej, warto podjąć każdy wysiłek, aby ocalić czterysta ludzkich istnień. Trzeba wejść w układ z George'em Waltem bez względu na warunki z jego strony.

– Chodźmy napić się czegoś ciepłego – powiedziała Pat. – Zmarzłam na kość. – Ruszyła z kluczem w rękę w kierunku wejścia do głównej siedziby Partii Liberalno-Republikańskiej. – Możemy zaparzyć sztucznej kawy nietoksycznej.

– Dlaczego by nie pozwolić satelicie umrzeć śmiercią naturalną? – zastanawiał się głośno Tito, kiedy stali wokół garnka, czekając aż kawa się zagrzeje. – Kiedy ruszy fala emigracji, satelita może się przysłużyć stale malejącemu rynkowi pracy. Wspominałeś coś o tym w swoim przemówieniu z Chicago.

– W porządku – powiedział Jim. – Jeżeli George Walt da mi spokój, ja również nie będę się go czepiał. Ale jeśli stanie przeciwko mnie albo nie zgodzi się na umowę dotyczącą konstrukcji organów, wtedy podejmę odpowiednie działania, aby zlikwidować Złote Wrota. W każdym przypadku dobro tych czterystu uśpionych jest najważniejsze.

– Kawa gotowa – oznajmiła Pat i zaczęła nalewać.

– Nieźle smakuje – rzekł z uznaniem Sal, popijając napój.

– To prawda – przyznał Jim.

Filizanka syntetycznej gorącej kawy nietoksycznej (tylko kolorowi z niższych sfer pili prawdziwą) była dokładnie tym, czego potrzebował. Sprawiała, że poczuł się lepiej.

Mimo bardzo późnej pory, Myra Sands postanowiła zadzwonić do Arta i Rachael

Chaffy'ów. Wreszcie zdecydowała, co zrobić z ich przypadkiem, i uznała, że nadszedł moment, by im to zakomunikować.

Kiedy połączenie zostało zrealizowane, pani Sands odezwała się:

– Przepraszam, że dzwonię o tej porze, panie Chaffy.

– Nie szkodzi – powiedział sennie Art; najwyraźniej położyli się już spać. – O co chodzi?

– Myślę, że powinniście mieć dziecko – rzekła Myra.

– Naprawdę pani tak sądzi, ale...

– Gdybyście słuchali przemówienia Jima Briskina, wiedzielibyście dlaczego. Wkrótce wystąpi zapotrzebowanie na nowe rodziny. Wszystko uległo zmianie. Radzę tobie i twojej żonie poprosić Rozwój Ziemi o pozwolenie na emigrację wedle ich nowego sposobu. Możliwe, że będziecie jednymi z pierwszych, zasługujecie na to wyróżnienie.

– Emigracja? – spytał zdezorientowany Art Chaffy. – Czy to znaczy, że w końcu znaleźli jakieś miejsce? Nie musimy zostawać tutaj?

– Kup gazetę – powiedziała cierpliwie Myra. – Wyjdź z domu, znajdź punkt handlowy i przeczytaj przemówienie. Jest na pierwszej stronie. Potem zacznijcie się pakować.

Wiedziała, że RZ będzie musiał się zgodzić. Po przemówieniu Briskina nie mieli już wyboru.

– O rany, dziękujemy, pani Sands – bełkotał oszołomiony Chaffy. Zaraz obudzę Rachael i przekażę jej tę nowinę.

– Dobranoc, panie Chaffy. Życzę powodzenia – powiedziała Myra i rozłączyła się zadowolona.

„Szkoda że nie mogę tego uczcić jakimś przyjęciem”, myślała. „Niestety nikt inny nie jest na nogach o tej porze.”

Ale przynajmniej tej nocy położyła się do łóżka z czystym sumieniem. Po raz pierwszy od bardzo dawna.

Od siedemdziesięciu lat Leon Turpin zarządzał wielką siecią przedsiębiorstw, składających się na Rozwój Ziemi. Studwuletni Turpin był już staruszką, wciąż jednak dopisywało mu zdrowie psychiczne, choć fizycznie nie czuł się najlepiej. Największym zagrożeniem dla człowieka w jego wieku jest nieprzewidywany wypadek. Złamane biodro nigdy by się nie zrosło i skazałoby go na pozostanie na zawsze w łóżku.

Na szczęście żaden taki wypadek jak dotąd się nie wydarzył. Turpin, jak zwykle o ósmej rano, udawał się właśnie do centralnego biura administracyjnego RZ w Waszyngtonie. Szofer zatrzymał się przed osobistym wejściem Turpina, skąd specjalna winda zabrała starca na piętro, na którym mieścił się rząd jego biur. Podczas dnia pracy poruszał się tam na trójkołowym elektrycznym wózku.

Tego dnia, wjeżdżając na dwudzieste piętro, szef RZ aż drżał ze zdenerwowania. Poprzedniej nocy usłyszał, jak ktoś, prawdopodobnie jakiś kandydat polityczny, rozprawia nad tym, co Turpin uważał za największy sekret, znany tylko jego korporacji. A teraz okazało się, że RZ ma przecieki. Poirytowany Leon Turpin próbował sobie wyobrazić, jakim sposobem informacja mogła wyjść na zewnątrz. Politycy są wrogami zdrowej ekonomii. Nowe prawo, wyższe podatki... a teraz jeszcze to. A przecież nawet on sam nie zdażył przeanalizować odkrycia.

Dzisiaj będzie świadkiem technologicznego przełomu. Jeśli to bezpieczne, może przejść na drugą stronę.

Turpin lubił osobiście oglądać nowe wynalazki. W przeciwnym razie nie ogarniałby tego, co się działo. Wychodząc ostrożnie z windy, ujrzał swego asystenta administracyjnego, Dona Stanleya.

– Czy możemy się tam przedostać? – spytał Turpin.

Zbierała w nim coraz większa ochota, by to uczynić. Stanley, tęgi, łysy mężczyzna, noszący okulary w ciężkiej oprawie, odezwał się:

– Zanim wyruszymy, panie Turpin, chciałbym panu pokazać zdjęcia nieba, które tam wykonaliśmy. – Podtrzymał rękę szefa, dając mu oparcie. – Usiądźmy i porozmawiajmy.

– Nie zamierzam oglądać żadnych tabel – rzekł rozczarowany Turpin. – Pragnę tam się dostać.

Usiadł jednak koło Stanleya, który zaczął otwierać dużą szarą kopertę.

– Wykresy nieba wskazują, że nasza początkowa ocena sytuacji była błędna – oświadczył Stanley.

– To Ziemia – wydedukował Leon Turpin, czując wyraźne zniechęcenie.

– Tak – potwierdził Stanley.

– W przeszłości czy w przyszłości?

– Ani jedno, ani drugie – powiedział Stanley, pocierając dolną wargę. – Jeśli spojrzysz pan na wykresy...

– Po prostu mi powiedz – rzekł Turpin.

Odcyfrowanie wykresów przyszłoby mu z wielkim trudem, jego wzrok nie był już tak ostry jak dawniej.

– Przypuśćmy, że udamy się tam teraz – powiedział Stanley. – Postaram się panu wszystko pokazać. Przejście jest w pełni bezpieczne. Nasi inżynierowie umocnili i wydłużyli połączenie. Teraz eksperymentujemy nad dostarczeniem większej mocy.

– Czy to pewne, że wrócimy? – pytał zrzędliwie Turpin. – Z tego, co wiem, żyje tam dziewczyna, która już kogoś zabiła.

– Nasi policjanci już ją złapali – obwieścił z triumfem Don Stanley. – Z nimi na szczęście nie próbowała walczyć. Teraz jest w Nowym Jorku pod kontrolą tamtejszej policji. – Pomógł Turpinowi wstać. – A jeśli chodzi o te wykresy nieba: czuję się jak Babilończyk, kiedy zaczynam mówić o ciałach niebieskich i ich pozycjach, ale... – Spojrzał na Turpina. – Nie ma nic, co odróżniałoby niebo po tej stronie od tego z wnętrza tuby.

Leon Turpin na razie niewiele pojmował. Przytaknął jednak rzeczowym tonem:

– Rozumiem.

Wiedział, że wcześniej czy później jego zastępcy i wykwalifikowana kadra ze Stanleyem włącznie wyjaśnią dla niego tę sprawę.

– Powiem panu, kto powinien pana przeprowadzić na drugą stronę – powiedział Don Stanley. – Aby wszystko odbyło się jak najbezpieczniej, wynajęliśmy Franka Woodbine'a.

Na Leonie Turpinie zrobiło to wrażenie.

– Świetny pomysł – przyznał. – To ten słynny znawca kosmosu, który był w Alfie Centauri, Proximie i... – Nie mógł sobie przypomnieć trzeciej galaktyki odwiedzonej przez Woodbine'a. Pamięć wyraźnie zawodziła Turpina. – Zaangażowaliście więc eksperta w badaniu innych planet – dokończył słabym głosem.

– Będzie pan w dobrych rękach – zgodził się Stanley. – I myślę, że polubi pan Woodbine'a. Jest kompetentny, zrównoważony, chociaż nigdy nie wiadomo, co powie. Widzi świat na swój własny, twórczy sposób.

– W porządku – rzekł Turpin. – Z pewnością poinformowałeś media, że zamierzamy współpracować z Woodbine'em?

– Oczywiście – przytaknął Stanley. – Będą tu reprezentanci wszelkich środków masowego przekazu. Wychwycą każde słowo, jakie padnie z usta pana albo Woodbine'a. Niech pan się nie martwi, panie Turpin. Pańska wycieczka na drugą stronę nie przejdzie bez echa.

Turpin zachichotał z uciechy.

– Cudownie! – wykrzyknął. – Dobra robota, Don. To dopiero będzie przygoda. Przejść na drugą stronę do, do tego... – znów przerwał, podniecony. – Mówisz, że co to jest? Ziemia? Rozumiem, ale...

– Łatwiej będzie wszystko panu pokazać niż opowiedzieć oznajmił Stanley. – Poczekajmy więc, aż się tam znajdziemy.

– Tak, oczywiście – zgodził się Turpin.

Wiedział, że opłacało się działać zgodnie z planem Stanleya. Bezwzględnie polegał na jego ocenie. Z wiekiem ufał mu coraz bardziej.

Na drugim półpiętrze waszyngtońskiej placówki RZ Leon Turpin spotkał gwiazdnego badacza, Franka Woodbine'a, o którym słyszał tak wiele. Ku wielkiemu zdziwieniu Turpina Woodbine okazał się człowiekiem niepozornym. Był drobny i szczupły, ale elegancki. Miał małe wąsy i ciągle rozbiegane oczy. Jego dłoń, kiedy Turpin ją uścisnął, okazała się miękka i nieco wilgotna.

– Jak to się stało, że został pan badaczem? – spytał wprost Turpin; pozwalał mu na to wiek i status.

– Zła krew – odparł Woodbine, jękając się lekko.

Turpin zaśmiał się, zdziwiony.

– Ale ty jesteś dobry, każdy przyzna. Co wiesz na temat nowego miejsca? – spytał przyglądając się scuttlerowi, w którym dokonano odkrycia.

Maszynę otaczali badacze, inżynierowie oraz uzbrojeni strażnicy.

– Niewiele – odparł szczerze Woodbine. – Oglądałem wykresy i zgadzam się, że to Ziemia.

Woodbine miał na sobie ciężki kombinezon z hełmem i dodatkowo zapas tlenu, napęd odrzutowy, liczniki oraz sprzęt do analizy powietrza. I oczywiście system komunikacyjny. Tak wielki znawca kosmosu wyglądał na wszystkich swoich wizerunkach. Tego po nim oczekiwano.

– Teraz szczegółową analizę przeprowadzają pańscy geolodzy – dodał Woodbine.

Turpin zwrócił się zaintrygowany do Stanleya:

– Nie wiedziałem, że mamy geologów.

– Dokładnie dziesięciu – poinformował tamten.

– Pańscy astrofizycy zrobili wszystko, co w ich mocy. Obecnie, kiedy satelita obserwacyjny został już uruchomiony... – zaczął Woodbine, ale widząc, że Turpin nie rozumie, wyjaśnił: – Dzisiaj rano zabrano na drugą stronę montera i satelitę o nazwie Królowa Pszczół, którego udało się umieścić na orbicie. Już w tej chwili przekazuje obserwacje drogą telewizyjną.

– Wszystko jest w porządku – wtrącił się Stanley. – Jak na razie funkcjonuje świetnie. Dzięki temu punktowi widokowemu przez godzinę możemy się dowiedzieć o odkrytym świecie więcej niż pięćdziesiąt grup badawczych w ciągu całego roku. Ale oczywiście zamierzamy

powiększyć dane o analizy geologiczne. O tym właśnie mówił Woodbine. Ponadto wynajęliśmy botanika z uniwersytetu Georgetown. Bada tamtejszą roślinność. W drodze do nas jest także zoolog z Harvardu. Powinien nadjechać lada moment. – Po chwili milczenia dodał: – Skontaktowaliśmy się również z pracownikami Wydziału Socjologii i Antropologii Uniwersytetu w Chicago. Mają być w pogotowiu, gdybyśmy ich potrzebowali.

– Hm – mruknął Turpin.

Co to wszystko, do diabła, miało znaczyć? Zupełnie się pogubił. W każdym razie Stanley i Frank Woodbine panowali nad sytuacją, więc nie było się o co martwić. Nawet jeśli nie pojmował jasno całej sytuacji, oni na pewno we wszystkim się świetnie orientowali.

– Nie mogę się doczekać wejścia do środka – odezwał się Woodbine. – Jeszcze nie odwiedziłem tego tajemniczego świata, panie Turpin. Kazali mi zaczekać na pana.

– Więc chodźmy, pan prowadzi – powiedział żwawo Turpin i ruszył ku scuttlerowi.

Frank Woodbine zapalił papierosa.

– W porządku, ale niech pan nie będzie rozczarowany, jeśli dotrzemy do miejsca, w którym jesteśmy w tej chwili. Ten przełom może się okazać niczym innym jak wrotami do naszego własnego świata, połączeniem z jakimś odległym obszarem, powiedzmy skrajnie północną częścią Indii, gdzie, jak rozumiem, rosną jeszcze naturalne drzewa i trawy. Albo znajdziemy się po prostu w afrykańskiej enklawie ptaków – zaśmiał się. – To by zmartwiło mojego przyjaciela, pana Briskina.

– Briskina? – powtórzył Turpin. – Słyszałem o nim. A tak, to ten polityk.

– To on wygłosił przemówienie – wyjaśnił Stanley, prowadząc przez tłum inżynierów i badaczy ku wejściowej obręczy scuttlera.

Wydychając kłęby szarego dymu, Woodbine zrobił krok przez obręcz i znalazł się w tubie. Za nim ruszył Stanley, pomagając Turpinowi. Na końcu podążał tłum operatorów telewizyjnych i reporterów. Samoczynne urządzenia nagrywające pracowały już na pełnych obrotach, gromadząc, rejestrując i transmitując wszystko. Woodbine zdawał się niezbyt tym przejęty. Natomiast Leon Turpin czuł się lekko poirytowany. Rozgłos był oczywiście potrzebny, ale dlaczego podchodzili aż tak blisko. „Cóż, po prostu ich to interesuje”, pomyślał i uspokoił się wreszcie. „Robią, co do nich należy. Trudno kogokolwiek winić za chęć śledzenia tak ważnych wydarzeń. Ponadto Woodbine jest tutaj. Nie przyszedłby przecież, gdyby sprawa była błaha. I oni o tym wiedzą.”

W połowie tuby Frank Woodbine przystanął, by naradzić się z inżynierami, po czym ruszył dalej. Z papierosem sterczącym z ust przedostał się przez ścianę tuby i zniknął.

– A niech mnie! – mruknął Turpin zdziwiony. – Czy mogę tędy przejść, Don? Powiedziałaś, że wszystko zostało sprawdzone, więc powinno być bezpiecznie.

Z pomocą trzech inżynierów Turpinowi udało się uklęknąć i z drzeniem poczołgać za

Woodbine'em.

– Czuję się znów jak dziecko – powiedział do siebie Turpin, odczuwając jednocześnie strach i radość. – Od dziewięćdziesięciu lat nie robiłem czegoś podobnego.

Ściana tuby migotała przed nim.

– Jesteś tam gdzieś, Frank? – krzyknął posuwając się powoli do przodu.

Minął lśniącą powierzchnię i zobaczył błękitne niebo i nieprzerwany pas wielkich drzew.

Woodbine wziął Turpina za ramiona i postawił go na porośniętej trawą ziemi. Wokół unosił się dziwny zapach. Turpin wciągnął powietrze w płuca, zaintrygowany. Zapach był dobrze mu znany. A jednak nie mógł go sobie z niczym konkretnym skojarzyć. „Pamiętam coś podobnego z dzieciństwa”, powiedział do siebie. „Z dwudziestego wieku. Tak, to raczej Ziemia. Nic innego nie pachniałoby w ten sposób. Obca planeta? Wykluczone.” Ale czy to dobrze, czy źle? Tego nie wiedział.

Woodbine zerwał drobny biały kwiatek.

– Proszę, oto powój – powiedział do Turpina.

Naprzeciw nich inżynierowie ustawili ruchomy sprzęt odbiorczy. Nie było wątpliwości, że wyląpywał komunikaty z satelity Królowa Pszczół krążącego gdzieś ponad ich głowami. Radar urządzenia centralnego, osobliwy obiekt w tym sielankowym krajobrazie, obracał się powoli.

– Szczególnie interesuje nas, co satelita dojrzy po ciemnej stronie – powiedział Stanley. – Tam właśnie jest w tej chwili.

– Masz na myśli światła? – spytał Woodbine, spoglądając na niego.

– Tak – przytaknął tamten.

– Jakie światła? – zagadnął Turpin.

– Jeśli są tam światła – wyjaśniał cierpliwie Stanley – gdziekolwiek, w jakiegokolwiek ilości, oznacza to, że na tym obszarze mieszka jakaś inteligentna rasa. Już znaleziono drogi po stronie słonecznej – dodał. – A przynajmniej coś, co je przypomina. Królowa Pszczół nie jest w żadnym razie najlepszym satelitą obserwacyjnym. Właściwie został wybrany ze względu na łatwość montażu. Za kilka dni zastąpimy go oczywiście bardziej wyrafinowanym sprzętem.

– Jeżeli żyje tu jakieś inteligentne społeczeństwo, będzie to fakt o niezwyklej wadze antropologicznej – stwierdził Woodbine. – Ale zaszkodzi Jimowi Briskinowi. Całe jego przemówienie opierało się na nie potwierdzonej wiadomości, że ta planeta jest nie zamieszкана i nadaje się do zasiedlenia. Sam nie wiem, co bym wolał. Osobiście chciałbym, by zbudzono uśpionych i przysłano ich tutaj, ale...

– Tak – zgodził się Turpin. – Wiele lat temu włożyliśmy fortunę w maszyny tłumaczące i nic nie uzyskaliśmy. Jak pan myśli, Woodbine, gdzie jesteśmy?

– Dowie się pan tego, Turpin – powiedział Woodbine z grymasem na twarzy. – W końcu to pana ludzie zbudowali ten scuttler. Pan go wynalazł. Ja nie lubię teoretyzować. Muszę zebrać

odpowiednią ilość informacji, zanim wyciągnę konkretne wnioski – argumentował. – Tak jak ci ludzie, którzy podążają naszym śladem.

Za nimi pojawili się reporterzy, wciąż zajęci kontrolowaniem wszystkiego, co znajdowało się w ich polu widzenia. Nie wyglądali na bardzo przejętych tym, co zobaczyli do tej pory.

– Nie obchodzi mnie uspieni – powiedział otwarcie Turpin; nie widział potrzeby ukrywania własnych poglądów. – A już zupełnie nie dbam o los tego polityka, Brisketta czy Briskmana, wie pan. To nie mój problem. Mam inne sprawy na głowie. Na przykład...

Przerwał widząc zbliżającego się inżyniera od komunikacji, który chwilowo porzucił monitorowanie satelity.

– Może ten człowiek nam coś wyjaśni – rzekł Turpin. – Ale powiem coś jeszcze. Kiedy rozglądam się wokół, widzę jedynie trawę i drzewa. Więc jeżeli ten obszar jest zamieszkały, jego właściciele z pewnością nie mają kontroli nad środowiskiem. Dlatego sądzę, że znajdzie się tu jeszcze miejsce na pewną ograniczoną kolonizację.

– Panie Turpin, pan mnie nie zna, nazywam się Bascold Howard – powiedział z szacunkiem inżynier komunikacyjny. – Pracuję dla pana od lat. Czuję się zaszczycony, iż mogę pana poinformować, że satelita Królowa Pszczół odnotował skupiska światła po ciemnej stronie tej planety. Nie ma wątpliwości, że oznaczają one tereny zamieszkane. Inaczej mówiąc miasta.

– I o to chodziło – powiedział Stanley.

– Wcale nie – zaprzeczył ostro Woodbine. – Gdzie są te skupiska światła? – zwrócił się do Howarda. – Nad jakimi terenami?

– Nie wiem dokładnie... – zaczął Howard, marszcząc brwi.

– W Londynie, Paryżu, Berlinie, Warszawie, Moskwie? I wszystkich wielkich centrach? – nastawał Woodbine.

– Niektóre z nich są we właściwych miejscach, ale niektóre nie – odpowiedział Howard. – Na przykład nie odnotowaliśmy światła na Wyspach Brytyjskich, a powinna ich tam być ogromna ilość. Z drugiej strony, co dziwne, transmisja z Afryki wskazuje na obecność świetlnej łuny, o wiele większej niż powinna się tam unosić. Ale przede wszystkim od razu zauważyliśmy, że ogólnie światła jest mniej niż zwykle. Może jedna trzecia lub jedna czwarta...

– Czyli według pana to nasza planeta? – spytał Woodbine.

– Nie do mnie należy rozstrzygnięcie tego problemu – powiedział Howard, rumieniąc się. – Kazano mi tu przyjść i zamontować system monitorujący satelitę i to właśnie zrobiłem. Odebraliśmy już wystarczająco dużo danych, by stwierdzić, że znajdujemy się na Ziemi. Odnotowaliśmy wszystkie normalne zarysy lądów, znane kontynenty i wyspy. Osobiście jestem zadowolony, że to nasz własny świat, chociaż nieco zmieniony, na przykład biorąc pod uwagę te skupiska światła. W dodatku nie udało nam się przechwycić transmisji z jakiegokolwiek innego satelity oprócz Królowej Pszczół. W eterze panuje cisza.



– Na jakich częstotliwościach? – dopytywał Woodbine.

– Na wszystkich, które sprawdziliśmy, poczynając od pasma trzydziestu metrów wzwyż.

– Nic? – dociekał nieustępliwie Woodbine. – Zupełnie nic? To niemożliwe. Chyba że cofnęliśmy się do czasów przed wynalezieniem radia.

Spojrzał na Stanleya i Turpina.

– Przed rok 1900. Ale nawet w tym wypadku Wyspy powinny być oświetlone. To jeden z najgęściej zaludnionych obszarów. Tak też było w 1900 roku... i wieki wcześniej. Nie rozumiem.

– Powłoka chmur maskująca powierzchnię? – zastanawiał się głośno Stanley.

– Możliwe – odparł Howard. – Ale nie wyjaśniałoby to wzmożonej koncentracji światła nad Afryką. Nic tego nie wyjaśnia.

– Przenieśliśmy się więc w przyszłość – wywnioskował Stanley.

– Dlaczego zatem brakuje transmisji radiowych na jakiegokolwiek częstotliwości? – odparł Woodbine.

– Może już nie potrzebują kanałów powietrznych – zasugerował Stanley. – Komunikują się na przykład za pomocą telepatii albo w jakiś inny sposób, o którym nie mamy pojęcia.

– A co w takim razie z mapą nieba? – upierał się Woodbine. – Wykresy gwiazd, narysowane przez waszych astrofizyków, dokładnie określają czas jako identyczny z naszym. Znajdujemy się więc w tym samym czasie. Bez względu na wszystko musimy pogodzić się z powyższym faktem. Dalsze teoretyzowanie nic nie pomoże. Trzeba po prostu dotrzeć do jednego z tych skupisk światła, wtedy odpowiedzi na pozostałe pytania same się znajdą. – Badacz kosmosu wyglądał na niezwykle poruszonego. – Ściągnijcie jakiś pojazd, może transporter, i ruszajmy.

– Transporter już tu jest – poinformował Stanley. – Od początku zamierzaliśmy pokazać panu Turpinowi wszystko z lotu ptaka. Całe to miejsce, czymkolwiek by było, należy przecież do niego.

– Rząd może mieć coś do powiedzenia w tej kwestii – zachnął się Woodbine. – Szczególnie jeśli Briskin zostanie wybrany, co jak mi nie wydaje jest już pewne.

– Więc spotkamy się w sądzie – odparł Turpin. – To typowa socjalistyczna, biurokratyczna ingerencja rządu w wolny rynek. Było już dosyć podobnych przypadków. W każdym razie jedynie RZ ma prawo przejąć kontrolę nad tym miejscem. A może rząd federalny planuje przywłaszczyć sobie scuttler?

– Prawdopodobnie – rzekł Woodbine. – Jak nie teraz, to w przyszłości, jeśli Briskin dojdzie do władzy. Nawet Bill Schwarz nie byłby na tyle głupi, by tego nie chcieć.

– Słuchaj pan, Woodbine. Obecnie pracuje pan dla RZ – odezwał się zirytowany Turpin. – Nasza opinia jest pańską opinią, czy się to panu podoba czy nie. Odkryte miejsce jest własnością przedsiębiorstwa i nikt nie może tu przyjść bez pozwolenia RZ. To również was dotyczy –

zwrócił się do dziennikarzy. – Więc lepiej uważajcie.

– Przepraszam, wzywają mnie z powrotem – powiedział Howard i pospieszył na swoje stanowisko monitorujące.

Po chwili wrócił z zakłopotanym wyrazem twarzy.

– Nie odnotowano żadnych światła w Australii – mówił. – Za to koncentrują się w wielkiej ilości na terenie południowej Azji i pustyni Gobi. To największe jak dotąd skupiska. Oprócz tego rozświetlone są Chiny, ale na terenie Japonii panuje ciemność.

– A gdzie my się znajdujemy według satelity? – spytał Woodbine.

– W Ameryce Północnej, na wschodnim wybrzeżu, niedaleko Potomacu, tam, gdzie zlokalizowane jest centrum RZ, w przybliżeniu do dziesięciu kilometrów.

– Tutaj nie ma RZ – zaprzeczył Woodbine. – Nie ma też Waszyngtonu. Wcale nie przeszliśmy przez wejście, by znaleźć się w jakimś odległym punkcie naszego świata. Może to i Ziemia, ale nie nasza. Ale w takim razie czyja? I ile jest jeszcze takich planet na świecie?

– Myślałem, że tylko jedna – odezwał się Turpin.

– Niektórzy myśleli, że jest ona płaska – zauważył złośliwie Woodbine. – Wszystkiego dowiadujemy się z czasem. Chciałbym już wsiąść do tego transportera, jeśli nie macie nic przeciwko temu, i zacząć obserwacje. Czy to panu odpowiada, Turpin?

– Tak – powiedział tamten żywo. – Jak myślisz, Frank, co tam znajdziemy? Czy to mniej czy bardziej ekscytujące niż badanie planet w obcych systemach? – zachichotał. – Widzę, że jesteś podniecony, Frank. To cię naprawdę rusza.

– Czemu miałoby mnie nie ruszać – odparł Woodbine, po czym poszedł w kierunku transportera, a za nim podążyli Turpin i Stanley. – Nigdy nie okazałem braku zainteresowania sprawą. Na pewno nie zamierzam zasnąć na tej wycieczce.

– Już wiem! – wykrzyknął podekscytowany Turpin. – Słuchajcie, to jest ziemia odpowiadająca naszej we wszechświecie równoległym, kapujecie? Może są ich nawet setki. Wszystkie podobne fizycznie, ale podlegające innym procesom rozwojowym.

– Nie wsiadajmy więc do transportera – powiedział kwaśno Woodbine. – Po prostu postójmy tutaj z zamkniętymi oczami i poteoretyzujmy!

„Ale ja na pewno mam rację”, mówił w duchu Turpin. „Czasami przecucia mnie nie mylą. Właśnie dobra intuicja pozwoliła mi awansować do roli szefa RZ. Woodbine przekona się wkrótce i będzie musiał mnie przeprosić. Do tego czasu nic już nie powiem.”

Woodbine i Stanley pomogli starszemu człowiekowi wejść do transportera. Drzwi się zamknęły i pojazd uniósł się w powietrze ponad łąkę i wielkie drzewa. „Jeśli to wszystko prawda, w takim razie RZ posiada całą ziemię”, uświadomił sobie nagle Turpin. „A skoro ja kieruję tym przedsiębiorstwem, ziemia należy do mnie. Przynajmniej ta konkretna. Ale co za różnica. Wszystkie są równie prawdziwe.” Pocierając dłonie z zadowoleniem, Turpin rzekł:

– Czyż te dziewicze okolice nie są piękne? Spójrzcie na tę puszcę pod nami. Na te masy drewna!

„I kopalnie”, pomyślał. „Może nikt nigdy nie wydobywał tu węgla ani ropy. Wszystkie metale, rudy mogą wciąż być zagrzebane w ziemi. Nie to co u nas, gdzie wszelkie cenne surowce już dawno zostały wydobyte. Wolę posiadać tę ziemię niż naszą. Któż chciałby zużyty świat, zupełnie wyeksploatowany w ciągu dziesiątków wieków.”

– Pójdę z tym do Sądu Najwyższego – powiedział na głos. – Wynajmę najlepszych prawników. Włożę wszystkie zasoby finansowe RZ, nawet jeśli to doprowadziłoby przedsiębiorstwo do upadku. Sprawa jest warta każdej ceny.

Woodbine i Stanley spojrzeli na niego gorzko.

Przed nimi rozciągał się ocean. „Przypomina Atlantyk”, pomyślał Turpin. Przyglądając się linii brzegowej, ujrzał jedynie drzewa. Żadnych dróg, miast, żadnej oznaki zamieszkania. „Tak pewnie było przed przybyciem tych cholernych osadników angielskich, ale co dziwne nie dostrzegam również obecności Indian.” Zakładając, że istotnie znaleźli Ziemię we wszechświecie równoległym, dlaczego była tak rzadko zaludniona? Co, na przykład, stało się z ludami zamieszkującymi te tereny przed przybyciem białych? Czy Ziemia mogłaby się tak różnić od naszej i wciąż być uważana za równoległą? „Nierównoległa wydaje się właściwszym określeniem”, doszedł do wniosku.

Nagle Don Stanley odezwał się chrapliwym głosem:

– Woodbine! Coś nas goni!

Turpin spojrział do tyłu, ale jego słabe oczy niczego nie dostrzegł na bładoniebieskim porannym niebie. Woodbine natomiast zauważył.

Chrząknął, wstał od pulpitu sterowniczego i wpatrywał się, mrużąc oczy. Transporter przeszedł pod kontrolę automatycznego pilota.

– Opada ku ziemi – doniósł Stanley. – Zostaje w tyle. Chce pan zawrócić i obejrzeć obiekt z bliska?

– Co to może być? – spytał lękliwie Turpin. – Lepiej się zbytnio nie zbliżać, może nas zestrzelić.

Wzdrażał się na myśl o nieoczekiwanym wypadku. Wiedział doskonale, jak kruche są jego kości. Jakieś niebezpieczne lądowanie mogłoby się skończyć dla niego śmiercią. A on nie chciał umrzeć. To był najmniej odpowiedni moment ku temu.

– Zawrócę w tamtą stronę – powiedział Woodbine, znów zajmując miejsce za sterami.

W chwilę później transporter zmienił kierunek na przeciwny.

W końcu Turpinowi udało się dostrzec latający przedmiot. Obiekt zdecydowanie nie wyglądał na ptaka. Nie miał skrzydeł. Poza tym był zbyt duży. Turpin na własne oczy ujrzał, że jest to sztuczna konstrukcja, wykonana ręką człowieka. Pojazd najwyraźniej przed nimi uciekał.

– Pościg nie potrwa długo – orzekł Woodbine. – Jesteśmy dużo szybsi. – Wiecie co to przypomina? Łódkę, cholerną łódkę. Ma kadłub i żagle. To jakaś latająca łódź – roześmiał się głośno. – Co za absurd!

„Tak, wygląda śmiesznie. Cud, że utrzymuje się w powietrzu” – pomyślał Turpin.

W tym momencie łódź zaczęła opadać, zataczając coraz węższe spirale. Żagle zwiślały luźno. W pojeździe przy sterach żywo kręciła się jedna osoba. Zamierzała wylądować czy pozostać w powietrzu? Turpin nie wiedział. W każdym razie jednak, pojazd albo był bliski wylądowania, albo rozbicia.

Wylądował na otwartej polanie, z dala od drzew. Kiedy transporter zniżał lot ku temu miejscu, postać wyskoczyła z łodzi i popędziła ku najbliższym drzewom, wśród których wkrótce znikła.

– Przestraszyliśmy gościa – stwierdził Woodbine, osadzając transporter niedaleko porzuconej maszyny. – Tak czy owak musimy obejrzeć jego statek. To powinno powiedzieć nam wiele, a nawet wszystko, co chcemy wiedzieć.

Otworzył prędko drzwi od kabiny i zeskoczył na ziemię. Nie czekając na Stanleya i Turpina, podążył ku obcemu pojazdowi. Wygramoliwszy się z transportera, Don Stanley mruknął:

– Wygląda, jakby był zrobiony z drewna.

Po chwili dołączył do Woodbine’a.

– Lepiej zostań tutaj – zdecydował Turpin. Wychodzenie na zewnątrz jest zbyt ryzykowne. Mógłbym złamać nogę. Poza tym do nich należy inspekcja tego statku. Po to ich wynajęłam.

– Rzeczywiście drewno – rzucił Stanley w stronę Turpina; wiatr porywał jego głos. – Żagle są chyba z płótna.

– Ale co sprawia, że się porusza? – myślał głośno Woodbine. – Czy po prostu szybuje bez dostaw energii?

– Pilot był dość bojaźliwy – zauważył Stanley.

– Zastanawiałeś się, jak w jego oczach musiał wyglądać transporter odrzutowy? – rzucił Woodbine. – Dość strasznie, a jednak miał odwagę podążać za nami jakiś czas.

Wskoczył na pokład pojazdu i rozglądał się wokoło.

– To drzewo laminowane – obwieścił nagle. – Bardzo cienką warstwą. Wydaje się niezwykle wytrzymałe – stwierdził i uderzył pięścią w kadłub.

Stanley, badający tył statku, wyprostował się i rzekł:

– Ma generator mocy. Wygląda to jak jakiegoś rodzaju turbina, a może kompresor. Chodź, zobacz.

Leon Turpin widział, jak Frank Woodbine i Stanley studiują mechanizm napędowy statku.

– Co tam macie? – krzyknął, a jego głos w otwartej przestrzeni zabrzmiał bardzo słabo.

Żaden z mężczyzn nie zareagował na pytanie. Turpin, oburzony i zirytowany, ciskał się po

transporterze, pragnąc, by już wrócili.

– Najwyraźniej turbina daje energię na początkowy zryw, potem pojazd przez chwilę szybuje, następnie pilot znowu uruchamia turbinę i następuje kolejny zryw. Zryw, opadanie; zryw, opadanie... i tak w kółko – ocenił Woodbine. – Cholernie dziwny sposób przemieszczania się z jednego miejsca w drugie. Mój Boże! Może on musi lądować po każdym starcie? To chyba niemożliwe.

– Jak latająca wiewiórka – porównał Stanley. – Wiesz co? – zwrócił się do Woodbine. – Turbina chyba także jest zrobiona z drewna.

– Wykluczone – powiedział Woodbine. – Spłonęłaby.

– Można zeszkrobać farbę – zaproponował Stanley. Otworzył scyzoryk i spróbował

– Myślę, że to farba azbestowa. W każdym razie żaroodporna. A pod nią znajduje się laminowane drewno. Zastanawiam się, na jakim paliwie pracuje. – Odszedł od turbiny i zaczął chodzić po pokładzie.

– Czuję ropę – powiedział. – Turbiny i silniki Diesla z końca dwudziestego wieku pracowały na ropę niskogatunkową.

– Zauważyłeś coś szczególnego w pilocie statku? – spytał Woodbine.

– Nie – odrzekł Stanley. – Zaledwie go dostrzegłem.

– Był zgarbiony – powiedział z namysłem Woodbine. – Widziałem, jak biegł, niemal zgięty wpół.

Był późny wieczór. Tito Cravelli siedział przed kominkiem w swym domu, sącząc szkocką z mlekiem i przeglądając raport, jaki dostarczył mu jego człowiek z Rozwoju Ziemi.

Z głośników magnetofonu płynęła spokojna muzyka kameralna wielkiego kompozytora z połowy XX wieku, Harry'ego Parcha. Kawalek niezwykle ostatnio modny.

Ale Cravelli nie słuchał. Całą uwagę skupił na raporcie na temat działań RZ. Leon Turpin osobiście wszedł do wadliwego Jiffi-scuttlera razem z licznymi pracownikami przedsiębiorstwa i ludźmi z mediów. Udało mu się odpędzić reporterów i wyruszyć na przejażdżkę transporterem. Podczas wyprawy znaleziono pewien obiekt, który następnie ostrożnie przeniesiono do RZ. W tej chwili obiekt badano w laboratorium przedsiębiorstwa. Człowiek Cravellego nie wiedział dokładnie, co to jest. Jakkolwiek jedna rzecz była pewna: latający pojazd został zrobiony przez człowieka.

– Jim Briskin wyszedł z tego pół ugotowany – powiedział do siebie Cravelli. – Mamy nakłonić uśpionych, by wyemigrowali do obszaru już zajętego. Szkoda, że Jim nie pomyślał o tym wcześniej. Mnie także nie przyszło to do głowy. Jak się okazuje, nasze pierwsze wrażenie okazało się mylne. Miejsce zdawało się opuszczone i podatne na kolonizację.

„Cóż, już nic się na to nie poradzi”, myślał. „Jim wygłosił przemówienie, a więc kości zostały rzucone. Teraz musimy robić dobrą minę do złej gry, mając nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Ale niech to wszystko diabli! Gdybyśmy poczekali ten jeden dzień. A może by ich powystrzelać?”, zastanawiał się Cravelli „Może złapią od nas jakiegoś wirusa i popadają jak muchy.”

Nienawidził siebie za te myśli. Ale tkwiły one w jego umyśle. „Tak bardzo potrzebujemy miejsca”, kontynuował rozważania. „Trzeba je zdobyć za wszelką cenę! Nieważne, jak tego dokonamy. Ale czy Jim się zgodzi? Ma tak cholernie dobre serce. Musi się zgodzić” – pomyślał Cravelli. „Inaczej to będzie nasz polityczny koniec, a także koniec uśpionych.”

Kiedy Tito ponownie czytał skąpy raport, rozległ się dzwonek wideofonu. Ktoś stał przed budynkiem i chciał, by go wpuścić. Cravelli odłożył kartki i podszedł do urządzenia audiowideo łączącego biuro z drzwiami wejściowymi.

– Kto tam? – spytał ostrożnie; jak zawsze obawiał się nocnych gości.

– To ja... Earl – wymamrotał tamten, jednak na wideo nie pojawił się obraz; gość najwidoczniej stał poza zasięgiem kamery. – Czy jesteś sam?

– Tak – odpowiedział ostro Cravelli.

Nacisnął guzik i piętnaście piętér pod nim drzwi otworzyły się automatycznie, wpuszczając do środka Earla Bohegiana, człowieka z RZ.

– Musisz minąć dozorcę – poinstruował Cravelli. – Hasło na dzisiaj brzmi: ziemniak.

Kilka minut później Bohegian, ponuro wyglądający mężczyzna około pięćdziesiątki, wszedł do biura. Z westchnieniem usiadł naprzeciw Tito Cravellego.

– Chcesz piwa? – zaproponował Tito. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Padam z nóg – przyznał Bohegian. – Przyszedłem tu prosto z RZ. Ogłoszono tam stan alarmowy. Szczerze mówiąc, miałem szczęście, że w ogóle się stamtąd wydostałem. Powiedziałem, że cierpię z powodu strasznej migreny i muszę wyjść. W końcu strażnicy mnie wypuścili.

– Jak sprawy? – spytał Cravelli, wyciągając piwo z lodówki.

– Chodzi o ten obiekt, który przyholowali stamtąd – odezwał się Earl Bohegian. – Wspominałem o nim w raporcie. Zbadali maszynę i... mówię ci, nawet nigdy nie słyszałeś o takim złomie. To jakiś pojazd. W końcu udało mi się tego dowiedzieć, przesiadując w łazience przełożonych, popijając colę i wychwytyjąc fragmenty przypadkowych rozmów. Ten pojazd wykonano z drewna, ale nie jest prymitywny. A najbardziej inżynierów zdumiewa turbina, którą posiada latający dziwoląg. – Informator z wdzięcznością przyjął piwo i zaczął pić wielkimi łykami. – Działa na zasadzie sprężania gazów. Nie jestem inżynierem, więc nie mogę ci dokładnie wyjaśnić szczegółów technicznych. W każdym razie poprzez sprężanie gazów zamrożeniu ulega komora z wodą. Posłuchaj najlepszego, Cravelli. Plotka głosi, że ten gruchot działa dzięki... – zaśmiał się. – Wybacz, ale to naprawdę zabawne. On działa dzięki rozszerzaniu się lodu. Woda zamraża się i rozszerza w postaci lodu, który naciska na tłok z niezwykłą siłą, potem lód topnieje. Cały proces przebiega niezwykle szybko. Następnie gazy ponownie się rozrzedzają, co powoduje kolejny nacisk na tłok, który zostaje z powrotem wciągnięty do cylindra. Lód! Czy kiedykolwiek słyszałeś o takim źródle mocy?

– To śmieszniejsze niż para – powiedział Cravelli. Zaśmiewając się do łez, Bohegian przytaknął:

– Tak, o wiele śmieszniejsze niż para. Cholernie nieporęczne i kompletnie nieefektywne. Powinieneś to zobaczyć. Niezwykle skomplikowana technologia, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę efekt, czyli ubogi napęd, jakiego ostatecznie dostarcza. Pojazd porusza się na płozach, a nie kołach, i w końcu unosi się w powietrze, ale tylko na parę chwil, potem szybuje z powrotem w dół. To rodzaj drewnianego statku raketowego z żaglem. Właśnie takie rzeczy budują po drugiej stronie scuttlera. Jak myślisz, co to za cywilizacja? – Earl dopił piwo i postawił szklanekę na stole. – W RZ mówią, że jeden z lepszych inżynierów wsiadł do tego pojazdu, uruchomił go i przez pięć czy sześć sekund latał po laboratorium na wysokości metra.

– Tutaj jest napisane – powiedział Cravelli, wyciągając na wierzch raport Bohegiana – że wykresy nieba wykonane przez astrofizyków dowodzą, iż ta planeta to bez wątpienia Ziemia.

Tak, i na dodatek w czasie terażniejszym – rzekł już poważnie Bohegian. – Nie nastąpiła żadna podróż w czasie, nawet w obrębie sekundy. Nie prosz, bym ci to wyjaśnił. Nawet oni by nie

potrafili, choć powinni się orientować w takich rzeczach. Wiem jednak, w co wierzy ten stary człowiek. Według Turpina i najwyraźniej jest to jego własny wymysł, odkryto właśnie Ziemię. Miała podobny początek jak nasza, a potem dopiero obrała inny kierunek, przynajmniej ewolucyjny, na etapie rozwoju ludzkości, powiedzmy dziesięć tysięcy lat temu albo nawet wcześniej, może aż w plejstocenie? W każdym razie fauna i flora wydaje się identyczna z naszą, także układ kontynentów jest taki sam. Wszystkie lądy odpowiadają naszym, więc rozłam nie mógł nastąpić tak bardzo dawno. Weźmy na przykład Zatokę Meksykańską czy San Francisco. Nie różnią się niczym od naszych, a sądzą, że powstały w takiej formie, jak są teraz.

– Jaka według nich jest liczba ludności?

– Niewielka, na pewno mniejsza niż u nas na Ziemi. Biorąc pod uwagę skupiska światła po ciemnej stronie, szacują ją najwyżej na miliony. Z pewnością nie miliardy. Niektóre obszary zdają się w ogóle nie zamieszkać, przynajmniej jeśli przyjąć światła za wyznacznik.

– Może tam panuje wojna i światła uległy zamazaniu – zauważył Cravelli.

– Ale po jasnej stronie dostrzeżono ruch. Nie musi to oznaczać obecności miast, prawdopodobnie jednak są tam drogi i pewnego rodzaju struktury miastopodobne... Za parę dni będą wiedzieli więcej. Cała ta sprawa jest co najmniej dziwna. Ponieważ nie odnotowano żadnych sygnałów radiowych, RZ sugeruje, że mieszkańcy tych terenów, chociaż mają turbiny, z jakiegoś powodu nie posługują się elektrycznością. A użycie drewna laminowanego i pokrywanie go farbą azbestową wskazuje na brak wykorzystania metali, przynajmniej na skalę przemysłową. Niewiarygodne, prawda?

– Jakim językiem się posługują?

– Ci z RZ nawet nie udają, że to wiedzą. Są w trakcie ściągania licznych dekodeków z departamentu językowego. Jeśli w końcu uda się zdybać jednego z mieszkańców planety, będzie można się z nim porozumieć. To powinno nastąpić wkrótce. Możliwe, że już nastąpiło, od czasu jak opuściłem RZ. Mówię ci, że to będzie apologia pro sua vita wszystkich socjologów, etnologów i antropologów z całego świata. Wyruszą tam całymi chmarami. Osobiście nie mam nic przeciwko. Bóg wie, co jeszcze znajdą. Czy to możliwe, aby w tej kulturze powstał napędzany turbiną statek powietrzny, a jednocześnie nie istniało na przykład pismo? Bo według RZ na pojeździe nie widniały żadne litery ani znaki, a z pewnością zbadali go skrupulatnie.

– Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, co wynaleźli, a czego nie – powiedział raczej do siebie Cravelli – dopóki jest tam miejsce na kolonizację. Masową kolonizację, liczącą się w milionach.

Obaj wypili jeszcze po jednym piwie i Bohegian odjechał.

– Masz szczęście, Briskin – rzekł Cravelli, zamykając drzwi za swoim informatorem. – Rzykowałeś tamtym przemówieniem. Ale najwyraźniej mimo wszystko sprawy obracają się na twoją korzyść. Chyba że masz coś przeciwko dzieleniu tej drugiej Ziemi z jej pierwotnymi



mieszkańcami... Albo uda im się wynaleźć jakiś mechanizm, który nas powstrzyma. Boże, jak ja chciałbym się tam znaleźć! – uświadomił sobie Cravelli. – Na własne oczy ujrzeć tę cywilizację, zanim znieśli ją z powierzchni, co uczynimy niechybnie. To dopiero byłoby doświadczenie! Może wyspecjalizowali się w dziedzinach, o których rozwoju my nawet nie marzyliśmy: naukowo, filozoficznie, a nawet technicznie; na polu mechaniki, technik produkcyjnych, źródeł energii, medycyny. Niewykluczone że są ekspertami od środków antykoncepcyjnych, wszelkich religii, ksiązek, katedr, po dziecinne zabawki, o ile w ogóle takowe znają.

„Prawdopodobnie na dobry początek wymordujemy paru autochtonów”, zastanawiał się Cravelli. „Niedobrze, że sprawa nie leży w gestii rządu. Cholernie pechowo się składa, że wszelkie prawa do tego odkrycia posiada prywatne przedsiębiorstwo. Oczywiście kiedy Jim zostanie wybrany, wszystko się zmieni. Ale Schwarz nie zrobi nic. Będzie siedział i pozwalał, by RZ działało po swojemu.”

„Trzeba zorganizować spotkanie Briskina z Leonem Turpinem, szefem Rozwoju Ziemi”, pomyślał Sal Heim. „Jim musi zostać obfotografowany w tym nowym świecie, a nie tylko kiedy o nim opowiada. Kontakt najlepiej nawiązać przez Franka Woodbine’a, bo Jim i on są od dawna przyjaciółmi. Pogadam z Woodbine’em i wszystko ustalę. Będziemy mieli tam Jima, a z nim może też Franka. Co za wspaniała reklama dla naszej kampanii. Trzeba to koniecznie wykorzystać.”

– Włącz wideofon – zwrócił się do żony. – Niech szukają Franka Woodbine’a, tego badacza kosmosu, bohatera.

– Wiem – powiedziała Pat. Podniosła słuchawkę i poprosiła informację.

„Dobrze jest mieć bohatera po swojej stronie”, medytował Sal. „Zawsze marzyłem o tym, by wciągnąć go w tę kampanię. Myślę, że wreszcie osiągnęliśmy dokładnie to, o co chodzi.” Był z siebie zadowolony. Wiedział, że wpadł na świetny pomysł. Intuicja zawodowa mówiła Salowi, że jest bliski upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu.

Widział w telewizji wycieczkę mediów do odkrytego świata. Razem z resztą społeczeństwa oglądał błogi krajobraz, pełny drzew, trawy, z czystym niebem. Podobnie jak inni żywiłowo reagował na widok nowego świata. To było to! Kiedy obejrzał transmisję, zrozumiał, jak głęboko przemyślane było przemówienie Jima. Zaczynała się kolejna epoka w dziejach ludzkości, a jego kandydat od początku to przewidywał. Gdyby tylko teraz mogli posłać tam Jima z Woodbine’em. Ten jeden, ostatni, kluczowy czyn...

– Mam go – oznajmiła triumfalnie Pat, przerywając mężowi rozmyślenia. – Trzymaj. – Wyciągnęła do Sala słuchawkę wideofonu. – Wie, kim jesteś, zgodził się na rozmowę ze względu na Jima.

– Panie Woodbine – zaczął Sal, siadając przed wideofonem – niezwykle miło z pana strony,

że zechciał pan poświęcić minutę swojego niezwykle cennego czasu. Jim Briskin pragnąłby zwiedzić ten drugi świat. Czy może pan to załatwić z Turpinem?

Heim wyjaśnił następnie, dlaczego sprawa była tak ważna, na wszelki wypadek, gdyby Woodbine nie znał przemówienia Jima. Ale badacz kosmosu natychmiast zrozumiał sytuację.

– Wolałbym, aby przysłał pan Briskina do mego biura. Jeszcze dziś w nocy, jeśli to możliwe. Chcę porozmawiać z nim na temat materiału, który tam odkryliśmy. Powinien znać wszystkie szczegóły przed podróżą. Jestem pewien, że RZ nie miałoby nic przeciwko temu. I tak zamierzają jutro podać tę informację do wiadomości publicznej.

– W porządku – powiedział Sal, niezwykle ucieszony. – Czym prędzej wyślę Jima do pańskiego biura.

Podziękował Woodbine'owi wylewnie, po czym przerwał połączenie.

– A teraz zobaczymy, czy uda mi się odpowiednio nastroić Jima – powiedział do siebie, wybierając numer. – I nakłonić do mojego pomysłu. A co będzie, jeśli się nie zgodzi?

– Może ja mogłabym pomóc – zaproponowała Pat. – Zwykle udaje mi się przekonać Jima do czegoś, co leży w jego interesie. A ta sprawa bez wątpienia do takich należy.

– Cieszę się, że masz tyle optymizmu – odparł Sal. Zastanawiał się, jaki materiał RZ odkrył w nowym świecie.

Znalezisko niewątpliwie było ważne. Mówiąc o tym, Woodbine zdawał się zatroskany. To martwiło Sala. Może tylko odrobinę, ale jednak czuł niepokój.

Frank Woodbine odpowiedział na pukanie do drzwi i po chwili na progu stał jego wysoki, ciemnoskóry przyjaciel, Jim Briskin, wyglądający jak zawsze ponuro.

– Kopeć lat – powiedział Woodbine, wprowadzając Jima do środka. – Chodź, chcę ci od razu pokazać, co znaleźliśmy po drugiej stronie.

Poprowadził Jima do długiego stołu w pokoju gościnnym.

– Oto ich kompresor – wskazał na fotografię. – Jest sto lepszych sposobów na zbudowanie kompresora. Dlaczego wybrali najbardziej nieporęczny? Nie możesz nazwać kultury prymitywną, jeśli w jej dorobku są takie przedmioty jak silnik z tłokiem i kompresor gazowy. W zasadzie sama zdolność do konstrukcji szybowca z napędem nie pozwala uznać tej cywilizacji za mało rozwiniętą. A jednak coś tu jest nie tak. Jutro oczywiście dowiemy się co. Ale ja chciałbym to wiedzieć dzisiaj, zanim się z nimi skontaktujemy.

Jim Briskin podniósł fotografię kompresora i zaczął jej się przyglądać.

– Gazety sugerowały, że znajdziecie podobne urządzenie, kiedy pisały o przyholowaniu obiektu na tę stronę. Według plotek, rzeczywiście...

– Tak – przytaknął Woodbine. – Ta plotka jest prawdziwa. Oto zdjęcie. – Pokazał Jimowi fotografię szybowca. – Pojazd znajduje się w piwnicy RZ. Są sprytni, a jednak głupi. Mam na

myśli tych drugiej stronie. Pojedź tam ze mną jutro. Wylądujemy dokładnie tutaj. – Wskazał jedno z serii zdjęć wykonanych przez satelitę KP. – Rozpoznajesz? Wybrzeże Francji. Normandia. Dla nich to wioska. Trudno nazwać ten obszar miastem, bo po prostu jest zbyt mały. A jednak to największe skupisko, jakie zdołał wykryć satelita. Wyruszymy tam więc, by spotkać się z autochtonami. W ten sposób bezpośrednio zetkniemy się z ich kulturą i wszelkimi jej zdobyczami. RZ zapewnia maszyny lingwistyczne. Mamy też antropologów, socjologów... – przerwał na chwilę. – Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz, Jim?

– Myślałem, że to planeta w innym układzie – powiedział Briskin. – W takim razie wskazówki w mediach okazały się słuszne, ale i tak miło będzie pojechać z tobą. Dziękuję, że mi pozwalasz.

– Nie bierz tego aż tak poważnie – rzekł Woodbine.

– Ale planeta jest zamieszkała – rzekł Jim.

– Tylko częściowo. Mój Boże, postaraj się myśleć pozytywnie. To wielkie wydarzenie. Zderzenie z zupełnie inną cywilizacją. Tego od czterdziestu lat szukałem po trzech galaktykach.

– Oczywiście masz rację – przyznał Jim po chwili milczenia. – Po prostu trudno mi się przyzwyczaić do nowej rzeczywistości, daj mi trochę czasu.

– Czy żałujesz teraz przemówienia w Chicago?

– Nie – odparł Jim.

– Mam nadzieję, że twoje podejście nie ulegnie zmianie. Jest jeszcze jedna rzecz, którą znaleźliśmy. Jak dotąd nikt z RZ nie wie, co ona oznacza. Spójrz. – Położył przed Jimem lśniąca fotografię. – To było w szybowcu, najwyraźniej ukryte. Leżało w małej skórzanej torbie.

– Skały? – spytał Jim, przyglądając się zdjęciu.

– Diamenty, surowe, nie oszlifowane. Wyciągnięte prosto z ziemi. Wniosek: ci ludzie mają drogie kamienie, ale nie wiedzą, jak je piłować i szlifować. A więc przynajmniej w tej kwestii są za nami w tyle o jakieś cztery lub pięć tysięcy lat. Co powiesz o cywilizacji, która buduje szybowiec z silnikiem tłokowym i kompresorem, a nie nauczyła się obróbki kamieni?

– Nie wiem... – przyznał Jim.

– Zabierzemy jutro ze sobą parę oszlifowanych kamieni. Kilka diamentów, opali, złoty pierścionek z rubinem, darowany przez żonę jednego z wiceprezesów RZ. Weźmiemy również to. – Położył przed Jimem kartkę papieru. – Zarys konstrukcji bardzo prostej, wydajnej turbiny. – I to także. – Rozwinął na stole następny rulon. – Schemat silnika parowego średniej mocy, używanego jako napęd pomocniczy w pracach górniczych od 1880 roku. Ale oczywiście nasze główne wysiłki skupią się na sprowadzeniu kilku tamtejszych ekspertów technicznych, jeżeli takowych posiadają. Turpin, na przykład chce ich oprowadzić po RZ. Potem prawdopodobnie pokaże Nowy Jork.

– Czy rząd zaangażował się w jakikolwiek sposób?

– Jeśli dobrze się orientuję, Schwarz pytał Turpina, czy paru specjalistów z różnych dziedzin może nam towarzyszyć. Nie wiem, co odpowiedział Turpin. Ostatnie słowo należy do niego. W końcu RZ decyduje o korzystaniu z połączenia. Schwarz zdaje sobie z tego sprawę.

– Czy spróbowałbyś określić w przybliżeniu poziom tamtejszej kultury, według naszej chronologii? – spytał Jim.

– Jasne – rzekł Woodbine. – Coś pomiędzy trzema tysiącami lat przed naszą erą, a tysiąc dziewięćset dwudziestym naszej ery. Wystarczy?

– A zatem nie można tej obcej cywilizacji umieścić w przedziale czasowym pozwalającym na porównanie jej z naszą?

– Jutro się przekonamy – powiedział Frank. – Spodziewam się, Jim, iż dowiemy się, że są tak totalnie różni od nas, iż mogliby równie dobrze żyć w zupełnie innej galaktyce. Że to jakaś zupełnie pozaziemska rasa.

– Z sześcioma nogami i szkieletem zewnętrznym – mruknął Jim.

– Jeśli nie gorzej. Może przy nich George Walt będzie wydawał się zupełnie zwyczajny. Wiesz, co powinniśmy zrobić? Wziąć George'a Walta ze sobą. Powiedzieć tym ludziom po drugiej stronie, że on jest naszym bogiem, że my go czcimy i lepiej, żeby oni także to robili, w przeciwnym bowiem razie ześle na nich deszcz radioaktywny i sprawi, że wymrą na białaczkę.

– Prawdopodobnie nie osiągnęli jeszcze poziomu rozwoju atomowego, ani na przemysłową, ani na wojenną skalę – ocenił Jim.

– Z tego, co wiem, posiadają taktyczną bombę atomową, wykonaną z drewna – powiedział cicho Frank.

– Absurd! Kiepski żart.

– Ja nie żartuję... jestem cholernie poważny. Nikt w naszym świecie nigdy nie przypuszczał, że można budować nowoczesną maszynę z drewna, tak jak to robią tamci. Jeśli potrafią dokonać takich rzeczy, chociaż Bóg wie, jak wiele czasu im to zajmuje, mogą zrobić wszystko. Tak przynajmniej ja sędzę. Zamierzam jutro polecieć transporterem do Normandii. Owszem, boję się, chociaż widziałem już więcej obcych światów niż jakikolwiek człowiek na ziemi.

Jim Briskin z ponurą miną podniósł zdjęcie drewnianego silnika.

– Oczywiście – ciągnął Frank – wciąż sobie powtarzam: „Spójrz, czego możemy się nauczyć od nich. A zobacz, czego oni mogą się nauczyć od nas.”

– Tak mamy dobrą okazję – zgodził się Jim.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że coś tu naprawdę jest nie tak.

Jim Briskin skinął głową.

Dzwonek wideofonu obudził Stanleya, asystenta administracyjnego Leona Turpina, w środku nocy. Don usiadł z wysiłkiem i odnalazł w ciemności słuchawkę.

– Słucham – powiedział włączając światło.

W łóżku spała pani Stanley. Dzwonek nie zakłócił jej snu. Na ekranie wideofonu pojawiła się postać jednego z głównych badaczy RZ.

– Panie asystencie, dzwoniemy do pana zamiast do Turpina. Ktoś z kierownictwa powinien o tym wiedzieć. – Głos badacza był niezwykle napięty. – KP jest na dole.

– Na dole czego? – Nie mógł zrozumieć Stanley.

– Oni go zestrzelili, Bóg wie jak. Przed chwilą. Parę minut temu. Nie wiemy, czy powinniśmy próbować zainstalować innego satelitę czy poczekać.

– Może KP zaczął źle funkcjonować i, zepsuty, dryfuje gdzieś na górze? Już od jakiegoś czasu zanosiło się na to, że przestanie działać.

– Jego tam wcale nie ma. Dysponujemy licznymi narzędziami rejestrującymi. Wie pan, ściągnięcie na dół satelity wymaga użycia wyjątkowo skomplikowanej broni. To nie jest takie proste.

Przed oczyma na pół śpiącego Dona Stanleya pojawiła się absurdalna wizja monsturalnej kuszy z cięciwą, którą można odciągnąć na kilometr. Odpędził tę myśl i odezwał się do słuchawki:

– Chyba nie powinniśmy wysyłać tam jutro Woodbine'a. Nie chcemy go stracić.

– Decyzja należy do pana i Turpina – powiedział badacz. – Jednak wcześniej czy później trzeba nawiązać z obcymi formalny kontakt. Czemu więc nie spróbować od razu. Według mnie nie możemy pozwolić sobie na oczekiwanie ze względu na manewr wykonany przeciwko satelicie. Musimy wiedzieć, co zamierzają.

– Wyruszymy tam – zdecydował Stanley. – Woodbine pójdzie pod eskortą naszej policji. Będziemy też pozostawać z nim w stałym kontakcie radiowym.

– Nasza policja – powtórzył badacz z niesmakiem. – Tak naprawdę Woodbine potrzebuje całej armii Stanów Zjednoczonych.

– Wolimy, żeby rząd się w to nie mieszał – powiedział ostro Stanley. – Jeśli RZ nie potrafi sobie poradzić z problemem, zamkniemy scuttler i zniwelujemy połączenie. Zapomnimy o całej sprawie.

Był zirytowany. „Ta sytuacja rzuca nowe światło na sprawę”, myślał. „Ludzie po tamtej stronie wcale nie pozostają w tyle za nami, przynajmniej nie w najistotniejszych dziedzinach. Nie uda się przehandlować im połowy Ameryki Północnej za koszt szklanych paciorków.” Stanleyowi przypomniawszy się skórzana torba z nie oszlifowanymi diamentami, znaleziona w szybowcu. „Może nie potrafią obrabiać kamieni”, myślał, „ale przynajmniej znają się na tym, co cenne. Jest wielka różnica między obnoszeniem torby pełnej diamentów, a podobnej torby wypełnionej, na przykład, muszelkami.”

– Wciąż masz ekipę po drugiej stronie? – spytał Stanley. – Chyba nie ściągnąłeś ich tu

z powrotem?

– Nadal tam są – powiedział badacz. – Ale nic nie robią w oczekiwaniu na świt, zastęp profesorów z dekoderni językowymi i sprzęt, który nam obiecano.

– Nie chcemy wejść w spór z tymi drugimi – rzekł dobitnie Stanley. – Nawet jeśli strzelali do naszego satelity. RZ pragnie poznać ich techniki przemysłowe i całą wiedzę, jaką posiadają. Nie możemy pokrzyżować tych planów.

– W porządku – zgodził się badacz. – Powodzenia.

Don Stanley odwiesił słuchawkę i usiadł na chwilę. Potem podniósł się i ruszył do kuchni, aby przygotować sobie coś do zjedzenia. „Jutro będzie wielki dzień”, pomyślał. „Chciałbym też pojechać. Ale w tej sytuacji chyba zostanę jednak po tej stronie. W końcu ja jestem od siedzenia przy biurku. Niech ktoś inny się tym zajmie. Ktoś taki jak Woodbine, któremu płaci się za ryzyko, jakie ponosi. Dlatego właśnie jego wynajęliśmy.” Nie zazdrościł Woodbine’owi. Nagle przyszło mu do głowy, że stary Leon Turpin może nakazać jemu, swojemu asystentowi, by poszedł z nimi. W takim razie musiałby to zrobić albo straciłby pracę. A w tych czasach utrata posady oznacza poważne kłopoty. Don Stanley kompletnie stracił apetyt. Opuścił kuchnię i powrócił do łóżka w ponurym nastroju, zdając sobie sprawę, że i tak nie zdoła już zasnąć. Okazało się, że miał rację.

Dariusowi Pethelowi nie można było zabronić towarzyszenia grupie ekspertów naukowych i językowych, ponieważ właśnie jego firma zajmowała się serwisowaniem wadliwego Jiffi-scuttlera. Ubrany w starannie wyprasowaną i nakrochmaloną białą koszulę i nowy krawat, Pethel przyjechał do centralnego biura administracyjnego RZ w Waszyngtonie dokładnie o ósmej rano. Czuł się pewny siebie. Pracownicy RZ traktowali go zupełnie inaczej, od kiedy przekazał im wadliwy scuttler. Bądź co bądź równie dobrze mógł go im odebrać. Tak przynajmniej rozumował.

Dwóch urzędników, w pełnym napięcia milczeniu, poprowadziło Pethela do biura Turpina. Gdy tylko dotarli na dwudzieste piętro, dwaj pracownicy RZ natychmiast odeszli. Darius został sam. Widok szefa RZ wcale go nie przestraszył.

– Dzień dobry, panie Turpin – powiedział na powitanie. – Mam nadzieję, że się nie spóźniłem. – Nie był pewien, czy grupa przypadkiem już nie wyruszyła. Prawdopodobnie jednak kręcili się jeszcze w laboratorium przy scuttlerze.

– Hm – mruknął stary człowiek, spoglądając na gościa z ukosa. – Ach tak, Pedal.

– Pethel – poprawił starca Darius.

– Więc wolisz mieć na wszystko oko? – spytał z wesołym uśmiechem Leon Turpin.

– Nie chcę stracić kontaktu – odparł Pethel, po czym szybko dodał: – W końcu to moja własność.

– O tak, jesteśmy tego świadomi, panie Pethel. Zajmuje pan bardzo ważne miejsce w tym wszystkim, co się dzieje. Jako biznesmen niewątpliwie przyda się pan w tej misji. Może pan ustabilizować stosunki handlowe z ludźmi po tamtej stronie. Szczerze mówiąc oczekujemy, że zacznie im pan sprzedawać scuttlerzy – zaśmiał się Turpin. – Dobra, panie Pethel. Pomaszeruje pan na dół do laboratorium i dołączy do grupy. Proszę czuć się tu jak u siebie w domu. Niech pan robi, co się panu podoba. Ja zostaję w biurze. Jedna taka wycieczka wystarczy człowiekowi w moim wieku. Wiem, że pan to zrozumie.

Darius Pethel czuł, że z niego zadrwiono. Opuścił gabinet Turpina i wszedł do windy jadącej na dół. „Mogę okazać się ważny”, myślał, stropiony. „Ludzie z tamtej alternatywnej Ziemi prawdopodobnie używają mniej rozwiniętych metod transportu niż my. Jak podawano w wiadomościach, zdają się zacofani w porównaniu z nami. Mówiono coś na temat prymitywnego statku czy samolotu. Czegoś, co przestało być użyteczne w naszym świecie wiele wieków temu.”

Wysiadł z windy i zgodnie z wskazówkami namalowanymi na ścianach ruszył wzdłuż korytarza ku głównemu laboratorium. Otworzywszy drzwi, ujrzał człowieka, którego twarz znał z telewizji. Był to kandydat na prezydenta Partii Republikańsko-Liberalnej, Jim Briskin. Pethel

zatrzymał się zdziwiony i nieco przestraszony.

– Zróbmy jedno zdjęcie przy wejściu – mówił fotograf do Briskina. – Mógłby się pan tam przesunąć?

Briskin posłusznie podszedł do scuttlera.

„To wielka chwila”, przyszło do głowy Pethelowi. „Nasz przyszły prezydent stoi tutaj niedaleko mnie. Ciekawe, co by było, gdybym się z nim przywitał. Czy odpowiedziałby? Prawdopodobnie tak, bo jest w trakcie kampanii. W przeciwnym razie pewnie by tego nie zrobił.”

– Dzień dobry, panie Briskin – powiedział pokornym głosem Pethel. – Pan mnie nie zna, ale ja zamierzam na pana głosować. – Właśnie podjął tę decyzję, zobaczywszy Briskina na żywo. – Jestem Darius Pethel.

– Dzień dobry, panie Pethel – rzekł Briskin, spoglądając na niego.

– Ten scuttler właściwie należy do mnie – oznajmił Pethel. – To ja znalazłem w nim tę usterkę: drzwi do innego wszechświata. A dokładnie, odkrycia dokonał mój monter, Rick Erickson, ale on nie żyje. To była bardzo tragiczna śmierć – dodał. – Widziałem wszystko.

– Jesteśmy gotowi, panie Briskin – oświadczył Jimowi jeden z urzędników.

Po chwili nadszedł niski, raczej miły człowiek, którego Darius również rozpoznał: oto Frank Woodbine, słynny badacz kosmosu.

„Dobry Boże”, powiedział Pethel do siebie. „I ja mam im towarzyszyć!”

– Jim – zwrócił się Woodbine do Briskina. – Wszyscy prócz ciebie bierzemy ze sobą pistolety laserowe. Czy nie sądzisz, że popełniasz błąd?

– Hej! – krzyknął Pethel. – A dlaczego nikt mnie nie dał broni?

Jeden z pracowników RZ podał mu pistolet w kaburze, mówiąc:

– Przepraszam, panie Pethel.

– To co innego – mruknął Dar Pethel, zastanawiając się, czy powinien trzymać pistolet w ręku, czy przyczepić go gdzieś.

– Ja nie potrzebuję broni – odparł Briskin.

– Oczywiście, że potrzebujesz – zaoponował Woodbine. – Chyba chcesz stamtąd wrócić? Proszę, niech pan go przekona – zwrócił się do Pethela.

– Radzę panu coś wziąć, panie Briskin – powiedział żywo Pethel. – Nie wiadomo, na co się natkniemy.

W końcu Briskin, ociągając się, przyjął pistolet.

– To nie jest sposób – powiedział. – Nie powinniśmy wychodzić im naprzeciw uzbrojeni.

Wyglądał na zmartwionego.

– A mamy inne wyjście? – spytał retorycznie Woodbine i po chwili zniknął w otworze scuttlera.



– Idę z panem, panie Briskin, zamiast z tą bandą naukowców. – Pethel wskazał na grupę ludzi tłoczącą się z tyłu. – Nie potrafię się z nimi porozumieć.

W tym momencie do Briskina podszedł Salisbury Heim.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. Ogarnął spojrzeniem ludzi z mediów i zawołał:

– Wy, panowie, macie śledzić każdy nasz krok, zrozumiano?

– Tak, panie Heim – wymamrotali i posunęli się do przodu.

– Nadszedł czas – oświadczył Salisbury, popychając Briskina w kierunku wejścia scuttlera. – Chodźmy, Jim.

– Czy jest pan gotów, panie Pethel? – spytał Briskin.

– Tak, oczywiście – odparł pospiesznie Darius. – To będzie niewątpliwie fascynująca podróż.

– Wręcz doniosła – dodał Salisbury Heim.

– O znaczeniu historycznym – dorzucił ze słabym uśmiechem Briskin.

– Właśnie wchodzą do Jiffi-scuttlera – referował jeden z dziennikarzy. – Potencjalny przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych nie martwi się o własne bezpieczeństwo. W trosce o dobro otaczających go ludzi upewnia się, że rozumieją oni historyczne znaczenie tej sytuacji, pełnej niebezpieczeństw. Inny świat, nieznaną cywilizacją... Jakie znaczenie będzie miało to odkrycie dla ludzkości w przyszłych wiekach? Niewątpliwie takie pytanie zadaje sobie James Briskin w chwili, kiedy przekracza próg zwyczajnie wyglądającego Jiffi-scuttlera.

Jim Briskin mrugnął porozumiewawczo do Dariusa Pethela. Zaskoczony Pethel chciał zrobić to samo, ale był zbyt zdenerwowany.

– Zaraz, jeszcze chwilę, panie Briskin! – zawołał jakiś reporter. – Chcemy być pewni, że mamy pana przechodzącego przez wejście. Czy mógłby pan cofnąć się parę kroków ku obręczy.

Jim Briskin zrobił, o co go proszono.

– A więc już za kilka sekund – mówił dziennikarz – kandydat na prezydenta, James Briskin, przekroczy punkt łączący nasz świat z tym drugim, którego istnienia jeszcze dwa dni temu nikt nawet nie podejrzewał. W chwili obecnej wielkie autorytety zdają się zgodne co do tego, że na podstawie wykresów nieba wykonanych przez nie funkcjonującego już satelitę Królowa Pszczół...

„Ciekawe, dlaczego on już nie funkcjonuje”, zastanawiał się Pethel. „Czy coś się zacięło? Zły znak.” Pethel poczuł się nieswojo.

Po drugiej stronie, trzydziestoosobowa grupa wsiadła na pokład ekspresowego transportera odrzutowego stojącego na łące, porosłej świeżą zieloną trawą i drobnymi białymi kwiatkami. Inżynierom RZ, w im tylko znany sposób, udało się rozmontować transporter, przenieść przez obręcz i po drugiej stronie złożyć powtórnie. Prawie natychmiast transporter wzniósł się wysoko nad Atlantyk, kierując się ku północnym wybrzeżom Francji. „Z tej wysokości wszystko

wygląda jak w naszym świecie”, pomyślał Briskin obserwując stado mew. Kiedy transporter przyspieszył, ptaki znikły z pola widzenia. „Czy ujrzymy jakieś statki na oceanie?”, zastanawiał się Jim.

Piętnaście minut później dostrzegł statek płynący pod nimi. Nie był zbyt wielki. Ale płynię przez ocean, a to już coś, pomyślał Briskin. Żaden z obserwatorów nie miał wątpliwości, że statek jest drewniany. Okręt nie posiadał żagli ani komina. „Co więc pcha go do przodu?”, zastanawiał się Briskin. „Kolejna bezsensowna maszyna. Jeśli nie rozszerzanie się lodu, to może pęknięcie papierowych torebek”, zadrwił w duchu Jim. Pilot opuścił transporter ponad statek. Teraz widzieli wszystko wyraźnie. Postacie na pokładzie zaczęły biegać w panice, by w końcu zniknąć z pola widzenia pod pokładem. Statek płynął dalej. Wkrótce transporter pozostawił go w tyle.

– Nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele – powiedział rozczarowany antropolog Dillingsworth. – Kiedy dolecimy do Normandii?

– Za pół godziny – odparł pilot.

Za chwilę ujrzeni grupę małych łodzi, która mogła być flotą rybacką. Zakotwiczone łodzie zaopatrzone były w żagle. Żeglarze wpatrywali się w transporter, zastygli w bezruchu. Transporter zszedł niżej. Gapiąc się w dół, antropolog zawołał:

– Jeszcze niżej!

– Nie mogę – powiedział pilot. – To zbyt niebezpieczne, mamy przeciążenie.

– O co chodzi? – spytał Dillingswortha Edward Marshack, socjolog z Uniwersytetu Kalifornijskiego. – Co zobaczyłeś?

– Ładujemy od razu, gdy dolecimy do Europy – odezwał się po chwili Dillingsworth. – Nie szukajmy większych skupisk. Chcę, żebyśmy wylądowali, jak tylko dostrzeżemy jednego z tubylców.

Flota łodzi została w tyle. Drżącymi dłońmi Dillingsworth otworzył jakąś książkę i zaczął ją przeglądać. Nie pozwolił nikomu zobaczyć tytułu. Usiadł samotnie w rogu transportera i sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Sądzisz, że powinniśmy zawrócić? – spytał Stanley, najstarszy z urzędników RZ.

– Nie, do diabła! – odburknął Dillingsworth.

Pethel nachylił się do Briskina i powiedział:

– On mnie denerwuje. Kiedy zobaczył tych rybaków, coś odkrył, ale nikomu nie mówi ani słowa. Patrzyłem na jego twarz. Niemal zemdlął.

– Spokojnie, panie Pethel – rzekł Jim, nieco rozbawiony. – Wciąż mamy przed sobą długą drogę.

– Zamierzam się dowiedzieć, o co chodzi – oznajmił stanowczo Pethel. Wstał i ruszył w kierunku Dillingswortha. – Powiedz... – zaczął ostro – dlaczego trzymasz swoje spostrzeżenia

w tajemnicy. To musi być coś poważnego, skoro tak cię zgasiło. Co ty tam zobaczyłeś, że zachowujesz się w ten sposób? Osobiście nie sędzę, byśmy powinni kontynuować lot, aż...

– Posłuchaj – przerwał Dillingsworth. – Jeśli się mylę, to moje odkrycie nie ma żadnego znaczenia. Jeśli zaś mam rację... – Spojrzał spoza Pethela na Jima Briskina. – Tego się dowiemy, zanim wrócimy z tej podróży.

– To wystarczy – powiedział po chwili Jim Briskin. – Przynajmniej mnie.

Zagniewany Pethel wrócił na swoje miejsce.

– Gdybym wiedział, że tak będzie...

– Nie pojechałbyś z nami? – spytał Jim.

– Możliwe.

– Nie podejrzewałem, że to będzie jak hazard – rzekł poruszony Sal Heim.

– Jak pan myśli, kiedy zestrzelili naszego satelitę? – spytał jeden z dziennikarzy.

– Nie mam pojęcia. Dowiedziałem się o tym, dopiero kiedy wszedłem do tego cholernego scuttlera – odburknął Sal.

– A co powiecie na robra? – odezwał się fotograf jednej z ważniejszych gazet. – Wyjście z waleta albo wyżej. Pens za lewę. Żadnych limitów.

Wkrótce gra się rozpoczęła.

Salowi zdawało się, że dojrzał coś na horyzoncie, więc spojrzał szybko na zegarek. „To Normandia”, zrozumiał. „Jesteśmy prawie na miejscu.” Poczul, że strach ściska mu gardło. „Boże, jaki jestem zdenerwowany”, pomyślał. „Ten antropolog naprawdę mną wstrząsnął. Ale już za późno, by się cofnąć. Poza tym, nawet gdybyśmy mogli zawrócić, nie wyglądałoby to zbyt dobrze z politycznego punktu widzenia. Nie, dla własnego dobra musimy kontynuować tę podróż, czy tego chcemy czy nie.”

– Wyląduj tutaj – poinstruował pilota Dillingsworth nagłym tonem.

– Zrób to – przyzwolił Don Stanley.

Pilot skinął głową. Byli nad otwartym terenem. Pod nimi leżał wymyty wodą brzeg. Sal Heim ujrzał coś, co nie było wprawdzie podobne do drogi, ale nie mogłoby też być niczym innym. Przemierzając trakt wzrokiem, ujrzał w pewnej odległości jakiś pojazd podobny do furmanki. Ktoś jechał nierówno po drodze w swych zwykłych sprawach, jak domyślił się Sal. Heim zdołał dostrzec koła pojazdu i ładunek. Na przedzie zaś zobaczył kierowcę w niebieskiej czapce, który najwyraźniej nie zauważył obecności transportera, gdyż nie patrzył w górę. Po chwili Sal zrozumiał, że pilot wyłączył silniki odrzutowe. Transporter powoli opadał w dół.

– Zamierzam wylądować na drodze – wyjaśnił pilot. – Dokładnie przed tym pojazdem.

Wrzucił wsteczny, by szybko obniżyć lot.

– Boże, miałem rację – wysapał Dillingsworth.

Kiedy transporter uderzył o ziemię, wszyscy stłoczyli się przy oknach, próbując dostrzec to, co wcześniej zauważył antropolog. Furmanka zatrzymała się. Powożący wstał i gapił się na transporter oraz znajdujących się w nim ludzi. Jakoś dziwnie wygląda ten człowiek, pomyślał Sal Heim. Jest zdeformowany.

– Musiał zostać napromieniowany w czasie wojny – powiedział ochryłym głosem jeden z reporterów. – Boże, co za straszny widok!

– Nie – zaprzeczył Dillingsworth. – To nie skutek napromieniowania. Nie widziałeś czegoś podobnego wcześniej?

– Przelotnie dostrzegłem w książce, którą oglądałeś, kiedy minęliśmy łodzie rybackie – odparł podniesionym głosem Pethel.

– To jeden z praludzi – powiedział Jim Briskin.

– Pochodzi z paleolitycznej odnogi – uściślił Dillingsworth. – Sądzę, że to sinantropus, wyższa forma pitekantropusa. Spójrzcie na niskie sklepienie czaszki. Ciężki łuk brwiowy, który biegnie bez załamania ponad oczami. Broda jest bardzo słabo rozwinięta. To cechy małpie, nie występujące dopiero w linii *homo sapiens*. Wielkość mózgu jednak jest dość znaczna, prawie porównywalna z naszą. Nie muszę chyba dodawać, że zęby są nieco inaczej wykształcone. W naszym świecie – dodał – ta gałąź praewolucji urwała się we wczesnym plejstocenie, około półtora miliona lat temu.

– Czy... cofnęliśmy się w czasie? – spytał Pethel.

– Nie – powiedział zirytowany Dillingsworth. – Ani o tydzień. Najwyraźniej *homo sapiens* tutaj wcale się nie pojawił albo z jakichś powodów nie przetrwał. A sinantropus stał się dominującym gatunkiem, tak jak *homo sapiens* w naszym świecie.

– Ten, który wyskoczył wczoraj z szybowca, był pochylony – zauważył Woodbine trzęsącym się głosem.

– Właśnie – rzekł Dillingsworth. – Nie do końca wyprostowana sylwetka sinantropusa to wynik przystosowania do otwartych terenów, porośniętych niską trawą. Prosta postawa uczyniłaby go zbyt łatwym celem – wyjaśnił spokojnym głosem.

– Dobra, to co robimy? – spytał Sal Heim.

Nie było odpowiedzi.

„Co za burdel”, pomyślał Sal Heim, kiedy trzydziestoosobowa grupa wydostała się z zaparkowanego transportera i otoczyła pojazd. Kierowca, zbyt przerażony, by uciekać, patrzył na przybyszów potulnym wzrokiem, trzymając w ręku jakąś paczkę. Sal zauważył, że tubylec ma na sobie jednocześnie strój w formie togi. Włosy sinantropusa, inaczej niż na muzealnych modelach, przycięte były krótko i schludnie. „Jakie wynikają z tego wnioski?”, zastanawiał się Sal. „Cholerny pech!” Ale rzeczywistość przedstawiała się nawet gorzej niż myślał, znacznie

gorzej. „Więc Jim ma przegrać głosowanie z powodu tego...” A był to tylko czubek góry lodowej. W myśli Heim ujrzał, jak cała ta sprawa rzuca cień na ich życie, jego, Jima oraz wszystkich innych... białych i kolorowych. Gdyż pod względem stosunków rasowych zetknięcie się z sinantropusem oznaczało absolutną klęskę.

Kilku pracowników RZ razem z Dillingsworthem pospiesznie montowało na pojeździe urządzenia tłumaczące. Najwyraźniej zamierzali podjąć próbę porozumienia się z kierowcą. Mały, krągły biznesmen z Kansas City jękając się powiedział:

– Czy to nie wspaniałe? Ci półludzie zdołali się nauczyć, jak budować drogi i pojazdy, wynaleźli nawet turbinę gazową. Tak przynajmniej poinformowała telewizja.

Pethel wyglądał na oszołomionego.

– Mieli na to półtora miliona lat – zauważył Sal.

– Mimo wszystko, zdumiewające. Zbudowali przecież statek mogący pływać po Atlantyku! Założę się, że nie ma na świecie antropologa, który podjąłby się napisania książki na ten temat. Nikt nie podejrzewałby nawet istnienia tak zaawansowanej kultury, jaką oni mają. Chylę przed nimi czoło. Myślę, że to wspaniałe. Napawa optymizmem. Sprawia, że dociera do nas... – Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. – Jeśli cokolwiek przydarzy się nam, *homo sapiens*, inne formy życia nadal będą istnieć.

To wcale nie napawało Sala optymizmem. „Lepiej wrócić do naszego świata i zlikwidować przejście. Zapomnieć, że kiedykolwiek istniało, że kiedykolwiek je widzieliśmy”, pomyślał ponuro Heim. „A jednak nie możemy tego zrobić, bo zawsze znajdzie się jakiś wścibski naukowiec, który będzie się upierał przy kontynuowaniu badań. Sam zresztą RZ chce nadal poszukiwać tutejszych obiektów, by zobaczyć, jaki można mieć z nich pożytek. Więc to wszystko nie takie łatwe. Nie uda się po prostu zamknąć oczy, odejść i udawać, że nic się nie stało.”

– Nie sędzę, żeby to, co tutaj robią ci półludzie, było wspaniałe – powiedział głośno Sal. – Są żałośnie zacofani w stosunku do nas. A mieli dziesięć razy więcej czasu, by dojść do tego, co mają. Przynajmniej dziesięć, a może dwadzieścia. Poza tym nie wykryli na przykład metali.

Nikt nie zwracał na doradcę Briskina uwagi. Wszyscy tłoczyli się wokół maszyny tłumaczącej, w oczekiwaniu na próbę porozumienia z kierowcą.

– Kto się zgłasza do rozmowy z tą półmałpą? – spytał gorzko Sal. – Kto tego pragnie?

Chodził w kółko, niespokojnie i bez celu. „Muszę wydostać stąd mojego kandydata”, uświadomił sobie. „Nie mogę pozwolić, by się z tym identyfikował.”

Ale Jim Briskin w żadnym razie nie zamierzał odejść. Przeciwnie. Podszedł do wozu i zaczął coś mówić do obcego. Prawdopodobnie próbował go uspokoić. To było zupełnie w stylu Jima.

„Ty skończony głupcze”, pomyślał Sal. „Rujnujesz swoją karierę polityczną, czy tego nie widzisz? Czy tylko ja potrafia dostrzec konsekwencje? Czy nie są one oczywiste?”

Nachylony nad mikrofonem maszyny tłumaczącej, Dillingsworth powtarzał w kółko:

– Jesteśmy przyjaciółmi. Chcemy pokoju... Czy to urządzenie działa? – zwrócił się na chwilę do Stanleya, po czym kontynuował: – Jesteśmy przyjaciółmi. Przychodzimy w pokojowych zamiarach. Nie zrobimy nikomu krzywdy.

– Potrzeba trochę czasu – wyjaśnił Stanley. – Kontynuuj. Widzisz, maszyna musi przechwycić obrazy, które pojawiają się w twoim mózgu, kiedy mówisz, i przesłać je prosto do mózgu...

– Wiem, wiem – przerwał szorstko Dillingsworth. – Boję się tylko, czy to zadziała, zanim on ucieknie. Widzisz przecież, że się do tego szykuje... Jesteśmy przyjaciółmi, przychodzimy w pokojowych zamiarach – powtórzył jeszcze raz do mikrofonu.

Nagle sinantropus odezwał się. Z odbiornika maszyny tłumaczącej dobiegł stłumiony hałas. Nagrany automatycznie, został natychmiast cofnięty i puszczonej od nowa.

– Co on mówi? – dopytywał się Pethel, niespokojnie patrząc wokoło. – Co on mówi?

– Czy ty też jesteś przyjacielem? – pytał Dillingsworth do mikrofonu. – Czy jesteście naszymi przyjaciółmi, tak jak my waszymi?

Sal podszedł do Jima Briskina i położywszy mu rękę na ramieniu, powiedział:

– Jim, chcę z tobą porozmawiać.

– Nie teraz, na Boga!

– Właśnie teraz – upierał się Sal. – To nie może czekać.

– Jezu, czy ty postradałeś zmysły, człowieku?! – krzyknął Jim.

– Nie! – odparował Sal. – Wszyscy tutaj oprócz mnie zwariowali. Łącznie z tobą. Chodź.

Chwył Jima za ramię, odprowadził siłą na bok drogi.

– Słuchaj, jak określisz tego człowieka? No, dalej – pośpieszył.

– Co? – spytał Jim, patrząc ze zdziwieniem na doradcę.

– Zdefiniuj go! Jeśli nie możesz, ja to zrobię. Ten osobnik jest zwierzęciem wyrabiającym narzędzia. Wóz, kapelusz, paczka, toga, statek, nawet szybowiec z kompresorem i turbiną, to wszystko narzędzia, mówiąc ogólnie. A zatem należy uznać tę cholerną kreaturę za człowieka. Owszem, jest brzydki, ma niskie czoło i krzaczaste brwi. I nie grzeszy zbytnią błyskotliwością. A jednak wystarcza mu rozumu na tyle, by dochrapać się takiego sprzętu. Boże, on nawet buduje drogi i... – Głos Sala drżał ze złości. – On nawet zestrzelił naszego satelitę!

– Słuchaj – zaczął Jim z wysiłkiem. – To nie pora...

– Mylisz się. Musimy stąd uciekać. Wrócić na tamtą stronę i zapomnieć o tym, co widzieliśmy.

Ale na to nie było szansy. Sal doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Na przykład transporterem dowodził pilot RZ, a jemu Sal Heim nie mógł wydać rozkazów. Natomiast Stanley, przełożony pilota, najwyraźniej nie zamierzał się stąd wynosić. Stał zafascynowany

przy maszynie tłumaczącej.

– Pozwól, że spytam – sapał ze złości Sal. – Jeśli przyznasz, że są ludźmi, jak zamierzasz odmówić im prawa do głosowania?

– Czy o to właśnie się martwisz? – odezwał się Jim po chwili milczenia.

– Tak – powiedział Sal.

Odwróciwszy się na pięcie, Jim bez słowa powrócił do grupy obserwacyjnej. Sal odprowadził go wzrokiem.

– Głosujący sinantropus! – powiedział na głos Sal. – Już sobie to wyobrażam. A co potem? Mieszane małżeństwa między nimi i nami. Wracajmy, proszę.

Nikt się nie poruszył.

– Nie chciałbym przewidywać klęski, ale trudno, będę złym prorokiem. Do diabła, nie mnie obwiniajcie. Miejcie pretensje do tej małpy siedzącej na wozie. To jego wina. On nie powinien nawet istnieć.

Z głośnika maszyny tłumaczącej doszedł gardłowy, chropawy szept:

– ...przyjacielem.

Podniecony Dillingsworth odwrócił się do grupy obserwujących.

– Przemówił – rzekł natchnionym głosem.

– Oni nawet nie mają tutaj radia – powiedział Sal.

W swoim biurze w Nowym Jorku prywatny detektyw Tito Cravelli czytał intrygujący komunikat dostarczony przez informatora z RZ, Earla Bohegiana. Pierwszy raport z transportera do RZ. Świat zamieszkały przez małpy. Biorąc pod uwagę ryzyko, Cravelli połączył się zwykłą linią z centralą RZ i spytał wprost, czy może mówić z Bohegianem.

– Zwariowałaś? Nigdy więcej nie łącz się ze mną przez centralę – powiedział nerwowo Bohegian, gdy odebrał telefon.

– Wyjaśnij swoją wiadomość – powiedział Tito.

– Natknęli się na wykształcone małpy – oznajmił Bohegian. Nachylony nad ekranem wideo, mówił szybko, niskim głosem. – No, wiesz, brakujące ogniwo.

– Człowiek pierwotny – rzekł ze zrozumieniem Tito; serce zaczęło podchodzić mu do gardła. – Mów dalej, Earl, chcę usłyszeć wszystko. I nie wyłączaj się, bo i tak zadzwonię.

– Raport przekazano staremu Turpinowi – mamrotał Bohegian. – Czyta go teraz w swym biurze. Oni tam zamierzają zdecydować, czy zamknąć scuttler, czy nie. Ale ostatecznie nie sądzę, by zlikwidowali przejście.

– Nie, nie zrobią tego – zgodził się Tito. – Zbyt wiele mają do stracenia.

– Ale są zmartwieni. Zresztą, kto nie jest? Wyobraź sobie, teraz już możemy być pewni, że ludzie tacy jak my...

– Czy badacze z transportera określili dokładnie gatunek tego podczłowieka? – spytał Cravelli, przywołując na pamięć swoją wiedzę antropologiczną.

– Sinantropus, czy to ci coś mówi?

Cravelli przygryzł wargę.

– Jeden z najbardziej pierwotnych ludzi – myślał głośno. – Gdyby chodziło o człowieka z Cro-Magnon albo chociaż neandertalczyka... To zmieniałoby postać rzeczy. Bądź co bądź odkrycia archeologiczne w Palestynie dowiodły, że *homo sapiens* krzyżowali się z neandertalczykami bez żadnych zgubnych konsekwencji... gałąź genetyczna *homo sapiens* zyskała dominację.

– Zamierzają zabrać jakiegoś tubylca na tę stronę – kontynuował Bohegian. – Zapakowali już jednego do transportera, jak podsłuchałem w łazience na końcu holu. Pozostają z nim w kontakcie językowym. Podobno jest uległy. Przestraszony własną inteligencją.

– A jaki ma być? – spytał ironicznie Cravelli. – Oni prawdopodobnie pamiętają nas ze swojej przeszłości. Nie zapomnieli, że się nas pozbyli.

„Tak jak my pozbyliśmy się ich w naszym świecie”, ciągnął w myślach Tito. „Znieśliśmy z powierzchni ziemi.”

– A teraz znów przybywamy – mówił dalej na głos. – To musi im się zdawać jakąś magią. Powrót duchów sprzed stu tysięcy lat. Z ich epoki kamiennej. Jezu, co za sytuacja!

– Muszę się rozłączyć – wyszeptał Bohegian. – Powiedziałem ci już wszystko, Tito. Jeśli jeszcze coś...

– W porządku – odparł Cravelli i rozłączył się.

„Zastanawiam się, czy zdołają wrócić tym transporterem przez Atlantyk i przedostać się z powrotem do naszego świata”, rozmyślał. „A może ludzie pekińscy przechwycą ekipę podczas drogi? Dobre pytanie. To zacyzą na listopadowych wyborach”, stwierdził, pogrążony w myślach. „Ale kto mógł coś takiego przewidzieć?” Jeszcze raz ujrzał, jak ucieka mu stanowisko prokuratora generalnego. „Wszechświaty równoległe to bardzo skomplikowany problem”, uświadomił sobie. „Zastanawiam się, ile ich istnieje. Tuziny? Z odmiennymi gatunkami podczłowieka, dominującymi na danym terenie... Co za okropna perspektywa”, wzdrygnął się. „Boże, to takie niemiłe... jak kręgi piekielne, każdy z odmiennym rodzajem tortur. A może w jednym z tych światów dominuje typ człowieka na wyższym niż my poziomie ewolucji?”, przyszło mu nagle do głowy. „Taka rasa, którą tutaj wyeliminowaliśmy u samych jej początków. Ktoś powinien pomajstrować w tym scuttlerze, mając to na uwadze”, pomyślał Tito. „A potem przedstawiciele tego gatunku pojawią się na Ziemi, tak jak my pojawiliśmy się w małym wszechświecie ludzi pekińskich, i będziemy skończeni. Nie wygramy z nimi wyścigu. Tak jak człowiek pekiński nie zdoła nam dorównać. Biedacy, nie wiedzą, co ich tutaj czeka. Nie podejrzewają, że ich czas dobiega końca, bo pierwotny wróg powrócił, zaopatrzone już



w telewizję, pojazdy rakietowe, lasery, bomby wodorowe i wszystkie niezwykle skomplikowane urządzenia, których nie ogarną swoimi ograniczonymi rozumkami. Milion lat, a może dwa zajęło im wynalezienie kompresora gazowego. I na co im to potrzebne, kiedy nadchodzi taki decydujący moment. Jaką korzyść będą mieli z drewnianych szybowców, które muszą lądować co kilkadziesiąt metrów? Mój Boże, my mamy statki w trzech galaktykach.”

Nagle Cravelli przypomniał sobie satelitę KP. „Jak im się udało go unieszkodliwić?”, zapytywał siebie. „To niezwykle i zupełnie tu nie pasuje. Mimo to pozostają daleko za nami w procesie ewolucji”, stwierdził. – „My możemy im sprawić lanie, wykorzystując dwie ręce i przedni płat mózgu”, pomyślał, ale pewność siebie, jaką czuł przed momentem, gdzieś znikła. „Lepiej by było dla Jima Briskina by natychmiast wycofał się z tej akcji. Ktoś inny, kompetentny, powinien zająć się tak trudną sprawą. Już widzę tego łapacza szczurów, Billa Schwarza, próbującego sprostać zaistniałemu problemowi... Doskonale to sobie wyobrażam.”

Jeszcze raz zadzwonił do centrali RZ i poprosił o połączenie z Earlem Bohegianem.

– Chcę, byś mnie poinformował, kiedy Jim Briskin wyjdzie ze scuttlera – powiedział. – Nie dbam o całą resztę, chodzi mi tylko o niego, rozumiesz, Earl?

– Jasne, Tito – odparł krótko Bohegian, kiwając głową.

– Czy możesz przekazać mu wiadomość? W końcu znajdzie się on w tym samym budynku, co ty, tyle że na niższym piętrze.

– Spróbuję – rzekł z powątpiewaniem Bohegian.

– Poproś, żeby do mnie koniecznie zadzwonił.

– W porządku – powiedział posłusznie Bohegian. – Zrobię, co w mojej mocy.

Cravelli odwiesił słuchawkę, usiadł i zaczął rozglądać się za papierosem. Na razie pozostawało tylko siedzieć i czekać, dopóki Jim nie wróci. Wiedział, że to może potrwać.

Potem zaczął się zastanawiać nad czym innym. Możliwe, że pojmował teraz, dlaczego Cally Vale zastrzeliła laserem montera. Jeśli kiedykolwiek natknęła się na człowieka pekińskiego, musiał to być dla niej szok. W stanie hysterii, prawdopodobnie wzięła tego mechanika za jednego z tubylców. A zważywszy, że większość znanych mu monterów była raczej niezdarnymi i przygarbionymi mężczyznami, łatwo zrozumieć pomyłkę Cally. „Biedna dziewczyna”, myślał Tito. „Została tam upchnięta dla własnego bezpieczeństwa. Jakież musiało być jej zdziwienie, kiedy pewnego dnia nad jej głową przeleciał jeden z tych drewnianych szybowców. To dopiero musiało być spotkanie!”

Siedząc z tyłu transportera lecącego z powrotem przez Atlantyck, człowiek pekiński, w swojej niebieskiej czapce i ubraniu podobnym do togi, mówił:

– Nazywam się Bill Smith. – Przynajmniej tak zinterpretowała wypowiedź maszyna tłumacząca; to wszystko, co mogły wygenerować obwody.

„Bill Smith”, powtórzył w myślach Sal Heim. „Jakie odpowiednie nazwisko nadała mu maszyna! Równie amerykańskie jak szarlotka.” Po raz dziesiąty spojrzął z przygnębieniem za zegarek. „Czy kiedykolwiek przelecimy nad tym oceanem”, zastanawiał się. Nic nie zapowiadało szybkiego powrotu. Czas jakby stanął i Heim wiedział, kogo za to winić. Billa Smitha, oczywiście. Podróż z nim była dla Sala koszmarem i to zupełnie rzeczywistym.

– Witaj, Billu Smith – mówił Dillingsworth do mikrofonu. Miło nam cię poznać. Podziwiamy waszą naukę i wysiłki uwieńczone budową dróg, domów, szybowców, statków i innych pojazdów oraz wyrobem ubrań. Właściwie gdziekolwiek spojrzeć, tam widać dowody waszych zdolności.

Z głośnika maszyny tłumaczącej doleciała mieszanina chrząknięć, pisków i skowytów, których człowiek pekiński słuchał z opuszczoną szczęką. Jego małe oczy mocniej błyszczały, kiedy z wielkim wysiłkiem starał się zrozumieć przekazywane sygnały Sal Heim z wyrazem obrzydzenia na twarzy odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno.

„I pomyśleć, że złożyłem rezygnację z powodu takiego drobiazgu, jak nieporozumienie z George’em Waltem”, drwił w duchu. „Cóż to znaczyło w porównaniu z obecną sytuacją?”

– Jestem bardzo ciekaw twojego nowego przemówienia – rzekł zjadliwie do siedzącego obok Jima Briskina. – Masz pomysł, co powiedzieć, Jim? Może coś na temat sytuacji emigracyjnej w świetle nowego odkrycia.

Czekał na odpowiedź, ale Jim się nie odzywał. Siedział tylko przygarbiony, przyglądając się swym splecionym dłoniom.

– Może powiesz, że to będzie jak sprawa Mason Dickson – kontynuował Sal. – Z nimi po jednej stronie, a z nami po drugiej. Oczywiście, jeśli tamci się zgodzą. A całkiem możliwe, że wcale nie.

– A dlaczego mieliby się zgodzić? – spytał retorycznie Jim.

– Cóż, innym wyjściem, jakie możemy im zaproponować, jest totalne unicestwienie. Jeśli zezwoli na to Bill Schwarz.

– Nie wątpię, że Schwarz chętnie poprze akcję wytepienia obcych – odparł Jim. – Ale oni mają takie samo prawo do życia jak my.

– Czy to właśnie zamierzasz obwieścić w swym kolejnym przemówieniu? Że tamta planeta należy do nich, jeśli przyrzekną, że wszyscy uśpieni będą mogli się tam osiedlić?

Jim odezwał się powoli:

– Zaczynam... rozumieć, o co ci chodzi. – Pociągłą twarz Briskina wykrzywił gniew. – Więc doradz mi coś, to twoja funkcja.

– Ta planeta – powiedział Sal – jest w stanie przyjąć siedemdziesiąt milionów uśpionych. Mogą się osiedlić w Ameryce Północnej. Ale w pewnym momencie dojdzie do śpięcia. Ludzie i te zdeformowane istoty zaczną się nawzajem wybijać. Nastąpi powtórka ze zdobywania Nowego Świata przez białych kolonizatorów. Rozumiesz? Pekińczycy z Ameryki Północnej będą krok po kroku wypierani, aż kontynent zostanie z nich oczyszczony. Mogą się temu poddać równie dobrze jak ty. Chodzi mi o to, że taki bieg wydarzeń jest nieunikniony.

– A co dalej?

– Potem nadejdą prawdziwe kłopoty, bo wcześniej czy później jakiejś grupie przyjdzie do głowy, że jeśli można było zawładnąć Ameryką Północną, dlaczego nie sięgnąć także po Europę i Azję. A wtedy znów się rozpocznie wojna, jaka toczyła się w obu światach pięćdziesiąt czy sto tysięcy lat temu. Tyle że teraz w użyciu nie będą już topory krzemienne, ale bomby atomowe, gazy trujące i lasery po naszej stronie, a po ich... – przerwał na chwilę, namyślając się. – Wszystko, co uzyskali z naszego satelity. Kto wie, może w ciągu półtora miliona lat udało im się wynaleźć źródło energii, o którym my nie mamy pojęcia. Czy myślałeś o tym kiedykolwiek? – Jim wzruszył ramionami. – A jeśli ich sprowokujemy – ciągnął Sal – wykorzystają je przeciwko nam. Nie będą mieli wyjścia.

– Zawsze możemy zatrzaskać drzwi. Zamknąć przejście, poprzez odcięcie dostaw mocy do scuttlera.

– Ale do tego czasu osiedli się tam już siedemdziesiąt milionów ludzi. Czy można ich tak zostawić?

– Oczywiście że nie.

– Więc nie mów o zatrzaskiwaniu drzwi. To nie jest wyjście. Od momentu, kiedy pierwszy uśpiony przekroczy próg scuttlera, takie rozwiązanie nie wchodzi w grę – mówił Sal. – Dla tego Billa Smitha jazda naszym transporterem jest tym, czym dla nas byłaby podróż latającym spodkiem. Pomyśl, co powie swoim kumplom, kiedy wróci do domu, jeśli kiedykolwiek to nastąpi.

– Co to jest latający spodek?

– W dwudziestym wieku niektórzy ludzie twierdzili... – zaczął Sal.

– Aha, pamiętam – przerwał Jim.

– No więc jeśli zostaniesz już prezydentem – mówił Sal – spotkasz się z dygnitarzami obcych, zakładając że mają jakąś formę rządu. Ale na razie jesteś tylko osobą prywatną. Nie możesz zmusić ich do niczego. A Schwarz nie ruszy tyłkiem, bo wie, że wkrótce kończy się jego kadencja. Zostawi to na twojej głowie. A w styczniu będzie już prawdopodobnie za późno, by

prowadzić pokojowe negocjacje.

– Phil Danville napisze mi przemówienie wyjaśniające całą tę sytuację – odezwał się Jim.

Sal parsknął śmiechem.

– Akurat, do diabła! Nikomu nie uda się rozwiązać problemu. A już na pewno nie takiemu kretynowi jak Phil Danville. Ale niech spróbuje, zobaczymy, co wymyśli.

„Damy mu czas, powiedzmy, do jutra wieczora”, pomyślał Sal. „Najwyżej do pojutra”, pomyślał Sal.

Wyciągnął z kieszeni plan, rozwinął i uważnie zaczął do studiować.

– Muszę przemawiać w Cleveland dziś wieczorem – przypomniał Jim.

Z tyłu transportera maszyna tłumacząca przekładała słowa Billa Smitha:

– ...metal to zło. Razem ze śmiercią przynależy do wnętrza ziemi. Jest częścią tego miejsca, do którego wszystko idzie, kiedy jego czas się skończy.

– Tylko posłuchajcie tej filozofii – skomentował z niesmakiem Sal i potrząsnął głową.

– I dlatego nie używacie go do budowy? – spytał Dillingsworth.

– Są tematy, których unikamy – powiedział Jim do Sala. – Chyba pomyślałbyś dwa razy, zanim zrobiłbyś naczynie z ludzkiej czaszki.

– Czy to właśnie robią pekińczycy? – pytał zszokowany Sal.

– Chyba gdzieś o tym czytałem – odparł Jim. – Przynajmniej ich przodkowie tak robili. Ta praktyka mogła już zaniknąć do dzisiaj – dodał. – Ale kiedyś byli po prostu kanibalami.

– Świetnie – skwitował Sal i powrócił do studiowania mapy. – Tego nam tylko trzeba, byśmy wygrali wybory.

– Schwarz i tak by to odkrył wcześniej czy później – powiedział Jim.

– Będę szczęśliwy, kiedy się stąd wydostanę – rzekł Sal, spoglądając przez okno na ocean. – I na pewno nie ujrysz mnie emigrującego tutaj. Wolałbym już tak jak twoi ludzie dać szansę Marsowi, nawet gdybym miał tam umierać z pragnienia. Przynajmniej nie zostałbym zjedzony. I nikt nie używałby mojej czaszki jako naczynia.

Myśląc o tym, czuł się okropnie. Z wielkim trudem próbował ponownie skupić uwagę na planie.

„Ciekaw jestem, jak pierwszy czarny prezydent Stanów Zjednoczonych zamierza poradzić sobie z istnieniem planety pełnej ludzi pierwotnych, którzy dowiedli już, że potrafią stworzyć całkiem rozwiniętą cywilizację?”, zapytywał siebie Sal. „Teoretycznie, ta rasa nie powinna przetrwać epoki kamienia łupanego. Ale bądź co bądź my także zaczynaliśmy od łupania kamieni. Dowodzi to, że jeśli tylko ma się wystarczająco dużo czasu... Już wiem... Nie istnieją żadne konstytucyjne podstawy, by odmówić pekińczykom pełnych praw nam przysługujących. Jedynym pretekstem do tego mógłby być fakt, że obcy nie są obywatelami Stanów Zjednoczonych”, dywagował dalej Heim. „Co za wspaniały sposób, by powstrzymać inwazję na

Ziemię. Odmówić najeźdźcom obywatelstwa” – zaśmiał się w duchu.

Ale to wcale nie było śmieszne. Bo z drugiej strony obywatele Stanów Zjednoczonych będą emigrować do świata, gdzie obywatelstwo nie ma żadnego znaczenia. Pekinińczycy zamieszkiwali tamte tereny pierwsi i mogą tego z łatwością dowieść. A zatem podnoszenie kwestii obywatelstwa nie jest zbyt mądrym rozwiązaniem... „A co zrobimy”, zapytywał siebie Sal, „kiedy pekinińczycy zaczną krzyżować się z naszymi? Nie chciałbym specjalnie, by moja córka wyszła za mąż za jednego z nich. Ku-Klux-Klan miałby pełne ręce roboty.”

Perspektywa przedstawiała się niewesoło.

Stuart Hadley stał oparty na miotle przed drzwiami Pethel Jiffi-scuttler Sprzedaż i Serwis. Przyglądał się przechodzącym obok ludziom. Pod nieobecność Dariusa Pethela mógł robić, co mu się żywnie podobało. Kiedy tak sterczał, zatopiony w myślach, podszła do niego wysmukła, rudowłosa młoda kobieta z zaaferowaną twarzą.

– Zamknęli satelitę – odezwała się Sparky.

– C-co? – wyjąkał Hadley, przestraszony.

– Ten nedorobiony George Walt wykopał nas dzisiaj rano. Wszystko skończone. Nie mam pojęcia dlaczego. Więc przyszedłam do ciebie. Co teraz pocniemy?

Trąciła nogą śmieć leżącą na chodniku.

Nagle dotarło do Hadleya. Zareagował gwałtownie. Był gotów. Przyszła pora na podjęcie jednej z tych brzemiennych w skutki decyzji, która miała zaważyć na jego dalszych losach.

– Przyszłaś we właściwe miejsce, Sparky – powiedział do dziewczyny.

– Wiem, Stuart.

– Wyemigrujemy – podjął nagle decyzję.

– Jak? Gdzie? Na Marsa? – pytała bezradnie.

– Kocham cię – oświadczył Hadley.

Włożył w te słowa całe serce. Do diabła z żoną i robotą. Wszystkim, co składało się na jego monotonne życie.

– Bardzo się cieszę, Stuart – powiedziała Sparky. – Ale, na Boga, dokąd mamy uciec? Gdzie nas nie znajdą?

– Mam kontakty, wierz mi! – rzekł tajemniczo. W jednej chwili wszystko zaplanował. – Przygotuj się, Sparky.

– Jestem gotowa – odparła patrząc na niego.

– Udamy się do tego dziewiczego świata, o którym Jim Briskin mówił w Chicago. Wiem, jak tam dotrzeć. Nie żartuję.

Dziewczyna była pod wrażeniem. Jej oczy otworzyły się szeroko z podziwu.

– Rany!

– Idź i spakuj swoje rzeczy – instruował ją pospiesznie Hadley. – Daj mi swój numer na wideofon. Jak tylko ustalę szczegóły, zadzwonię do ciebie i wyruszymy do Waszyngtonu – mówił. – Tam znajduje się w tej chwili scuttler. W RZ. To się niezbyt dobrze składa, ale i tak nam się uda.

– Jak będziemy żyć w tym nowym świecie, Stuart?

– Pozwól, że ja się będę o to martwił. – Obmyślił już szczegóły, choć ogrom sprawy niemal go przerastał. – Idź się przygotuj. Nie możemy pozwolić, by nas przyłapali, zanim uciekniemy. Wiesz, że nie wolno nam się spotykać.

Myślał nie tylko o policji, ale także o Mary. Jego żona mogła w każdej chwili wpaść do sklepu. Jeden rzut oka na Sparky i wszystko skończone. Musiałyby pozostać w związku małżeńskim do końca życia. Może nawet dwieście lat. Była to niezbyt wesoła perspektywa. Sparky napisała swój numer na pudełku od zapalek i wręczyła Hadleyowi, który ostrożnie schował je do portfela i powrócił do zamiatania chodnika.

– Ty zamiatasz? – wykrzyknęła ze zdziwieniem Sparky. – Myślałam, że mamy wyemigrować, czy nie tak właśnie powiedziałeś?

– Czekam na wiadomości – wyjaśnił cierpliwie Hadley. – Nikt nie może przekroczyć granicy bez wsparcia kogoś wysoko postawionego w RZ. Mój informator ma układy w RZ. Ale muszę poczekać, aż wróci. Wyruszył tam na cały dzień w ważnych interesach.

– Aha – wyjąkała Sparky.

Stuart przelotnie pocałował dziewczynę na pożegnanie i pospiesznie wysłał w drogę. Szczupła postać wkrótce zniknęła z pola widzenia. Hadley wrócił do zamiatania, ustalając w głowie poszczególne etapy działania. Niestety wszystko zależało od Dariusa Pethela. „Mam nadzieję, że wkrótce się pojawi”, powiedział do siebie Hadley.

Po dwóch godzinach Darius Pethel nadszedł od strony parkingu. Twarz szefa była szara. Mamrocząc coś, Pethel minął sprzątającego Hadleya i zniknął w środku sklepu. Hadley zrozumiał, że Dariusem coś wstrząsnęło. Nie był to najlepszy czas, by namawiać przełożonego na cokolwiek, ale Stuart nie miał wyjścia. Ruszył w ślady Pethela i znalazł go w biurze na tyłach sklepu.

– Co za dzień – odezwał się Pethel, wieszając płaszcz na wieszaku. – Bardzo chciałbym ci powiedzieć, na co się tam natknęliśmy, ale nie mam prawa. Wszyscy się zgodziliśmy, że trzeba utajnić efekty wyprawy. Ale przynajmniej szczęśliwie wróciliśmy, to już coś. – Podwinął rękawy i zaczął pobieżnie przeglądać pocztę leżącą na biurku.

– Naprawdę załazłeś za skórę tym grubym rybom z RZ – powiedział Hadley. – Mógłbyś wyciągnąć stamtąd scuttler, zanim zdążyliby się obejrzeć. I co by wtedy zrobili? Muszę przyznać, że w tej sytuacji jesteś jedną z najważniejszych osób we wszechświecie.

Pethel spojrzał na Stuarta ponuro.

– Więc jak będzie, Dar? – zapytał natarczywie Hadley.

– Z czym?

– Ustaw wszystko tak, bym mógł przekroczyć granicę.

Darius popatrzył na swego pracownika jak na szaleńca.

– Idź już – rzekł otwierając pocztę.

– Mówię serio. – Hadley nie rezygnował. – Jestem zakochany, Dar. Wyjeżdżam. Możesz mnie, nas oboje wydostać stąd i przenieść na tę drugą stronę.

– Przede wszystkim – zaczął wolno Pethel – nie masz najmniejszego pojęcia o tamtym świecie.

– Wiem tyle, ile Jim Briskin powiedział w swym przemówieniu.

– Wtedy on sam jeszcze dobrze się nie orientował w sytuacji. Po drugie Mary nigdy...

– Nie chodzi mi o Mary – zaprzeczył Hadley. – Udaję się tam z kimś innym. Z jedyną osobą, która naprawdę mnie rozumie. Z którą mogę porozmawiać zamiast grać rolę kukły u jej boku. Sparky i ja jako pierwsi wyemigrujemy i zaczniemy nowe życie w dziewiczym świecie wewnątrz scuttlera. Nie próbuj mnie od tego odwieść. To niemożliwe. Napisz jakiś list polecający, abym mógł dostać się do laboratorium RZ. Wszystko zależy od ciebie, Dar. Dwa życia ludzkie...

– Na Boga – protestował Pethel. – Jak wy zamierzacie tam żyć?!

– A jak żyła Cally Vale?

– Sands przetransportował na drugą stronę podziemny schron antybombowy z potrzebnym zaopatrzeniem. Tam właśnie mieszkała.

– Czy schron wciąż tam jest? – spytał Hadley.

– Oczywiście, po co mieliby go przynosić z powrotem?

– Zatem właśnie w nim zamieszkamy, dopóki nie zbudujemy czegoś własnego.

– A jeśli skończy się jedzenie w schronie? Jeżeli w ogóle jeszcze coś zostało.

– Podzwoniłem w różne miejsca – powiedział Hadley, siadając na brzegu biurka Pethela. – W tej chwili można tanio dostać zestaw kolonialny. Producenci są bliscy bankructwa, bo jak na razie nikt nie emigruje. Będą szczęśliwi, mogąc się pozbyć choć jednego zestawu. Za każdą cenę. Niedrogo zdobędziemy więc sprzęt rolniczy, dużo ciuchów, podstawowe narzędzia...

– W porządku – mruknął Pethel. – Wiem, co zawiera zestaw kolonialny i zgadzam się, że w pełni zaspokoi wasze potrzeby. Ten problem macie z głowy.

Hadley odezwał się z dumą:

– Nawet zamówiłem na dzisiaj dostawę kompletu do siedziby RZ w Waszyngtonie. – Pomyślał niemal o każdym szczególe. – Bądźmy realistami, Dar. Mnóstwo ludzi zacznie emigrować w najbliższym czasie. Ja zamierzam dotrzeć tam pierwszy. Chcę, żeby wszystko ułożyło się dobrze mnie i Sparky. Czy napiszesz więc co trzeba, byśmy mogli dostać się do RZ

i scuttlera? Muszę mieć jakiś atut. Byłem w dziale napraw z Ericksonem, kiedy to się stało, pamiętasz? – Czeakał, ale Pethel nie odzywał się. – Do dzieła – zachęcał. – Czas działa na twoją niekorzyść, w głębi duszy zdajesz sobie z tego sprawę.

– Tak, ale oni zawsze... – mruknął Pethel, po czym wyjął kartkę papieru i długopis. – Czy naprawdę kochasz tę dziewczynę?

– Przysięgam na honor mojej matki – powiedział Hadley.

Pethel skrzywił się, potem zaczął pisać.

– Nigdy ci tego nie zapomnę – obiecał Hadley. – Bardzo żałuję, że muszę cię zostawić bez menedżera do spraw sprzedaży... Ale nie mam wyjścia. Sparky na mnie polega. George Walt, wiesz, ten właściciel satelity, zamknął Złote Wrota – wyjaśnił.

Pethel przerwał pisanie i podniósł głowę.

– Nie żartuj. – Spojrzał na Hadleya pochmurnie. – Ciekawe dlaczego mutant zwinął interes.

– Co to kogo obchodzi! – powiedział gwałtownie Hadley. – Ja się stąd wynoszę.

– Ale ja nie – odparł powoli Pethel, po czym wrócił do pisania, pełen ponurych myśli.

Kiedy Leon Turpin, szef Rozwoju Ziemi, usłyszał o ludziach pekińskich, był gotów do działania.

„Jak możemy dowiedzieć się od nich czegoś na temat nowych technik przemysłowych? Ci ludzie pierwotni nie mają niczego na czasie, jeśli chodzi o technologię. Sikiery kamienne!”, rozważał Turpin, rozczarowany. „Więc takie są ich wynalazki! Na pewno jakieś prymitywne narzędzie wypadło z tego dzieciennego szybowca. Pomyśleć, że wydaliśmy siedem milionów dolarów na satelitę. Oczywiście pozostawały jeszcze zasoby mineralne. Według raportu Dona Stanleya pekińczycy nie zajmowali się wydobywaniem. Wszystko więc, co znajdowało się pod ziemią, pozostawało nie tknięte.”

Ale to nie wystarczało. Turpin tęsknił za czymś więcej. Musiało być coś jeszcze. Powrócił myślą do Królowej Pszczół. Uświadomił sobie, że pekińczykom udało się strącić satelitę, z czym Ziemianie mieli dotąd kłopoty.

Siedzący naprzeciw Turpina, Don Stanley gwałtownie podniósł się z krzesła.

– Gdybyś zechciał zobaczyć się z tym Billem Smithem, którego przywieźliśmy...

– Jeżeli zapragnę widoku człowieka pekińskiego, to zajrzę do encyklopedii. Tam właśnie powinni tkwić, Stanley, zamiast chodzić po Ziemi, jakby była ich własnością. Ale myślę, że teraz nie da się już nic na to poradzić. – Podniósł list leżący na biurku. – Jest tu para młodych, Art i Rachael Chaffy. Zamierzają wyemigrować. Pierwsi śmiałkowie. Czemu nie. Zadzwoń, by tu przyszli. Wyślemy ich na tamtą stronę. – Posunął list w stronę Stanleya.

– Powinienem wyjaśnić im ryzyko, na jakie się narażają?

Turpin wzruszył ramionami.



– To nie nasz problem. Pozwólmy im kroczyć trudną drogą. Od kolonistów oczekuje się hartu ducha i waleczności. Takie cechy wyróżniały przynajmniej pierwszych osadników, w moich czasach. Jeszcze w XX wieku, kiedy po raz pierwszy zaczęliśmy lądować na obcych planetach. Obecne wyzwanie nie jest gorsze. A nawet w pewnym sensie wydaje mi się lepsze.

– Ma pan rację, panie Turpin.

Stanley złożył list i schował go do kieszeni. Na biurku włączył się telefon wewnętrzny.

– Panie Turpin, przyszedł urzędnik z Departamentu Dobra Publicznego, niejaki Thomas Rosenfeld, komisarz wydziału. Chce się z panem zobaczyć.

– To człowiek z rządu – mruknął do siebie Turpin. – Jest jednym z tych, którzy kreują politykę. Przyślij tu pana Rosenfelda – przekazał do mikrofonu. Następnie zwrócił się do Stanleya: – Domyślasz się, o co może chodzić?

– O uśpionych – stwierdził Stanley.

– Powiedzieć mu czy nie? Trudna decyzja – dywagował Turpin.

Wiadomość o ludziach pekińskich wkrótce wyjdzie na jaw. I tak nie udałoby się długo utrzymać jej w tajemnicy. Ale na razie nadal pozostawała sekretem. Grupa zwiadowcza dopiero niedawno wróciła, a media nie zdążyły jeszcze obwieścić rezultatów wyprawy. A więc należało przypuszczać, że Rosenfeld o niczym nie wiedział i można się było z nim układać.

Wysoki, rudowłosy, dobrze ubrany mężczyzna wszedł do biura z uśmiechem na twarzy.

– Pan Turpin? Miło mi. Prezydent Schwarz poprosił mnie, bym wpadł do pana na małą pogawędkę. Czy to oryginalny Ramon Cadiz na ścianie za panem? – Rosenfeld podszedł, by przyjrzeć się dziełu. – Białe na białym, to jego najlepszy okres.

– Podarowałbym panu ten obraz, ale otrzymałem go w prezencie – odezwał się Turpin. – Wiem, że pan zrozumie.

Starzec kłamał w żywe oczy, ale niby dlaczego z powodu zwykłej etykiety miałby oddawać takie arcydzieło.

– Jak tam pański wadliwy scuttler? – spytał Rosenfeld. – Wciąż jeszcze nie usunięto usterki? Bardzo nas to interesuje. Bacznie śledziliśmy całą sprawą jeszcze przed przemówieniem Jima Briskina... Prezydent Schwarz niezwykle szybko, nawet jak na niego, dostrzegł w tym niezwykłym odkryciu wielkie możliwości. Nie sądzę, by ktoś potrafił podejmować równie trafne decyzje jak on.

Zabrzmiało to dziwnie, zważywszy fakt, że Schwarz w żaden sposób nie mógł dowiedzieć się o przełomie przed przemówieniem Briskina. Jednak Turpin nie oponował. „Polityka jest polityką”, pomyślał.

– Jak wielu uśpionych spoczywa w rządowych magazynach, panie Rosenfeld? – spytał nagle Don Stanley.

– Cóż – zaczął sucho Rosenfeld – ogólnie mówi się o siedemdziesięciu milionach, ale tak

naprawdę jest ich raczej koło setki.

Dziwny uśmiech, przypominający raczej grymas, wykrzywił twarz komisarza. Stanley gwizdnął:

– Nieźle.

– Tak, zgadzam się – przyznał Rosenfeld. – Ta liczba spędza sen z powiek wszystkim w Waszyngtonie. Oczywiście, jak wiecie, nasza administracja odziedziczyła ten problem w spadku po poprzedniej.

– Chcecie, byśmy umieścili wasze sto milionów uśpionych na tamtej Ziemi? – wypalił wprost Turpin, zmęczony formalnościami.

– Jeśli sytuacja...

– Możemy to zrobić – powiedział krótko właściciel RZ. – Ale rozumie pan, że nasza rola będzie czysto techniczna. My dostarczymy środków, by przetransportować ich na drugą stronę, ale nie dajemy żadnej gwarancji na warunki, jakie tam zastań. Nie jesteśmy antropologami czy socjologami zdolnymi ocenić obce środowisko.

– To zrozumiałe – zgodził się Rosenfeld. – Nie zamierzamy was zmuszać, abyście się troszczyli o emigrantów. Macie jedynie przetransportować ich na drugą stronę. Reszta należy do nich samych. Rząd również nie daje żadnej gwarancji. Jeśli któremuś koloniście nie spodoba się obcy świat, może wrócić.

„A zatem Schwarza nie obchodzi, co się stanie z ludźmi po emigracji”, pomyślał gorzko Turpin. „Obecny prezydent pragnie tylko opróżnić magazyny i zlikwidować ogromne wydatki z nimi związane.”

– Jeśli chodzi o koszty... – zaczął Turpin.

– Przygotowaliśmy propozycję umowy – powiedział Rosenfeld, grzebiąc w teczce. – Policzyliśmy koszt transportu jednej osoby, a potem dokonaliśmy ogólnego szacunku. Uważamy, że proponowana kwota będzie stosowna w zamian za waszą współpracę. – Podał dokument Turpinowi i usiadł.

Starzec zbladł spojrzawszy na sumę. Don Stanley podszedł do szefa, zerknął na wyliczenie, po czym chrząknął i powiedział w napięciu:

– To solidna zapłata, panie Rosenfeld.

– Bo i problem jest nietuzinkowy – powiedział szczerze komisarz.

– Czy aż tyle jest dla was warte rozwiązanie kwestii uśpionych? – spytał Turpin, patrząc na przedstawiciela rządu.

– Koszty ponoszone przez nasze ministerstwo... – zaczął Rosenfeld. – Powiedzmy wprost: są nadmierne.

„Ale i tak nie wyjaśnia to wysokości zaprezentowanej sumy”, pomyślał Turpin. „Natomiast inny fakt to doskonale tłumaczy. Jeśli uda im się ruszyć z transportem uśpionych, pozbawią Jima

Briskina głównego atutu. Po co głosować na Briskina, jeśli uśpioni zaczną możliwie szybko emigrować?... Możliwie szybko...” Nagle Turpina uderzyła pewna myśl.

– Ile potrwa transportowanie uśpionych na drugą stronę? – zwrócił się do Dona Stanleya.

– Muszą przechodzić pojedynczo – powiedział po chwili namysłu Stanley. – Wejście nie jest zbyt wielkie. Właściwie, jeśli pan sobie przypomni, trzeba się nawet schylić, by przejść.

Turpin chwycił papier i ołówek, po czym zaczął liczyć.

„Przyjmując pięć sekund na jedną osobę, a to i tak nie było zbyt wiele czasu, przetransportowanie stu milionów uśpionych zajęłoby około dwudziestu lat” – rozważał w myślach. Spoglądając na liczby, Stanley powiedział:

– Dłuższe czy krótsze oczekiwanie nie sprawi uśpionym żadnej różnicy. Dla nich dwadzieścia lat to...

– Sądzę jednak, że pana Rosenfelda bardzo to interesuje – rzekł zjadliwie Turpin.

Rosenfeld wyglądał na nieco zdenerwowanego.

– To długo.

Turpinowi przyszło do głowy, że wysyłanie zakończy się szesnaście lat po upływie kadencji Billa Schwarza. Obecny prezydent będzie już wtedy zupełnie zapomniany. Nie miało więc sensu sprzedawać rządowi takiej usługi. Należało koniecznie skrócić czas transportu.

– Czy wejście może zostać rozszerzone? – zwrócił się Turpin do Stanleya.

Tamten zastanowił się chwilę, po czym odparł:

– Prawdopodobnie. Jeśli zwiększy się napięcie albo oscylację w polu...

– Nie chcę wiedzieć jak – przerwał Turpin. – Obchodzi mnie tylko rezultat.

Jeśli dwie osoby mogłyby przechodzić jednocześnie, czas całej akcji skróciłby się do dziesięciu lat. Czterech jednocześnie – pięć lat. To mogło zadowolić polityków z Białego Domu.

– Pięć lat nas satysfakcjonuje – powiedział Rosenfeld, rzuciwszy okiem na rachunki Turpina.

– W porządku – rzekł Stanley, ale twarz miał zafrasowaną. Turpin wiedział dlaczego. Don z pewnością się zastanawiał, czy rzeczywiście można powiększyć wejście.

– Załatwione – oznajmił Rosenfeld, podnosząc się z miejsca. – Prawnicy z mojego ministerstwa dostarczą kontrakt w ciągu kilku dni. Oczywiście uprawomocnienie umowy trochę potrwa. Taka jest litera prawa, nic nie poradzimy. Ale to da wam czas na powiększenie wejścia.

– Miło mi było poznać pana, panie Rosenfeld – powiedział Turpin, ściskając rękę gościa. – Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Pracować z panem to prawdziwa przyjemność – odwzajemnił się Rosenfeld. – Podziwiam pański gust. Dopiero drugi raz w tym roku widzę Ramona Cadiza. Do widzenia panom – zwrócił się do Turpina i Stanleya.

– Uwielbia załatwiać interesy – oświadczył Don Stanley, kiedy tylko drzwi zamknęły się za Rosenfeldem.

– A któż tego nie lubi? – powiedział Turpin. – Taka jest natura ludzka.

Zastanawiał się, co rząd uczyni, kiedy wiadomość o ludziach pekińskich pojawi się we wszystkich gazetach. Unieważni kontrakt? Porzuci całą tę sprawę? Turpin bardzo w to wątpił. „Jeśli Schwarz się wycofa, niechybnie przegra listopadowe wybory. Oczywiście prezydent wyśle parę oddziałów komandosów, aby towarzyszyły kolonistom, dla pewności, że wszystko przebiega w porządku. Tamta Ziemia może wymagać pewnego rodzaju pacyfikacji”, rozważał starzec.

Tak czy owak nie był to problem RZ. Przedsiębiorstwo i bez tego miało pełne ręce roboty. Powiększenie wejścia może się okazać niemożliwe, przynajmniej nie w tak krótkim czasie, jaki im dano.

„Ale ja cholernie chcę podpisać ten kontrakt”, mówił do siebie Leon Turpin. „I zrobię wszystko, by doszło do zawarcia umowy z rządem. Może rozwiązaniem byłoby wyprodukowanie identycznego scuttlera, z nadzieją, że będzie miał podobną usterkę? Jeszcze lepiej zrobić dwa, pięć, dziesięć podobnych. A przez każdy będą sznurem przechodzić emigranci. A co z wyposażeniem?”, przyszło nagle Turpinowi do głowy. „Rosenfeld nie wypowiedział się na ten temat. Czy rząd zamierzał pozostawić tych ludzi bez żadnego sprzętu? Bez odpowiednich narzędzi kolonia w ogóle nie zacznie funkcjonować. Osada przybyszów musi być samowystarczalna. To przecież wyda się oczywiste każdemu, kto choć przez chwilę się nad tym zastanowi. Polityków na tyle zaślepiła doniosłość odkrycia, że stracili poczucie rzeczywistości”, ocenił w myślach Turpin. „Zanosi się więc na jedną z największych wpadek w historii. Ale ja nie będę się tym martwił. To nie moja sprawa, jestem zwolniony z odpowiedzialności. Jeśli sprawy za bardzo wymkną się spod kontroli, Schwarz od razu wypadnie ze stanowiska i cały ciężar spocznie na barkach Briskina, czy jak on się tam nazywa. I to właśnie on powinien się zająć przesiedleńcami, bo od jego przemówienia wszystko się zaczęło.”

– Zbierz ludzi na dole – poinstruował Turpin Stanleya.

– Jak pan sądzi, ile mamy czasu? – spytał asystent.

– Może parę dni. Trwa kampania prezydencka. Czy to umknęło twojej uwadze? Już daliśmy wsparcie Briskinowi, kiedy ulegliśmy namowom Woodbine’a, by wpuścić do scuttlera tego kolorowego kandydata. A teraz postaramy się pomóc Billowi Schwarzowi.

„A dla niego możemy zrobić dużo więcej niż dla Briskina”, myślał.

Don Stanley ruszył ku drzwiom, by zejść na poziom pierwszy i powiadomić ekspertów o sytuacji. W progu minął się z jedną z licznych sekretarek szefa.

– Panie Turpin, para młodych ludzi, która czeka na piątym piętrze, przesyła panu ten list.

Mówią, że powinien pan go natychmiast przeczytać. To od pana Pethela – dodała sekretarka.

– Kto to jest Pethel? – Wymienione nazwisko nic mu nie mówiło.

– Właściciel scuttlera, proszę pana, tego z laboratorium, wie pan – wyjaśniła sekretarka, podając rozpieczętowaną kopertę.

W środku znajdowała się pisemna prośba o pozwolenie na emigrację dla pana i pani Hadley. Przy czym, z powodów, których Pethel nie podawał, czas grał wielką rolę.

– W porządku – zwrócił się Turpin do sekretarki. – Nie mam nic przeciwko temu. Do pewnego stopnia musimy zaspokajać potrzeby tego Pethela.

Starzec sięgnął po drugi list zawierający podobną prośbę. Ta natomiast pochodziła od Arta i Rachael Chaffy'ów. Prawda, przypomniał sobie. Don miał do nich zadzwonić, ale chyba w tym całym podnieceniu zapomniał. Cóż, nic straconego.

„Chaffy i Hadley mogą współzawodniczyć”, rozmyślał Turpin. „O to, kto zostanie pierwszą amerykańską rodziną w obcym świecie. Myślę, że trzeba zapewnić temu rozgłos. Reporterzy, dziennikarze... prezydent Schwarz przecinający niebieską wstęgę przewieszoną przez wejście do scuttlera. Może przyda się nawet butelka szampana, którą się roztrzaska o ścianę scuttlera podczas nadawania pojazdowi jakiejś pamiętnej nazwy?”

– Poproś Hadleyów do mojego biura.

W kilka minut później sekretarka przyprowadziła blondwłosego, wesoło wyglądającego młodego człowieka i niezwykle atrakcyjną rudowłosą dziewczynę.

– Spocznijcie – powiedział przyjaznym głosem Turpin.

– Pan Pethel jest moim pracodawcą – zaczął Hadley. – A raczej moim byłym pracodawcą. Musiałem odejść, by wyemigrować. – Stuart i „pani Hadley” usiedli wygodnie. – To wielki moment, zaczniemy nowe życie, prawda kochanie? – powiedział Hadley, ściskając rękę „żony”.

– Tak – przytaknęła prawie bezgłośnie.

Unikała wzroku Turpina, a ten zastanawiał się dlaczego. „Już gdzieś widziałem tę dziewczynę”, przyszło mu do głowy. „Ale gdzie?”

– Czy macie pełne wyposażenie? – spytał młodych. Hadley pospiesznie podał listę rzeczy, które zabierali ze sobą.

Spis wyglądał na wystarczający, a może nawet zbyt długi. Turpin zastanawiał się, jak ci śmiałkowie przetransportują to wszystko na drugą stronę. Nikt z przedsiębiorstwa im w tym nie pomoże, tego był pewien.

– Dzieci – odezwał się starzec. – Rozwój Ziemi jest szczęśliwy, mogąc się przyczynić do ponownego przebudzenia, mówiąc dosłownie i w przenośni, młodej pary z Ameryki...

Nagle Turpin przypomniał sobie, gdzie widział wcześniej gibką panią Hadley. Przydzielili mu ją w Złotych Wrotach. Bądź co bądź odwiedzał ten przybytek dwa razy w tygodniu. Od początku, kiedy satelita został otwarty.

„To się świetnie składa”, powiedział do siebie, starając się ukryć zadowolenie. „Pierwszą parę, która emigruje do nowego świata, stanowi klient Złotych Wrót uciekający z jedną z dziewczyn Thisbe Olt. Szkoda, że nie można tego podać do wiadomości publicznej. Wspaniała sprawa.”

– Życzę wam szczęścia – powiedział Leon Turpin, chichocząc.

W ciągu następnego tygodnia, ku ogólnej satysfakcji, pierwsza partia uszpionych przekroczyła progi scuttlera, by znaleźć się w zupełnie nowym świecie. Cały kraj oglądał te chwile w telewizji, a bezpośrednio widowisku przyglądali się: Leon Turpin, prezydent Schwarz, James Briskin i Darius Pethel oraz inne wysoko postawione osoby. Większość naocznych świadków starała się ukryć emocje, jakie odczuwała, obserwując ceremonię.

„Skończeni głupcy”, myślał Dar Pethel. Jeszcze przez chwilę przypatrywał się strumieniowi mężczyzn i kobiet przepływających się przez wejście do scuttlera, po czym odwrócił się i poszedł w głąb laboratorium RZ, by zapalić papierosa. „Nie wiedzą, co ich czeka po drugiej stronie? Nie dbają o to? Czy nikogo nie obchodzi ich los? Powinienem zamknąć scuttler. Jest moją własnością. Po wyprawie i przelocie przez Atlantyk z Billem Smithem, zdecydowałem, że nie chcę, by używano pojazdu jako transportera emigrantów. Nie teraz. Ciekawe, gdzie w tej chwili przebywa człowiek pekiński. Może w Instytucie Psychiatrycznym w Yale? Albo w innym równie dostojnym miejscu, gdzie poddają go serii testów na inteligencję. I oczywiście przeprowadzają nieustanne przesłuchania na temat kultury jego ludu” – rozważał dalej Pethel.

Część zeznań Billa Smitha przeciekła do gazet. A więc, na przykład to, że ludzie pekińscy nie znali szkła, gumy, a także elektryczności, prochu i oczywiście energii atomowej. Ale co jeszcze dziwniejsze, nie wynaleźli również ani zegarka, ani silnika parowego, czego Dar Pethel w żaden sposób nie mógł zrozumieć. W zasadzie cała ta cywilizacja stanowiła dla niego wielką niewiadomą.

Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: sinantropusi nie mieli swojego Edisona. Dlatego w kulturze tego gatunku nie istniały fonografy, żarówki, a także telefony. Nie było nawet starożytnego telegrafu. Wszystkie ich wynalazki, na przykład technika kładzenia nawierzchni dróg, rozwijały się w bardzo długim czasie. Stopniowo, z każdym pokoleniem. Poza dziwnym połączeniem turbiny z kompresorem, ludzie pekińscy nie mieli nic, czym naprawdę mogliby się pochwalić.

Narzędzie, którym został strącony satelita, pozostało tajemnicą. Według gazet, Bill Smith nic na ten temat nie potrafił powiedzieć. Nie wiedział nawet o samym istnieniu satelity. Maszyna tłumacząca nie zdołała dokładnie wyjaśnić losu Królowej Pszczół.

Jim Briskin, również przyglądający się temu widowisku, zaczął zastanawiać się nad bardziej ponurymi aspektami tej sytuacji. „Popelniliśmy błąd, nie wchodząc w bliższy kontakt z pitekanthropusami, zanim pozwoliliśmy pierwszemu emigrantowi przekroczyć progi scuttlera...” pomyślał. „Teraz oczywiście jest już za późno. Ale naturalnie prezydent Schwarz musi brnąć dalej, by odebrać mi najmocniejsze atuty. Na jego miejscu prawdopodobnie zrobiłbym to samo”, kontynuował rozważania Jim. „Tak czy inaczej sprawa nadal jest niebezpieczna.”

– Jak myślisz, kiedy zaczną wracać? – spytał stojący obok Sal Heim. – A może w ogóle nie zechcą przedostawać się z powrotem? Cally Vale się udało. A nikt jej nie towarzyszył. Niewykluczone że oni też zdołają się zaadaptować. To z pewnością bardziej przyjazne środowisko niż na Marsie.

W rzeczywistości nie było porównania. Mars zupełnie nie nadawał się do zamieszkania, wiedział o tym każdy.

– Wszystko zależy od reakcji ludzi pekińskich – odparł Briskin. „A skoro administracja Schwarza nie zaczekała, by bliżej poznać tubylców”, myślał, „emigrantom przyjdzie doświadczać wszystkiego. Choć będzie to kosztować niejedno ludzkie życie.”

– Zastanawiam się – mruknął Sal – czy wyborcy wciąż jeszcze identyfikują cię z tą sprawą, czy też Schwarzowi udało się...

– Na razie nie ma to większego znaczenia. Nie możemy przecież przewidzieć, jakie rezultaty przyniesie masowa emigracja. Sądzę, że kiedy się tego dowiemy, wtedy przestanie być istotne, komu przypisać zasługę. Wszyscy w tym siedzimy.

– W drodze tutaj słyszałem ciekawą plotkę – powiedział Sal. – Wiesz, że nikt nie widział George’a Walta, odkąd zamknął Złote Wrota! No więc krążą pogłoski, że George Walt wyemigrował – Sal zachichotał.

– Co zrobił? – spytał zszokowany Jim. – Wyemigrował? Masz na myśli tę drugą Ziemię?

– Tak, przez scuttler, który właśnie widzimy.

– Myślę, że łatwo to sprawdzić. Jeżeli George Walt przechodził tędy, inżynierowie z pewnością będą go pamiętać. Trudno pomylić mutanta z kim innym.

Jim był naprawdę zmartwiony.

– Dowiem się, co ma na ten temat do powiedzenia Leon Turpin.

– Nie bądź taki pewien, że zapamiętali George’a Walta – powiedział Sal. – Żywy z braci mógł rozmontować swojego syntetycznego bliźniaka, przez co ten został uznany za sprzęt kolonialny. Każdy z emigrantów bierze przecież coś ze sobą, niektórzy nawet po parę ton.

– Dlaczego George Walt miałby wyemigrować?

I z jakiego powodu zamknął satelitę? Nikt nie potrafił tego racjonalnie wytłumaczyć, chociaż były różne zdania na ten temat. Najpopularniejszy pogląd głosił, że George Walt przewidział wybór Jima i zrozumiał, że musi się usunąć.

– Może pekińczycy się nim zaopiekują – powiedział ironicznie Sal. – Co prawda ze względu na prezencję mogą wziąć mutanta za zły omen i odesłać z powrotem w kawałkach.

– Kto wiedziałby coś na ten temat? – zastanawiał się głośno Jim.

– Masz na myśli, co George Walt zamierza, zakładając, że jest po drugiej stronie? Może Tito Cravelli odpowie nam na to pytanie.

– Dlaczego Tito? Nie ma żadnych kontaktów wśród pekińczyków.



– On ma wszędzie dojścia – odparł Sal.

– Nie w tym wypadku – zaprzeczył Jim. – Jeśli George Walt przekroczył granicę, z pewnością udał się tam, gdzie nikt go nie wytropi. To smutna prawda, którą musimy przyjąć do wiadomości. Gdybym był pewien, że się tam znalazł – dodał w zamyśleniu – błagałbym RZ, by zamknęto scuttler. By George Walt pozostał w obcym świecie na wieczność.

– Tak bardzo się go obawiasz?

– Czasami tak, szczególnie późno w nocy, a także teraz, kiedy słucham ciebie. – Odsunął się nieco od Sala. – Sądziłem, że ta sprawa już jest zamknięta.

– Myślałeś, że ostatecznie rozwiążesz problem, nie zabijając George’a Walta? – zaśmiał się Sal.

„Chyba jednak nie jestem zbyt błyskotliwy”, powiedział do siebie ponuro Jim. „Powinniśmy całkowicie rozprawić się z mutantem, kiedy już prawie go mieliśmy. Zamiast tego musieliśmy wracać na Ziemię po filiżankę ciepłej kawy, co wydawało się wtedy najlepszym rozwiązaniem. Z perspektywy czasu natomiast nie było to zbyt rozsądne.”

– A niech mnie, Jim. Może przez swoją dobroduszość zdobędziesz u nich respekt – powiedział ironicznie Sal.

Najwyraźniej jednak nie myślał tego na serio.

– Zawsze masz dobrą radę ponieważ – odparł gorzko Briskin. – Gdzie byłeś, kiedy jej naprawdę potrzebowałem.

– Nikt się nie spodziewał, że bliźniacy zrobią tak radykalny ruch, jak zamknięcie Złotych Wrót – przyznał cicho Sal. – To, co się stało tamtego dnia na satelicie, musiało naprawdę nimi wstrząsnąć.

W tym momencie podszedł do Jima stary Leon Turpin, wykrzywiając twarz w radosnym uśmiechu.

– Cóż, panie Briskin, czy jak tam pana zwą. To pierwsza partia uśpionych. Historyczny moment, nieprawdaż? Sprawia, że człowiek znów czuje się młody. Niech pan coś powie albo niech się pan chociaż uśmiechnie. Czy on zawsze jest taki śmiertelnie poważny? – zwrócił się do Sala.

– Jim żyje wewnętrznym życiem – wyjaśnił Sal. – Musi się pan do tego przyzwyczaić.

– Czekać tylko, kiedy powiększy się wejście – wysapał Turpin. – Moi chłopcy pracują nad tym od tygodnia. Dzisiaj w nocy zamierzają podłączyć nowe źródło mocy. Wszystko zostało już zaplanowane i sprawdzone dziesiątki razy. Do jutra rana wejście powinno się powiększyć dwu – lub trzykrotnie. Wtedy naprawdę będziemy przerzucać emigrantów błyskawicznie. – Turpin wykonał szybki ruch ręką.

– Czy przygotowaliście wszystko, by przyjąć uśpionych z powrotem, na wypadek gdyby coś źle poszło po tamtej stronie? – spytał Jim.

– Cóż – zaczął Turpin – scuttler będzie wyłączony przez większość nocy, kiedy chłopcy będą nad nim pracować. Oczywiście nikt wtedy nie przedostanie się przez wejście. Ale nie spodziewamy się kłopotów, przynajmniej na razie.

Sal i Jim wymienili spojrzenia.

– Prezydent Schwarz zaakceptował nasz plan – dodał Turpin. – Bądź co bądź zawarliśmy kontrakt z Departamentem Dobra Publicznego. Działamy zgodnie z prawem. Nie mamy obowiązku trzymania scuttlera otwartego non stop.

„Niech Bóg chroni tych kolonistów, jeżeli cokolwiek pójdzie źle tej nocy”, powiedział do siebie Jim.

– Wiedzą o pekińczykach – mówił Turpin. – Gazety wciąż trąbią o mieszkańcach obcego świata. Kiedy tylko uśpieni zostali zbudzeni, wszystko im szczegółowo wytłumaczono. Nikt nie zmuszał ich do emigracji.

– Mieli do wyboru iść na drugą stronę albo znów do magazynów – stwierdził Jim; mówił mu o tym Tito.

– Z tego, co wiem, ci ludzie są tam z własnej woli. Wszelkie ryzyko, jakie ponoszą...

„Ty skurczybyku”, zaklął w duchu Briskin. Zanościło się na naprawdę długą noc.

O jedenastej wieczorem Tito Cravelli otrzymał wiadomość, która nie przypominała żadnej poprzedniej. Szczerze mówiąc, nie wiedział już, czy śmiać się, czy płakać, do tego stopnia była osobliwa.

Przygotowawszy sobie whisky w kuchni, zaczął się zastanawiać. Informacja doszła do niego okrężną drogą. Zaczęło się od grupy badaczy RZ, pracującej po drugiej stronie. Potem wieść przywędrowała do Bohegiana, który oczywiście przekazał ją Cravellemu. Czy możliwe, by to był żart? Tito poczułby się o wiele lepiej, gdyby mógł w ten sposób potraktować zaistniałą sytuację. Jednak lekceważenie sprawy nie wchodziło w grę.

Cravelli powrócił do salonu, by zadzwonić do Jima Briskina.

– Posłuchaj tego – powiedział; nawet nie zaprzętał sobie głowy, by przeprosić Jima, że obudził go o tak późnej porze, to nie miało teraz znaczenia. – Może przyda ci się na coś ta wiadomość. George Walt jest z ludźmi pekińskimi w ich północnoeuropejskim centrum. Ekipy polowe RZ sądzą, że złapały kontakt z pekińczykami z Ameryki Północnej oraz tymi, którzy przetransportowali mutantą przez Atlantyck.

– Tak szybko? – zdziwił się Jim. – Myślałem, że nie mają nic lepszego niż te powolne łodzie.

– W tym sęk. Pekińczycy umieścili George’a Walta w swojej stolicy i oddają mu boską cześć.

Nastąpiła chwila milczenia. W końcu odezwał się Jim.

– Jak... ekipy polowe RZ się tego dowiedziały?

– Pertraktując z północnoamerykańskimi pekińczykami. Wiesz, obie strony utrzymują stały kontakt. Maszyny tłumaczące paplają dzień i noc. Pekińczycy są... olśnieni. Czy my sami nie przestraszyliśmy się trochę George'a Walta? To nie takie dziwne, kiedy się nad tym zastanowić. George Walt, udając się tam, na pewno przewidział taką reakcję. Prawdopodobnie dobrze się na nią przygotował. Jeszcze jedno proroctwo Sala poszło do ziemi.

– Cravelli, to nas przerasta. I Schwarza także. Jeśli ktoś zasugerowałby zamknięcie...

– Chcesz zostawić tych ludzi po drugiej stronie?

– Można ich zabrać z powrotem jutro rano i wtedy zamknąć scuttler.

– Zbyt wiele już było szumu wokół tej sprawy – zauważył Tito. – Nie możesz przerwać tak masowego ruchu. We wszystkich magazynach DDP budzą kolejnych uśpionych. Organizują sprzęt i transport do Waszyngtonu...

– Zadzwoń do Schwarza – zdecydował Jim.

– Nie posłucha cię. Będzie myślał, że próbujesz mu odebrać palmę pierwszeństwa, którą uzyskał przez swoje natychmiastowe działanie. Teraz inicjatywa należy do twojego przeciwnika, Jim. Cała jego polityczna egzystencja zależy od przepychania uśpionych na drugą stronę tak szybko, jak to możliwe. Zaserwuj sobie potężnego drinka, to właśnie ja zrobiłem. A potem wracaj do łóżka. Porozmawiamy jutro rano. Może za dnia uda nam się coś wymyślić. – W głębi duszy miał jednak co do tego wątpliwości.

– W takim razie porozmawiam z Leonem Turpinem – oświadczył Briskin.

– Aha! Turpin i Schwarz podpisali kontrakt. Ty nie możesz zaoferować RZ takiej sumy pieniędzy. Słyszałem, że opiewa ona na miliardy dolarów. Do RZ należy jedynie nieustanne pompowanie mocy w scuttler i trzymanie go na chodzie. I jak rozumiem, zwiększenie wejścia – dodał. – Ale to nie powinno okazać się trudne. Pracują nad tym od tygodnia. Prawdopodobnie już tego dokonali. Wracam teraz do mojego drinka. Gdy go wypiję, przygotuję sobie następny i znowu następny...

– Jest jeden człowiek, który może to wszystko zatrzymać. Właściciel scuttlera. Spotkałem tego mężczyznę podczas podróży nad Atlantykiem. To Darius Pethel z Kansas City.

– Tak, on uważa scuttler za część swojego inwentarza. Ale do diabła, Jim! Czy naprawdę jesteś pewien, że chcesz zamknąć scuttler i powstrzymać emigrację? Takie posunięcie oznaczałoby twój polityczny koniec. Sal z pewnością już ci to uświadomił.

– Owszem – rzekł sztywno Jim.

– Nie rób nic dzisiaj w nocy.

– Jesteśmy w potrzasku – powiedział Jim. – Zaczęliśmy coś, co przerasta nas wszystkich. Możemy być świadkami końca rasy ludzkiej.

– *Errare humanum est* – podsumował Cravelli, raczej żartując. Ale czy rzeczywiście

zartował? – Nie bierz tego na serio – dodał. – Nienawidzę podobnie głupiego gadania. Takiego, jakim zresztą uraczyłeś nas w swoim wystąpieniu nominacyjnym. Było szyte tymi samymi niemi. Sal powinien dać ci porządnego kuksańca.

– Wierzę w to, co robię – zakończył Jim.

O czwartej nad ranem zwiększono dopływ mocy do scuttlera. Nadzorujący pracę Don Stanley dał sygnał, by ponownie włączyć maszynę; od sześciu i pół godziny nie działała. Z palcami skrzyżowanymi na szczęście, Stanley w napięciu palił papierosa. Po chwili obręcz wejściowa stopniowo zaczęła się rozświetlać nienaturalnym bladożółtym blaskiem, co najmniej czterekrotnie jaśniejszym niż poprzednio. Stojący obok Bascolm Howard, który przyszedł się przyjrzeć uruchamianiu scuttlera, rzekł:

– Zadziało bez pudła.

– Ależ on świeci – mruknął Stanley.

„Boże, a jeśli doładowaliśmy za dużo mocy?”, myślał. „Jeśli rozgrzeje się zbyt mocno i nastąpi jakieś zwarcie?” Ale inżynierowie, którzy się tym zajmowali, zapewnili go, że energia dostarczana do scuttlera pozostaje na bezpiecznym poziomie. Musiał im zaufać.

– Zmęczony? – spytał Howard.

– Jak diabli! – powiedział z irytacją Stanley. – Powinienem być teraz w łóżku.

„Wszyscy powinniśmy”, rzekł do siebie. „Będę szczęśliwy, kiedy testy dobiegną końca i scuttler zacznie transportować kolejne partie emigrantów.”

Stary inżynier przeszedł przez obręcz i zniknął po drugiej stronie. Stanley rzucił na podłogę niedopałek papierosa i rozgniół go obcasem. „Teraz poznamy prawdę”, pomyślał. „Dowiemy się, czy przegraliśmy, czy też odnieśliśmy sukces.” Po kilku minutach inżynier wrócił wołając:

– Panie Stanley, czy mógłby pan tu podejść na chwilę?

Stanley ruszył na drżących nogach w kierunku tuby scuttlera.

– Co słyhać tam w środku?

– Wejście jest już naprawdę okazałe. Trzy i pół, może cztery razy większe niż poprzednio.

Czując odprężenie na całym ciele, Stanley rzekł:

– W porządku, teraz możemy wracać do domu.

– Chcę, żeby pan tu zajrzał – powiedział inżynier.

– Dlaczego? – Nie widział żadnego powodu, żeby to zrobić.

– Niech pan po prostu przyjdzie i rzuci okiem, dobrze? – denerwował się inżynier. – Na Boga, czy ruszy się pan wreszcie?

Stanley zajrzał do wnętrza tuby. Nie ujrzał tam jednak porośniętej trawą łąki i błękitnego nieba ani białych kwiatów z leniwie krążącymi nad nimi pszczołami. Nie było też śladu obecności ludzkiej. Znikły gdzieś tony sprzętu, który przeniesiono na drugą stronę. Żadnych

namiotów, cystern czy sprzętów kuchennych. Z początku Stanley nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Ujrzał bowiem wielką połąć moczarów, szarych, otoczonych mgłą. Gdzieś z oddali dobiegało ponure krakanie ptaków. W pożółkłej, zawiesistej wodzie falowały trzciny. Jakiś wielki wąż poruszył się nagle, torując sobie drogę przez rumowisko. A gdzieś na prawo drobne stworzenie z gołym ogonem schroniło się prędko w cieniu wełnistych korzeni.

W powietrzu unosił się zapach zgnilizny, panowała śmiertelna cisza. Cofając się do laboratorium, Stanley powiedział chrapliwie:

– To nie jest to samo miejsce.

Inżynier bez słowa skinął głową.

– Ohydne moczary – ciągnął Stanley. – Mój Boże, istna katastrofa! Czy widzisz w tym jakiś sens? Lepiej natychmiast przywróćmy poprzedni pułap mocy. Najwyraźniej zwiększając ją, nie otrzymujesz tych samych rezultatów, tylko takie, jak widać.

Jeszcze raz zajrzał przez obręcz. Jego odwaga kończyła się na patrzeniu. Za żadne skarby nie wszedłby do środka.

– Chyba rozumiem – mruknął do siebie. – Nie ma jednej ziemi równoległej czy też wszechświata równoległego. Jest ich więcej i nie pojmuję, dlaczego wcześniej nie wzięliśmy tego pod uwagę.

– Właśnie – przytaknął inżynier, również zaglądając do środka.

– Myślisz, że możemy przywrócić poprzedni poziom mocy i znów połączyć się z miejscem, gdzie pozostawiliśmy tych ludzi?

– Spróbujemy.

– Musimy to zrobić – zdecydował Stanley. – Wiesz, kto zebrałby cięgi. Natychmiast zabieramy się do roboty. Będziemy pracować do rana.

„Boże, co ja powiem staremu Turpinowi?“, myślał w duchu. „Jeśli uda się wszystko odkręcić, będzie można o tym zapomnieć, tak jakby nic się nigdy nie stało.“

– Nieważne na kogo spadnie wina – rzekł stary inżynier. – Myślę o tych ludziach, szczególnie kobietach, pozostawionych w tamtym świecie.

– Nic im nie będzie! Mają zapasy. Udali się tam, by zakładać kolonie, więc niech tym się zajmą. Sami chcieli przejść na drugą stronę. Wiedzieli, że ryzykują. Zrobili to na własną odpowiedzialność. – Odwrócił głowę od wejścia i powiedział drżącym głosem: – Co za piekielny krajobraz, nie widzę tu szans na kolonizację. Czy chciałbyś zamieszkać na moczarach, Hal?

– Nie, panie Stanley – odparł inżynier. Podniósł się na nogi i skinął na ekipę stojącą u wejścia scuttlera: – Zamknąć to!

Dopływ mocy został odłączony. Stanley wyszedł ze scuttlera i stanął obok Howarda.

– Teraz musimy zdemontować wszystko na części i złożyć z powrotem, tak jak było na samym początku – oznajmił gorzkim tonem. – Co za pech. Jednak przetransportowanie

wszystkich uspionych zajmie dwadzieścia lat. Prezydent Schwarz tego nie kupi. Koniec z kontraktem.

„Pomyśleć, że pracowaliśmy nad tym sześć i pół godziny”, powiedział do siebie.

Nagle coś pojawiło się u wylotu tuby scuttlera. Natychmiast jednak znikło, tak że Stanley ledwie zdołał to dostrzec.

– Kto ma pistolet laserowy? – spytał.

– Dajcie pistolet! – zawołał Howard, który najwidoczniej również zauważył intruza. – Musiał iść za tobą. Przeszedł na drugą stronę, zanim wyłączyliśmy moc.

– To jakiś owad – ocenił Stanley. – Nędzna istota z moczarów. Nic innego – dodał. – Na Boga, niech ktoś ją zastrzeli. Gdzie się ona podziała? Nie wróciła przecież na drugą stronę!

– Panie Stanley, wejście wcale się nie zamknęło – wysapał inżynier z wnętrza tuby.

– To absolutnie niemożliwe – powiedział Stanley. – Wyłączyliśmy dopływ mocy.

Wbiegł do scuttlera. Inżynier tkwił przykucnięty przy wejściu. Stanley jeszcze raz wyrzwał przez obręcz i zobaczył obszar zalany moczarami. Stary inżynier miał rację.

– Tylko jedno wytłumaczenie przychodzi mi do głowy – zwrócił się Howard do Stanleya. – Połączenie musi być podtrzymywane przez źródło mocy z tamtej strony, bo my nie dostarczamy żadnej energii, to pewne.

– Widziałeś, jak przed chwilą coś żywego prześliznęło się przez wejście? – spytał Stanley.

– Tylko przez moment, ale myślałem że wróciło.

– Nie – odparł krótko Stanley. – Wciąż jest w laboratorium czy gdzieś w budynku RZ, po naszej stronie. Za nim pójdą inne, bo my nie potrafimy zamknąć tego cholernego wejścia. Może uda się je zablokować, założyć jakąś barierę? Nieważne, z czego, ważne, żeby była solidna.

– Zaraz się tym zajmiemy – powiedział posłusznie inżynier, podnosząc się na nogi.

„Jakie źródło energii może istnieć po drugiej stronie? Wśród tych mrocznych, opuszczonych moczarów...” zastanawiał się Stanley. „Wygląda, jakby ktoś czekał, aby je uruchomić, ale skąd mógł wiedzieć, że nadejdziemy?”

Kiedy opuścił tubę, Howard rzekł:

– Intruz jest wciąż w pokoju. Czuję to, ale niech mnie diabli, jeśli widzę. Jakby stopiło się z otoczeniem. Wiesz, co mam na myśli.

Stanley próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak bardzo się bał. Czy kiedykolwiek w swoim życiu zareagował w ten sposób?

Jeden jedyny raz, wiele lat temu. Poczł wtedy taki sam strach jak teraz, widząc ciemny kształt przenikający do jego świata. Stanley miał wtedy osiemnaście lat. To było podczas pierwszej wizyty w Złoty Wrotach, kiedy zobaczył George'a Walta.

Ponieważ nie dało się zamknąć wejścia, Don Stanley zdecydował, że powinni poddać ten przynębiający świat jakiegoś rodzaju badaniom. Biorąc na siebie całą odpowiedzialność,

nakazał dostarczenie do laboratorium satelity obserwacyjnego KP wraz z ekwipunkiem instalacyjnym. Zanim inżynierowie zbudowali barierę, zdążył już przetransportować satelitę. Patrzył, jak wznosi się w ponure, złowieszcze niebo.

Raporty z satelity zaczęły przychodzić prawie natychmiast. Stanley usiadł więc z Howardem i zaczęli je przeglądać. Była piąta trzydzieści nad ranem. Zbyt wcześnie, by obudzić Turpina. „Co najmniej jeszcze przez dwie godziny musimy się z tym borykać sami”, pomyślał Stanley.

Nie zdziwiło go wcale, że planeta, którą obserwowali, okazała się Ziemią. Ale wykresy nieba z ciemnej strony planety zawierały zupełnie nieoczekiwane dane. Razem z Howardem przez dłuższy czas sprawdzali wszystko i porównywali, by się upewnić, że nie zaszła żadna pomyłka. Do wpół do siódmej Stanley rozeznał się już w sytuacji. Teraz był już pewien, że musi zadzwonić na Long Island, by obudzić Leona Turpina.

Tym razem satelita KP krążył po orbicie Ziemi sto lat w przyszłości.

– Czy wiesz, co to oznacza? – zwrócił się do Howarda. – To wciąż może być ta sama Ziemia równoległa, na którą wysłaliśmy naszych kolonistów. Tyle że widzimy ją w sto lat później.

Howard wstrząsnął się nagle. W takim razie, jaki skutek odniosły ich wysiłki kolonizacyjne? Nie pozostawili po sobie żadnych śladów. Bądź co bądź satelita rejestruje skupiska światła dokładnie w tych samym miejscach, co poprzednio.

– Oby Turpin dotarł tu jak najszybciej – westchnął Stanley.

Odpowiedzialność zaciążyła mu za bardzo i chciał się jej pozbyć. Najwyraźniej próba kolonizacji nie przyniosła rezultatów. Stanley jednak bał się stawić czoło faktom. „To nie może być ta sama Ziemia”, powtarzał sobie bezustannie. „To musi być jakaś inna.”

Coś potwornego musiało się wydarzyć między kolonistami i pekińczykami.

O siódmej piętnaście pojawił się Leon Turpin, dokładnie ogolony, czysty, schludnie ubrany i całkowicie opanowany.

– Czy wysłałeś już na tamtą stronę ekipy poszukiwawcze? – zwrócił się Turpin do Stanleya. Obaj stali przed ciągle budowaną betonową barierą i patrzyli na moczary po drugiej stronie.

– Po co? – spytał Stanley.

Twarz Turpina skurczyła się.

– By odszukali pozostałości naszego obozowiska. Przecież to jest to samo miejsce. Nie było żadnych zmian w przestrzeni. Tu właśnie wiek temu założyli bazę nasi koloniści. Muszą się znaleźć wszelkie rodzaje odpadów, jeśli tylko pogrzebiemy dostatecznie głęboko. Każ poszukiwaczom natychmiast zacząć.

Zaledwie dwie godziny zajęło dokopanie się do aluminiowej menażki i przezartego korozją, pokrytego szlamem lasera armii amerykańskiej. Potem zaś... Szkielety. Pierwszy został zidentyfikowany jako szkielet mężczyzny. Drugi, mniejszy, prawdopodobnie należał do kobiety.

Turpin dał znak ekipom do wstrzymania prac.

– Nie ma żadnej wątpliwości, że tutaj znajdowało się nasze obozowisko – powiedział. – W końcu dowiedliśmy tego, ku mojej satysfakcji.

Inni pokiwali głowami, nie odzywali się jednak. Nie patrzyli też wprost na siebie.

– Można to rozpatrywać w kategoriach wielkiego przełomu – ciągnął Turpin. – Nie powinniśmy jednak wysyłać więcej żadnych kolonistów. Wiemy, co może im się przydarzyć po drugiej stronie. Czeka ich śmierć... Nie mogą nawet liczyć na...

– Oni zostali wymordowani właśnie dlatego, że nie przetransportowaliśmy więcej ludzi – przerwał szefowi Stanley. – Pierwsza grupa była zbyt mała, by odeprzeć pekińczyków. Bo niewątpliwie to oni są odpowiedzialni za tę masakrę. Co innego mogło się tam wydarzyć?

– Choroba – odezwał się Howard po chwili milczenia. – Nie zaprzataliśmy sobie głowy zbadaniem obecności wirusów i pierwotniaków, co niewątpliwie powinniśmy zrobić. Ale nam się cholernie spieszyło na drugą stronę.

– Jeśli nie przerwiemy strumienia emigracji – nie ustępował Stanley – pekińczycy nie zdołają pokonać przybyszów. Mój Boże, pomyśleć, że ci koloniści zostali od nas nagle odcięci, pozostawieni tam bez możliwości odwrotu. Porzuceni przez nas... – przerwał na chwilę. – Popełniliśmy błąd zabierając się za majsterkowanie przy zasilaniu.

– Zastanawiam się, co znajdziemy – odezwał się Howard jeśli przywrócimy dawny poziom energii. – Skinął głową ku grupie inżynierów, by odłączyli nadmiar mocy. – Za kilka godzin powróci do zwykłego poziomu. Założmy, że ponownie osiągniemy pierwotne rozmiary wejścia i dawne warunki. Znowu będziemy mieli kontakt z naszym obozowiskiem i jeśli trzeba, możemy zabrać stamtąd ludzi z powrotem na naszą stronę. Wszystkich, co do jednego.

– Ale pozostaje pewien problem – zaczął prawie bezgłośnie Stanley. – Nie znikło przecież wejście do tych bagnisk. A więc albo jest ono samowystarczalne, albo podtrzymywane przez jakieś źródło energii z tamtej strony... Tak czy owak zdaje się, że tkwi tam na stałe. Teraz nic już nie będzie takie samo jak kiedyś. Nie możemy przywrócić dawnej sytuacji. Nigdy nie zobaczymy tych kolonistów. Trzeba przyzwycząić się do tej myśli. Przywróćmy niższy poziom mocy, ale nie oczekujmy zbyt wiele. Pracowałem tu przez całą noc – zwrócił się do Turpina. – Czy mogę iść do domu na kilka godzin? Oczywiście same mi się zamykają.

– Nie chcesz być tutaj, kiedy... – zaczął Turpin.

– Nie rozumiesz – rzekł Stanley. – Kiedy obudzę się za sześć, dziesięć albo szesnaście godzin, sytuacja nie ulegnie zmianie. Będziemy patrzeć na drugą stronę, a tamten świat będzie się gapił na nas. Powiem ci, co należałoby zrobić. Ktoś... powinien przejść przez obręcz. I nie mam na myśli jeszcze jednego atawistycznego, prostackiego robota poszukiwawczego, ale chodzi mi o jakiegoś błyskotliwego człowieka, który zlokalizuje tamtejsze źródło mocy i roztrzaska je na atomy albo przynajmniej zdemontuje. A potem – dodał Stanley – i to wydaje się niemal niemożliwe, ktoś musi ustalić, skąd druga strona wiedziała, że nadejdziemy.



Po chwili milczenia Leon Turpin rzekł:

– Howard mówi, że chwilę po dołączeniu zwiększonej mocy jakaś żywa istota przeszła ze scuttlera do laboratorium. Czy to prawda?

Don Stanley westchnął ciężko:

– Tak mi się wtedy zdawało. Teraz myślę, że coś mi odbiło. Byłem po prostu przerażony tym, co ujrzałem po drugiej stronie, kiedy uświadomiłem sobie, że straciliśmy kolonistów na wieki. – Stanley nerwowym krokiem podszedł do drzwi wyjściowych. – Zobaczmy się za kilka godzin, gdy trochę się prześpię.

– Ale ja też to widziałem – powiedział Howard.

„Nic mnie nie obchodzi, co przeszło. Wcale mnie nie interesuje, co zobaczyłeś. Dałem z siebie wszystko. Nie mam więcej do dodania”, mówił do siebie Stanley. „Ale ty lepiej weź się do roboty, Turbin”, myślał. „Zostało wiele pracy. Wszystko, co zrobiłem: odłączenie zwiększonej mocy, wzniesienie bariery, umieszczenie satelity po tamtej stronie i wysłanie robotów poszukiwawczych – to jeszcze nic, to tylko pozwoliło się zorientować, co nas dopiero czeka. Chciałbym zasnąć na wieki”, myślał. „Nigdy się już nie obudzić i nie musieć przyglądać się temu koszmarowi.” Ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Wszyscy będą musieli się obudzić i spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Prezydent Schwarz, ślepo dążący do wysadzenia z siodła Jima Briskina... Briskin także, bo od niego wyszedł pomysł kolonizacji. Na nim właśnie spoczywała główna odpowiedzialność.

Wyjechawszy na powierzchnię, Stanley przeszedł przez szerokie wejście frontowe budynku RZ i podążył chodnikiem przez ruchliwe centrum Waszyngtonu, pełne ludzi, taksówek i transporterów. Znajomy ruch sprawił, że Don poczuł się lepiej. Przynajmniej ten świat nie został unicestwiony. Pozostał stały i niezmienny, jak zawsze.

Rozejrzał się za taksówką, która zawiozłaby go do domu. Daleko, za rogiem budynku administracyjnego RZ pospiesznie zniknęła jakaś postać. „Kto to był?”, zapytywał siebie Don Stanley.

Zatrzymał się i głośno przywołał taksówkę.

„Wiem, że go znam i nie lubię. To ktoś, kto przypomina mi o rzeczach zbyt okropnych, by je pamiętać. O ciemnej stronie mojego życia, którą celowo wymazałem z pamięci”, pomyślał. „Bagno. Ten człowiek przywodzi mi na myśl bagno i jakieś pokręcone rośliny, zdegenerowane organizmy, czołgające się w bladym słońcu. Gdzie widziałem coś podobnego? Czyżby zaledwie parę minut temu, w laboratorium RZ?” Był skołowany. Stojąc na środku chodnika pośród tłumu przechodniów, z wysiłkiem pocierał ręką czoło, próbując coś sobie przypomnieć.

„Oczywiście, skradająca się postać to George Walt. Ale czyż on, a raczej oni nie zamknęli satelity, by potem zniknąć?” Słyszał to w telewizji i czytał w gazetach. Był o tym przekonany.

„W takim razie George Walt powrócił”, doszedł do wniosku Stanley.

Nieco oszołomiony, ponownie zaczął rozglądać się za taksówką.

Siedząc przy stole w kuchni swego apartamentu, Jim Briskin jadł śniadanie, czytając przy tym poranną gazetę. Nagle przypomniał sobie coś, co mu umknęło w natłoku wydarzeń. Pierwsza para, która przeszła na drugą stronę, to Art i Rachael Chaffy'owie – kolorowi. Dopiero druga para, państwo Hadley, była biała. Ten szczegół przywrócił Briskinowi dobry humor i pozwolił mu się odprężyć. „Sal też by się cieszył”, pomyślał Jim. „Koniecznie muszę mu o tym wspomnieć, kiedy się spotkamy.”

Prezydent Schwarz przeoczył ten drobny fakt, a mógł wygłosić superspecjalne przemówienie do tych dwóch par, wręczając im barwne plastikowe klucze do drugiego świata i uświadamiając czwórce emigrantów, że są oni symbolem nowej ery w stosunkach rasowych... Zaaranżowane by to było oczywiście przez Demokratyczną Partię Obrony Praw Ludzkich. Któryś z doradców Schwarza zasnął i powinien zostać zwolniony.

Briskin włączył telewizor, by dowiedzieć się czegoś więcej. Czy inżynierowie RZ zwiększyli poziom mocy, a jeśli tak, to czy wejście uległo powiększeniu, zgodnie z oczekiwaniami? Teraz o wiele więcej emigrantów powinno dołączyć do Chaffy'ów i Hadleyów. Briskin zastanawiał się, czy pekińczycy już się zorientowali... Czy nadszedł ten historyczny moment?

Na ekranie ustalił się dziwny obraz. Miał znajomą ziarnistą fakturę, ale był zniekształcony, podobnie zresztą jak dźwięk. Co się działo z satelitą przesyłającym sygnał? I co to za dziwny program? Briskin schylił się nad odbiornikiem, by rozszyfrować niewyraźne dźwięki.

W tej chwili obraz stał się klarowny. Na ekranie widniała głowa George'a Walta. Usta mutanta otwarły się i zaczęły mówić:

– Jestem teraz królem. Mam tu do dyspozycji całą armię tych, których nazywacie półludźmi. To oni w rzeczywistości są prawowitymi mieszkańcami tego świata, Ziemi równoległej do naszej. Zdziwilibyście się, jakiego typu odkryć naukowych dokonała w ciągu wieków rasa pekińska. Potrafią na przykład zakrzywiać czas i przestrzeń stosownie do swych potrzeb. Odkryli źródła energii nie znane wam, *homo sapiens*. Właśnie mam w Złotych Wrotach najmądrzejszego i najwspanialszego filozofa spośród tubylców. Chwileczkę.

Głowa George'a Walta znikła z ekranu. Co za wielmożny pan, myślał Jim Briskin. Siedział wpatrzony w telewizor, nie mogąc oczu oderwać. „George Walt wrócił jako szaleniec”, ocenił sytuację Jim. „Tego nam tylko trzeba. Obląkanego George'a Walta krążącego wokół nas na swym satelicie. Teraz naprawdę mamy kłopoty.”

Zadzwoił wideofon i Briskin podszedł, by go odebrać.

– Zadzwoń później – mruknął. – Jestem zajęty...

– Nie odwieszaj słuchawki – mówił podniecony Tito Cravelli. – Widzę, że masz włączony

telewizor. On... oni nadają cały ranek. Gdzieś tak od ósmej wschodniego czasu. Zamierzają sprowadzić pekińskiego dzikusa do nas z powrotem. To kasetka wideo, którą puszczają bez przerwy. Przyjrzyj się temu „filozofowi”, nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałeś. Potem oddzwoni.

Kiedy Tito odłożył słuchawkę, Jim Briskin powrócił przed odbiornik telewizyjny.

– Mogę przechodzić przez drewno... – chwalił się ktoś, ale nie był to już głos George’a Walta. Te słowa wypowiadał człowiek pekiński, sinantropus, nadający z satelity Złote Wrota.

„A więc, George’u Walcie... wszedłeś do polityki, i to w wielkim stylu”, mówił Briskin do siebie. „A my dotąd narzekaliśmy...”

– Nie tylko potrafię przechodzić przez drewno – mówił stary białowłosy sinantropus o masywnym łuku brwiowym i wydatnej brodzie; jego angielski był nieco bełkotliwy. – Mogę też stać się niewidzialny. Bóg Powietrza napętnia mnie mocą, gdziekolwiek się znajduję. Wypełnia żagle życia swym magicznym oddechem, zdolnym uczynić wszystko. Biedni, słabowici *homo sapiens*! Jak mogliście oczekiwać, że uda wam się najechać nasz świat pod obecność Boga Wiatru!

„Bogiem Wiatru nazywa zapewne George’a Walta”, z pewnym opóźnieniem domyślił się Briskin. „Nigdy nie myślałem o mutancie w ten sposób. Zobaczmy, jak prezydent Schwarz poradzi sobie z Bogiem Wiatru krążącym nad naszymi głowami na swym satelicie i milionami ludzi pierwotnych wysiłającymi się, by nas dosięgnąć”, rozważał dalej Jim. „Darius Pethel może dostać swój scuttler z powrotem. Już najwyższa pora, by się pozbyć tej piekielnej maszyny. Ale w jaki sposób ten niby filozof przedostał się do naszego świata? Czy nikt z RZ nie zauważył, jak przekracza granicę?”, pytał się w duchu.

„Musieli stworzyć własne połączenie”, zdecydował. „Albo stary sinantropus mówi prawdę: po prostu potrafi stać się niewidzialny. To okropne, obudzić się i usłyszeć podobne wieści. Ktoś w tej chwili naprawdę stracił szansę na wygranie wyborów”, myślał. „Bill Schwarz lub ja sam. To zależy, kogo przerażony elektorat zdecyduje się obwinie za zaistniałą sytuację.”

Briskin powrócił do kuchni i jeszcze raz zabrał się do zimnego już śniadania. Jedząc mechanicznie, zastanawiał się nad szansą zestrzelenia Złotych Wrót. Taki niewątpliwie będzie następny krok prezydenta Schwarza. Dokładną pozycję satelity można ustalić w każdym momencie; podawano ją – przynajmniej do niedawna – na stronie rozrywkowej we wszystkich gazetach.

„W tej chwili boję się, że wyjrzę przez okno mojego skromnego mieszkania i ujrzę ludzi pekińskich przechadzających się po chodniku. Nie jednego, ale wielu”, myślał Jim.

Zdecydował więc, że nie wyjrzy przez okno, tylko dokończy śniadanie, które i tak już nie miało dla niego żadnego smaku. Mimo to, trywialna czynność konsumowania pomogła Briskinowi odzyskać równowagę.

Odwróciwszy się od odbiornika telewizyjnego, Sal Heim wybuchnął:

– Zadzwoń do kogoś – ponaglał żonę. – Skontaktuj się z Jimem Briskinem. Zaczekaj chwilę, lepiej połącz mnie z Billem Schwarzem, będę z nim rozmawiał osobiście. To stan najwyższego pogotowia. Precz z poglądami politycznymi. Można sobie nimi nos wytrzeć. Powiedz mi, jak tylko się odezwie Bill Schwarz – dodał i powrócił do oglądania telewizji.

– Nie tylko potrafię przechodzić przez drewno i stąpać po powierzchni wody – mówił stary pekińczyk. – Mogę również unicestwiać czas.

„Dobry Boże”, myślał Sal. „Zdobyli umiejętności, o jakich my nawet nie marzyliśmy. Są wieki przed nami. Któż w naszym świecie potrafi unicestwiać czas? Nikt!”, zaśmiał się gorzko.

– Nie mogę uzyskać połączenia z prezydentem Schwarzem – oznajmiła Pat, rozgorączkowana. – Linia jest przeładowana. Pewnie każdy...

– Oczywiście, że tak – przerwał żonie Sal. – Wszystkie autorytety wiedzą, co ta sytuacja oznacza. Nie ma szans połączenia się ze Schwarzem. Prezydent będzie musiał wystąpić w telewizji i osobiście powiedzieć obywatelom, że między nimi i ludźmi pierwotnymi panuje stan wojny. A może ten śmieć *sinantropus* jest na wszystkich kanałach? – Ze złością naciskał guziki pilota. Ta sama postać pojawiała się w każdym programie. Satelita okupował poszczególne linie dostępu. Heim nie był tym zdziwiony. „Powinienem przewidzieć”, powiedział do siebie gorzko. „Tylko patrzeć, jak zacniemy ich odbierać na wideofonach!”

– A teraz najważniejsze – mówił białowłosy pekińczyk. – Otóż potrafię posługiwać się cudowną mocą, jestem bowiem wspaniałym magikiem. Umieję sprawić, by gwiazdy spadały ze sklepienia niebieskiego. Zdołam też zasłonić moim wrogom oczy. Co na to powiecie, słabi *homo sapiens*? Szkoda że się nad tym nie zastanowiliście, zanim wtargnęliście do naszego świata. *Facilis descensus averno*. Widzicie, dzięki moim cudownym siłom, zupełnie nie znanym waszej lichej rasie, mogę mówić nawet po niemiecku...

– Po łacinie – mruknął Sal. – To łacina, ty skończony głupcze! – A więc nie wiesz wszystkiego. Zejdź z wizji, żeby prezydent Schwarz mógł ogłosić stan wojny.

Obraz jednak nie zniknął. Stojąca obok krzesła Sala Patrycja powiedziała:

– Myślę, że nastąpił koniec kariery Jima.

– Czy nie powiedziałem przed chwilą, że polityka nie ma teraz znaczenia? – Spojrzał na nią srogo. – Żeby sobie z tym poradzić, musimy zacząć myśleć zupełnie inaczej. Zauważyłem coś ciekawego. George Walt zwracał się do nas: wy, *homo sapiens*. Czy to znaczy, że on nie zalicza się do naszego gatunku? Ty cholerny mutancie, nie możesz być nawróconym *sinantropusem*, to nie kwestia wiary. Muszę porozmawiać o tym z kimś poza tobą – powiedział, obrażony. – Z kimś, kto potrafiłby mi odpowiedzieć na parę pytań.

– A co z... – zaczęła Pat.

– Czekaj. – Odwrócił się znowu do odbiornika; George Walt ponownie pojawił się na ekranie.

– Wygląda starzej – stwierdził Sal. – Nie pamiętam, który z nich jest sztuczny, chyba ten po prawej. Ten prawdziwy odwalił kawał dobrej roboty, składając bliźniaka z powrotem. Prawie ich wtedy mieliśmy. – Spochmurniał. – Szkoda, że teraz tak nie jest.

– Czy wiesz, do kogo powinieneś zadzwonić? Do Tito Cravellego. On zawsze potrafi rozeznąć się w sytuacji.

– Rzeczywiście. – Heim pokiwał głową. – Daj mi telefon, zadzwonię do Tito. Nie, sam podejść – rzekł podnosząc się z krzesła. – Dlaczego miałabyś mi usługiwać.

Począł do wideofonu. Nagle zatrzymał się i obrócił ku żonie.

– Tak, jestem pewien, że to ten po prawej. Założę się, iż w tej chwili każdy, włącznie z Verne'em Engelem i całą bandą Czystościowców, dałby wszystko, aby móc cofnąć się w czasie o jakiś miesiąc. Do tamtego, tak zwanego, problemu rasowego. Oto do kogo powinienem zadzwonić: do Verne'a Engela. Wiesz, co bym mu powiedział? Ty ostatni głupcze, czy tak wygląda to, o co walczyłeś? Kolor skóry, dobre sobie! Dlaczego nie kolor oczu? Szkoda, że nikt nie pomyślał o takiej segregacji. W porządku, Verne, pójdiesz na drugą stronę i oddasz życie za sprawę utrzymania czystości odpowiedniego koloru oczu. Powodzenia!

Podniósł słuchawkę wideofonu i wybrał numer.

– Jakiego koloru oczy mają pekińczycy? – spytała Pat.

– Chryste, skąd mogę wiedzieć? – odparł Sal, spoglądając na żonę.

– Tak się zastanawiałam, nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

– Tito? – odezwał się Sal, kiedy rozbrzły ekran. – Wyciągnij nas z tego bagna. Dowiedz się, którędy pekińczycy dostają się do naszego świata i załataj to przejście. Potem się zastanowimy, jak zestrzelić Złote Wrota. Zgadzasz się? No, powiedz coś, Tito.

– Wiem, którędy przechodzą – odparł lakonicznie Tito.

– Miałaś rację, on się we wszystkim orientuje – zwrócił się do Pat, przysłaniając ręką mikrofon. – W takim razie, co robimy, jak... – zaczął ponownie mówić do Tito.

– Zawrzemy z nimi umowę – przerwał mu Cravelli.

– Co? – spytał Sal, wpatrując się w ekran. – Nie wierzę.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się jej dotrzymać – dodał Tito. – Jest parę rzeczy, o których nie wiesz, Sal. Ten atak pekińczyków na nas pochodzi z przyszłości. George Walt miał cały wiek, by z nimi pracować, wypełniać luki w ich kulturze, uczyć tyłu technik, ile tylko zdołali wtedy pojąć... A sto lat to bardzo dużo. Nie pytaj, skąd mam te informacje, po prostu uwierz mi na słowo. Wejście, którego używają, znajduje się w RZ, ale nie możemy go zamknąć. Podtrzymują je własnym źródłem mocy. Ta możliwość nie przyszła wcześniej nikomu z RZ do głowy.

– O jaką umowę chodzi?

– Jeszcze nie wiem. Za kilka minut spotkam się z Jimem Briskinem. Spróbujemy się zastanowić, co mielibyśmy im do zaoferowania, a raczej co mielibyśmy zaproponować George'owi Waltowi, bo to z nim będziemy prowadzić pertraktacje. Z tego, co widzę, pekińczycy nie potrzebują rozpoczynać ekspansji do naszego świata, nawet swojego jeszcze nie zapelnili. Nie mają problemów z przeludnieniem, tak jak my. Musi być coś, czego pragnęliby bardziej niż kawałka ładu. Nasi ludzie z pewnością podejmą walkę i nie ustąpią, dopóki już nic nie zostanie prócz spalonej ziemi... o tym możemy ich na początek zapewnić.

– Zawrzemy z nimi umowę – przekazał Sal Patrycji.

– Słyszałam, choć wolałabym w tym czasie ogłuchnąć – odparła zjadliwie.

– Czy to nie pewien postęp? Nasi przodkowie nie zawierali żadnej umowy, po prostu wycięli pekińczyków w pień.

– Ale teraz te prymitywy mają George'a Walta – przypomniała Patrycja.

Heim skinął głową. Niewątpliwie to zmieniało postać rzeczy. Sal jednak miał przeczucie, że Tito bardzo się mylił co do technik, jakie George Walt przekazał pekińczykom. Intuicja mówiła Heimowi, że przekaz wiedzy szedł w drugą stronę. To pekińczycy uczyli George'a Walta.

– Możemy zaoferować Encyklopedię Britannica przetłumaczoną na ich język – powiedział Briskin. – Jeśli w ogóle posługują się słowem pisany. I jeżeli George Walt im jej jeszcze nie sprezentował. Może przekazał już wszystko, czego tylko mogą potrzebować – zwrócił się do Tito Cravellego, siedzącego z ponurą miną po drugiej stronie pokoju. – Sądzę, że w ciągu kolejnego wieku George Walt będzie przechodził to na tamtą, to na naszą stronę.

– Kogo poprosić o pomoc? – zastanawiał się głośno Sal Heim.

– Zadzwoń do Boga – powiedziała Pat, z sympatią poklepując męża po ręce.

– Nie rób tego – zganił ją Sal. – To mnie rozprasza. Musi być ktoś, do kogo moglibyśmy się zwrócić.

W tym momencie zadzwonił wideofon i Tito Cravelli podniósł się, by go odebrać. Wrócił po kilku minutach.

– Właśnie rozmawiałem z moim informatorem z RZ. My tu narzekamy bez sensu, a tam pekińczycy przelewają się przez wejście.

Wszyscy obecni spojrzeli na detektywa.

– To prawda – upewnił ich Tito. – Cały budynek RZ jest ich pełen. Właściwie zaczynają już wychodzić na ulice centrum. Leon Turpin wciąż naradza się z prezydentem Schwarzem, ale jak dotąd... – Wzruszył ramionami. – Inżynierowie wybudowali betonową barierą przed wejściem, ale pekińczycy najwyraźniej ją przenieśli i wciąż przedostają się na drugą stronę. Bohegian, mój informator – wyjaśnił – właśnie opuszcza budynek RZ; zarządzono ewakuacją.

– Boże! – stęknął Sal. – Dobry, słodki Boże!

– Wiesz, z kim według mnie należałoby porozmawiać? – wtrąciła się Pat, spoglądając wokoło. – Z Billem Smithem.

– Kto to jest? – zapytał ostro Cravelli. – A prawda, ten przywieziony pekińczyk. Dillingsworth ma go u siebie. Co też Bill Smith mógłby nam powiedzieć?

– Wiedziałby, czego im brakuje – odparła Patrycja. – Może, na przykład, od wieków już próbują znaleźć sposób na podróż w kosmos. Dalibyśmy im wtedy mały silnik raketowy. A może nie znają muzyki? Pomyśl, co to oznacza. W takim przypadku zaczęlibyśmy od podarowania im pojedynczych instrumentów, jak harmonijka ustna, miniaturowa harfa czy elektryczna gitara...

– Przypuszczam, że George Walt już dawno to zrobił – skwitował kwaśno Cravelli. – Słyszeliście, jak ten pekińczyk mówił po łacinie? Zupełnie nie rozumiałem, ile osiągnął George Walt, dopóki nie nadali tego wystąpienia... Wtedy właśnie skapitulowałem.

– I zdecydowałeś się błagać o układ – powiedział Sal Heim na wół do siebie.

– Tak – przyznał Cravelli. – Pojąłem, że musimy jakoś się z nimi ułożyć. Czy nie przeraził cię widok sinantropusa gadającego po łacinie? Powinien.

– Mam! – krzyknęła nagle Pat Heim. – Ten sinantropus, ten stary siwowłosy filozof, jak go nazywają, jest po prostu mutantem. Osobnikiem bardziej rozwiniętym intelektualnie od innych. George Walt próbuje zamydlić nam oczy.

– Ale oni przelewają się przez wejście – przypomniał zimno Cravelli. – Nieważne, czy gadają po łacinie czy nie. Jeśli Leon Turpin zarządził ewakuację budynku, to znaczy, że stan jest krytyczny.

– Już wiem – oznajmiła triumfalnie Pat – o Boże, naprawdę wpadłam na genialny pomysł! Słuchajcie! Dajmy im Instytut Smithsona w zamian za opuszczenie naszego świata. Co wy na to?

– Instytucję – poprawił ją Cravelli.

– A jeśli to nie wystarczy – kontynuowała podniecona Pat – dorzucimy jeszcze Bibliotekę Kongresu. Są wystarczająco inteligentni, by przyjąć tak wspaniałą ofertę!

– Ona może mieć rację – powiedział Sal, wpatrując się w swoje nogi. – Pomyślcie, ile oni by zyskali. Całą zebraną i posegregowaną wiedzę o naszej kulturze i wynalazkach. To o niebo więcej niż może im dać George Walt. Zdobędą mądrość czterech tysięcy lat. Jeśli mnie ktoś zaproponowałby coś takiego, zgodziłbym się bez wahania.

Zapadło milczenie. Po chwili odezwał się Tito Cravelli:

– Zapominamy o czymś. Nie mamy prawa składać oficjalnej oferty pekińczykom. Nikt z nas nie należy do rządu. Gdybyś już był po wygranych wyborach, Jim...

– Chodźmy z tym do Schwarza – zaproponował Sal.



– Musimy tak zrobić – zareagowała żywo Pat, – Trzeba osobiście udać się do Białego Domu, ponieważ linie telefoniczne są zajęte. Z kim z nas Schwarzwald zechciałby się widzieć?

– Tylko z Jimem – powiedział Sal.

– Dobrze, pójdę tam – zgodził się Briskin, wzruszając ramionami. – To lepsze niż siedzenie tu i gadanie.

Wszystko zdawało mu się w tej chwili daremne, ale trzeba było działać.

– Do kogo zamierzacie udać się z ofertą? – spytał Cravelli. – Do Billa Smitha?

– Nie – odparł Jim. – Do tego białowłosego filozofa, który przebywa teraz na satelicie. Najwyraźniej on posiada władzę.

– George'owi Waltowi nie spodoba się to, co usłyszysz – zauważył Cravelli. – Będziesz musiał mówić szybko, aby nie zdołał cię uciszyć.

– Wiem – przyznał Jim. Podniósł się i ruszył w kierunku drzwi. – Zadzwoń do was z Waszyngtonu i powiem, jak mi poszło.

Gdy Briskin opuszczał biuro, dotarł do niego jeszcze głos Sala:

– Myślę jednak, że powinniśmy zabrać Spirit of St. Louis, kiedy pekińczycy nie będą patrzeć. Nie zauważą, że zniknął, co oni mogą wiedzieć o awiacji.

– I samolot braci Wright także – dorzuciła Pat, kiedy Jim zamykał za sobą drzwi.

Zatrzymawszy się na zewnątrz, Briskin usłyszał, jak mówiła:

– Myślicie, że uda mu się dostać do prezydenta?

– Nie ma szans – ocenił Sal. – Ale cóż lepszego mogliśmy wymyślić?

– Dostanie się do Schwarzwalda – powiedział Cravelli. – Na pewno.

– Wiecie, co jeszcze możemy im zaoferować? – odezwała się Pat. – Pomnik Waszyngtona.

– A co, do diabła, pekińczycy mieliby z nim zrobić?

Jim wszedł do windy znajdującej się na końcu korytarza. „Żadne z nich nie zaproponowało, że pójdzie ze mną”, myślał. „Ale czy to coś zmienia? Nic by nie działali, stojąc twarzą w twarz ze Schwarzwaldem... Nie wiadomo, czy mi się uda. A nawet jeśli Schwarzwald mnie przyjmie i uzna pomysł za dobry, dokąd to zaprowadzi? Jaka była szansa namówienia sinantropusa na układ w obecności George'a Walta?”, rozważał Briskin. „Ale i tak zamierzam spróbować”, postanowił. „Bo jedyne inne wyjście, wojna powszechna, oznaczałoby zagładę dla naszych kolonistów po drugiej stronie. A to ich życie przecież staramy się ocalić. Poza tym nikt z nas nie chce mordować pekińczyków”, uświadomił sobie. „Za bardzo przypominałoby to dawne dzieje. Nastąpiłby powrót do epoki jaskiniowej. Zniżylibyśmy się do ich poziomu. A przecież jesteśmy dużo bardziej rozwinięci. Jeśli nie, to co za różnica, kto wygra?”

Cztery godziny później z budki telefonicznej w centrum Waszyngtonu zadzwonił Jim Briskin. Czuł się zmęczony i przygnębiony. Mimo wszystko jednak pierwszą przeszkodę mieli

już za sobą.

– A więc spodobał mu się pomysł? – dopytywał Tito Cravelli.

– Schwarz desperacko chwyta się każdej deski ratunku – powiedział Jim. – A nie ma ich zbyt wiele. Wszyscy w Waszyngtonie są już przygotowani na strącenie satelity Złote Wrota. Zrobią to, jeśli nie powiedzie się moja próba negocjacji i skłócenia pekińczyków z George'em Waltem.

– Jeśli strącimy satelitę – mówił Cravelli – będziemy musieli walczyć do ostatniej kropli krwi. Albo ich rasa, albo nasza zostanie wycięta w pień. A na to w dzisiejszych czasach nie możemy pozwolić. Przy broni, jaką dysponujemy, i jaką oni mogą mieć...

– Schwarz zdaje sobie z tego sprawę. Dostrzega wszystkie niuanse zaistniałej sytuacji. Nie może jednak siedzieć tak beczynnie, kiedy pekińczycy przelewają się na naszą stronę. Stąpamy po bardzo niepewnym gruncie. Nie jest w naszym interesie wplątać się w wojnę na bomby wodorowe. Ale nie zamierzamy się też poddać. Schwarz kazał dogadać się co do Smithsona, ale polecił zatrzymać Bibliotekę Kongresu tak długo, jak tylko się da. Zrzekniemy się jej tylko w ostateczności. Skłaniam się ku jego opinii. Wysyłają mnie na satelitę, mam się tym zająć – dodał.

– Dlaczego ty? Co z Departamentem Stanu? Nie mają tam nikogo od takiej roboty?

– Sam poprosiłem.

– Jesteś szaleńcem. George Walt już cię nienawidzi.

– To prawda – przyznał Jim. – Ale myślę, że wiem, jak sobie z tym poradzić. Mam pomysł na skuteczne zachwianie stosunków między George'em Waltem a pekińczykami. W każdym razie warto spróbować.

– Nie mów mi, jaki to pomysł – rzekł Cravelli. – Objąśnisz mi jego szczegóły, jeśli zadziała. Jeśli nie, nie chcę o nim słyszeć.

Jim uśmiechnął się sztywno.

– Jesteś twardy, możesz okazać się zbyt bezwzględny prokuratorem generalnym. Będę musiał jeszcze raz przemyśleć twoją kandydaturę.

– To już zaklepane – odparł Cravelli. – Nie możesz się wycofać. Powodzenia na satelicie. – Odwiesił słuchawkę.

Jim Briskin wyszedł z budki telefonicznej i udał się pustym chodnikiem ku zaparkowanemu transporterowi.

– Zabierz mnie na satelitę – powiedział otwierając drzwi i wchodząc do środka.

– Złote Wrota są zamknięte – zaczął wolno kierowca. – Nie ma już tam dziewczyn. Siedzi tam tylko jakiś głupiec wygadujący, że jest królem świata, czy coś równie szalonego. – Odwrócił się do Jima. – Ale ja znam pewne zapomniane miejsce w północno-zachodniej części miasta, w które mogę pana...

– Zabierz mnie na satelitę, dobrze? – powtórzył niecierpliwie Jim. – Po prostu jedź, a decyzję zostaw mnie.

– Wy kolorowi... – mruknął kierowca, kiedy transporter zaczął unosić się w powietrze – zawsze jesteście tacy obrażalscy. W porządku, koleś, jedziemy. Ale będziesz rozczarowany, kiedy już się tam znajdziesz.

Nic nie mówiąc, Jim oparł się na siedzeniu.

Na lądowisku satelity George Walt powitał Briskina osobiście.

– Tu George – powiedziała głowa. – Wiedziałem, że będą chcieli układów, ale nie spodziewałem się, że wyślą ciebie, Briskin.

– Tu Walt – odezwała się wojowniczo głowa. – Nie mam ochoty robić z tobą interesów, Briskin. Wracaj i powiedz im...

Obaj bracia walczyli o pierwszeństwo wypowiedzi.

– Czy to ważne, kogo wysłali? – niewątpliwie powiedział to George. – Chodźmy do biura, Briskin, tam będzie wygodnie. Mam wrażenie, że ta sprawa zajmie nam chwilę.

„Wprost nie do wiary, jak George Walt się postarzał”, pomyślał Jim. Mutant był teraz pomarszczony i jakiś kruchy. Poruszał się wolno, z wahaniem, tak jakby bał się, że upadnie. Jim zastanawiał się nad wytłumaczeniem tego faktu. Nagle zrozumiał. „George Walt to już przecież starzec. Odkąd ostatni raz go widziałem, minęło sto lat. Ciekawe, jak długo jeszcze George Walt może pociągnąć. Z pewnością nie zostało mu już wiele czasu. Jego psychika jednak nie uległa stopniowi”, rozważał Briskin. Wciąż wyczuwał ogromną energię bijącą od bliźniaków, nadal równie przerażających.

W biurze George’a Walta siedział ogromny, białowłosy stary sinantropus. Spod krzaczastych brwi przyglądał się uważnie i podejrzliwie wchodzącemu Briskinowi.

„Nie będzie łatwo dojść do porozumienia z tym osobnikiem”, pomyślał Jim. Na twarzy sinantropusa o masywnych szczękach i opadającym czole wryta była nieufność.

– Mamy ich wreszcie – zwrócił się George Walt do sinantropusa. – Potwierdza to człowiek, który tutaj przyszedł, Jim Briskin.

Oczy mutantu płonęły.

– Co nam dacie, jeśli opuścimy wasz świat? – spytał ochryplym głosem sinantropus.

– To, co jest nam drogie ponad wszystko – odparł Jim. – Nasze najcenniejsze dobro.

Sinantropus i George Walt przenikliwie wpatrywali się w wysłannika.

– Instytucję Smithsona w Waszyngtonie – powiedział w końcu Jim.

– Czekaj chwilę. /Nie jesteśmy zainteresowani – wykrzyknęli jednocześnie bracia. – To nie wystarczy, nie ma dyskusji. Chcemy zwierzchności politycznej i ekonomicznej nad Ameryką Północną. Inaczej będziemy kontynuować inwazję. Oferujecie nam zwykłe muzeum. /Kto by

chciał muzeum, to śmieszne! – Oboje oczu zabłysło szaloną wściekłością.

Sinantropus jednak odezwał się wolno i z godnością:

– Czytam w myślach pana Briskina. Są bardzo ciekawe. Proszę o ciszę. Boże Wiatru, nie ulega wątpliwości, że twoja opinia jest niezwykle cenna, ale to ja muszę podjąć decyzję.

– Konferencja skończona./ Usłyszałem dosyć – mówił George i Walt jednocześnie. – Wracaj na Ziemię, Briskin. Nikt cię tu nie chce. /Odwołujemy wszystko.

– Głęboko w twojej głowie tkwi myśl – zwrócił się sinantropus do Jima – że w ostateczności dorzucisz także Bibliotekę Kongresu. Rozważę i tę możliwość.

– Wolelibyśmy ją zatrzymać – powiedział Jim. – Ale jeśli nie będzie innego wyjścia, oddamy także księgozbiory – dodał zrezygnowany.

– Do widzenia, Briskin – krzyknął George Walt. – Do zobaczenia. Najwyraźniej próbujesz dogadać się na boku. Usiłujesz odciąć od negocjacji mnie i mojego brata, ale my się nie damy wyłączyć z gry.

– Zgadzam się – dodała głowa z emfazą. – Tracisz czas, Briskin.

George Walt wyciągnął na pożegnanie jedną z czterech rąk.

– Do następnego razu.

– Do następnego razu – powtórzył Jim, ściskając wysuniętą prawicę.

W tym momencie wziął głęboki oddech i szarpnął z całych sił. Ramię oderwało się i pozostało w dłoni Briskina. Oszołomiony sinantropus rzekł:

– Boże Wiatru, twoja ręka jest doczepiona!

– To nie jest Bóg Wiatru – powiedział Briskin. – Zostaliście wprowadzeni w błąd. My także przez długi czas nie wiedzieliśmy, że mamy do czynienia ze zwykłym człowiekiem, który posiada dorobione sztuczne ciało. – Wskazał na druty wystające z ramienia George'a Walta.

– Mówisz o *homo sapiens*? – spytał zbity z tropu sinantropus. – Takim jak ty? – W rudawych oczach filozofa powoli pojawiała się zrozumienie.

– Nie tylko nie jest Bogiem Wiatru – ciągnął Jim. – On przez dziesiątki lat był właścicielem... wzdramam się przed powiedzeniem tego na głos.

– Powiedz!

– Nazwijmy to... domem uciechy. George Walt jest biznesmenem, niczym więcej.

– Nic bardziej przykrego niż ten ponury żart nie mogłeś sprawić naszemu ludowi – zwrócił się sinantropus do George'a Walta. – Podawałeś się za Boga Wiatru. Twój niecodzienny wygląd jakby potwierdzał to, o czym opowiadały mity – mówił powoli, z gniewem.

– Niecodzienny? – zdziwił się mutant. – Chciałeś chyba powiedzieć: jedyny w swoim rodzaju. Zapewniam cię, że na żadnej z ziem równoległych, a Bóg jeden wie, ile ich jest, nie znajdziesz nikogo podobnego do mnie... a raczej do nas – poprawił się szybko. – Pomyśl o Złoty Wrotach, co według ciebie trzyma je w górze? Wiatr, oczywiście, jak inaczej satelita

mógłby przebywać w powietrzu? Panuję nad wiatrem, tak jak wam powiedziałem, w przeciwnym razie miejsce, gdzie obecnie przebywamy...

– Mógłbym cię zniszczyć – rzekł stary sinantropus; najwyraźniej argumentacja George Walta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. – Ale szczerze mówiąc, czuję się zbyt rozczarowany, by zawracać sobie tym głowę. Jasne stało się dla mnie, a wkrótce zrozumieją to również moi ludzie, że wy, *homo sapiens*, jesteście niezwykle przewrotnym ludem. Chyba najlepiej was unikać. Czy to prawda? – zwrócił się do Jima.

– Tak, słyniemy z przewrotności – zgodził się Jim.

– Czy właśnie ta cecha pozwoliła wam zatryumfować nad naszymi przodkami?

– Masz zupełną rację – powiedział Jim. – I zrobilibyśmy to raz jeszcze, gdybyśmy tylko mieli okazję – dodał.

– Prawdopodobnie nie przekazalibyście nam uczciwie tego muzeum, którego nazwy już nawet nie pamiętam – stwierdził sinantropus. – Cóż, nieważne. Najwyraźniej nie da się robić interesów z wami, *homo sapiens*. Jesteście ośliszłymi kłamcami. W tej sytuacji żadna nasza umowa nie pozostaje w mocy. Brak nam nawet nazwy na takie postępowanie.

– Nic dziwnego, że tak mało mieliśmy kłopotów z wycięciem was w pień – powiedział Jim.

– W związku z waszymi skłonnościami do oszustw – kontynuował sinantropus – nie widzę powodu, żebym miał zostawać na tej Ziemi. Im dłużej tu jestem, tym gorzej. Osobiście żałuję spotkania z wami. Moi ludzie już z tego powodu ucierpieli. Bóg wie, co by się z nami stało, gdybyśmy byli na tyle naiwni, by pozostać w waszym świecie.

Z nieszczęśliwym wyrazem twarzy stary sinantropus odsunął się od Briskina i George'a Walta.

– Uczestnictwo w tak destrukcyjnych przedsięwzięciach nie leży w naturze naszej rasy – rzucił przez ramię.

Potem zniknął.

Nawet George Walt zdawał się być pod wrażeniem. Jego oczy błyszczały. Sinantropus za pomocą magii powrócił do swego świata.

– Nieźle – odezwał się po chwili George Walt. – Dobrze sobie z tym poradziłeś, Briskin. Nie spodziewałem się, że sto lat pracy pójdzie na marne. Oddaj mi moją rękę i zapomnimy o sprawie. Jestem już za stary na takie rozgrywki.

– Może masz rację – powiedział drugi z braci. – Bądź co bądź, jeśli chodzi o politykę, Jim Briskin to profesjonalista. Jest od nas o wiele szybszy i lepszy. Tutejsze wydarzenia są najlepszym tego dowodem.

– Uczciwość zawsze zwycięża – rzekł patetycznie Jim.

– Wciskanie bzdur półzwierzęciu nazywasz uczciwością? Nigdy nie słyszałem czegoś tak pokrętnego... – Przerwał na chwilę. – Ufałem ci, Briskin, podobnie jak wszyscy. Nigdy by mi nie

przyszło do głowy, że sięgniesz po takie środki, by osiągnąć cel. Twoja uczciwość to mit! Prawdopodobnie zmyślony przez twego menedżera.

– A ty naprawdę jesteś Bogiem Wiatru?

– W zasadzie tak. Każdy z nas jest dla nich bogiem. Jeśli brać pod uwagę ewolucję.

– Przyznaj się, pomogłeś im zestrzelić satelitę obserwacyjnego – nie ustępował Jim.

– Tak – przytaknął George Walt. – Za pomocą czarów.

– Masz na myśli zdalnie sterowany pocisk ziemia-powietrze? Co za magia! – Spojrzał na zegarek. – Muszę wracać na Ziemię i wygłosić ważne przemówienie. Czy potrudzisz się, by odprowadzić mnie do transportera?

– Nie – odparł sucho George Walt. – Zajmę się ponownym mocowaniem ręki. Poza tym czuję się chory i wściekły. Zamierzam uruchomić całodobowe przekazy na wszystkich częstotliwościach, kiedy tylko satelita będzie znów mógł transmitować. Zostaniesz zdemaskowany. Wprost nie mogę się doczekać twojej przegranej w listopadowych wyborach. To jedyna rzecz, na jaką jeszcze liczę.

– Jak chcesz – powiedział Jim, wzruszając ramionami.

Opuścił biuro i ruszył ku windzie. George Walt natomiast z niezwykle zgnębionym wyrazem twarzy wyciągnął z biurka zestaw narzędzi, po czym zaczął naprawiać uszkodzone przez Briskina ciało.

Don Stanley, razem z resztą personelu ukryty za bocznym skrzydłem budynku RZ, ku własnemu zdziwieniu zauważył nagle, że nastąpiła przerwa w ostrym hałasie czynionym przez pekińczyków.

– Coś musiało się wydarzyć – domyślał się Howard, który także zwrócił uwagę na nieoczekiwaną ciszę. – Lepiej przygotujmy się na nowy atak. Prawdopodobnie tym razem będą chcieli nas zgnieść ostatecznie. Zanim ten idiota Schwarz zbierze armię...

– Czekaj – przerwał mu Stanley, nasłuchując. – Wiesz, co myślę? Pekińczycy sobie poszli.

– Dokąd? – spytał zaintrygowany Howard.

Podnosząc się na nogi, Stanley spojrzął na budynek administracyjny, na zatrzęsnięte okna. W umyśle asystenta pojawiło się przekonanie, że z jakichś dziwnych powodów gmach jest opuszczony. Ostrożnie, zdając sobie sprawę z ryzyka, na jakie się narażał, zaczął krok po kroku zbliżać się do głównego wejścia.

– Wyprują z ciebie flaki – ostrzegł Howard. Lepiej zawróć, wariacie.

Ale on także wstał, a za nim uzbrojeni policjanci.

Stanley otworzył drzwi i zajrzał do środka. Ani śladu po pekińczykach. Korytarz był pusty i cichy. Inwazja ludzi pierwotnych z ziemi równoległej skończyła się równie gwałtownie, jak się zaczęła, tyle że nieco bardziej tajemniczo.

– Cóż, chyba ich wystraszyliśmy – zasugerował Howard, podchodząc do Stanleya.

– Bzdura, zmienili po prostu swoje wspólne zdanie. – Stanley ruszył w kierunku windy, by zjechać do laboratorium.

– Mam pewne przeczucie – rzucił przez ramię do Howarda. – Jak najszybciej chcę sprawdzić, czy się nie mylę.

Kiedy dotarli do laboratorium, Stanley przekonał się, że intuicja go nie zawiodła. Przejście łączące dwa światy zniknęło...

– Oni je zamknęli – wymamrotał Howard, rozglądając się ciekawie i jakby w oczekiwaniu, że wejście pojawi się w jakimś innym miejscu.

– A więc teraz pozostaje otworzyć stare wejście i spróbować z powrotem zlokalizować kolonistów przed czasem, kiedy zostali wymordowani – mruknął Stanley.

Podejrzewał, że szansę na to są niezbyt wielkie. A jednak należało spróbować.

– Jak myślisz, dlaczego zrezygnowali z inwazji? – spytał Howard.

Stanley wzruszył ramionami.

– Może im się tu nie podobało.

Któż to mógł wiedzieć, na pewno nie on. W każdym razie czekała na nich robota. Życie tysięcy kobiet i mężczyzn znajdujących się po drugiej stronie zależało od nich. Musieli zapewnić kolonistom bezpieczny powrót do tego świata. Stanleyem szarpnęło złe przeczucie, kiedy przypomniał sobie szkielety ludzkie wydobyte z moczarów. „Zapewne uda się uratować tylko część emigrantów”, zrozumiał. „Ale to lepsze niż nic. Nawet jedno życie jest warte ocalenia.”

– Jak długo zajmie ponowne skontaktowanie się z kolonistami? – spytał Howard. – Dzień? Tydzień?

– Przekonajmy się – powiedział krótko Stanley i ruszył w kierunku generatora mocy uszkodzonego scuttlera.

Rozpoczął się mozolny trud zwracania kolonistów do ich świata.

W listopadzie, pomimo obraźliwych przekazów ze Złotych Wrót, a może właśnie dzięki nim, Jimowi Briskinowi udało się pokonać Billa Schwarza i wygrać wybory.

– A więc nareszcie czarny został prezydentem Stanów Zjednoczonych – obwieścił tryumfalnie Salisbury Heim. – Nastąpiła nowa epoka.

Przynajmniej taką należało mieć nadzieję.

– Teraz powinniśmy to uczcić, organizując wspaniałe przyjęcie – mówiła rozmarzona Patrycja.

– Jestem zbyt zmęczony, aby świętować – powiedział Sal. Droga od nominacji do wyborów była niezwykle trudna. Sal pamiętał każdy moment. Najgorszy wydawał się upadek programu emigracyjnego ogłoszony w przemówieniu Jima w Chicago. Sal dotąd nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie przekreśliło to zupełnie szans Birskina na elekcję. Może dlatego, że Bill Schwarz zbyt pochopnie wplątał się w tę sprawę i ostatecznie cała wina spadła na niego, a nie na Jima.

– Należy nam się trochę rozrywki – argumentowała Pat. – Pracujemy od miesiący. Jeżeli nadal będziemy...

– Jedno piwo w małym barze, a potem do łóżka. Na tyle mogę się zgodzić – odparł Sal.

Nie miał specjalnie ochoty pokazywać się publicznie. Niewątpliwie natknąłby się na jednego z eks-kolonistów albo na jakiegoś krewnego osoby, która z ufnością udała się na drugą stronę. Takie spotkania były bardzo nieprzyjemne. Próbował zawsze wyjaśnić coś, co po prostu nie dało się wytłumaczyć. Dlaczego nas w to wpakowaliście? – brzmiało główne pytanie, zadawane na różny sposób, ale sprowadzające się do tego samego. A jednak mimo wszystko wygrali.

– Myślę, że powinniśmy spotkać się z paroma osobami – nie dawała za wygraną Pat. – Na pewno z Jimem. Poza tym z Leonem Turpinem, jeśli zgodzi się do nas dołączyć. Przecież właśnie on, albo przynajmniej jego inżynierowie pomogli nam sprowadzić tych ludzi z powrotem. To RZ nas ocaliło, Sal. Trzeba im oddać sprawiedliwość.

– W porządku – zgodził się Sal. – Nalegam tylko, aby na przyjęciu nie pojawił się ten mały biznesmen z Kansas City, właściciel wadliwego scuttlera.

Sal nawet nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywał człowiek, od którego zaczęły się wszystkie kłopoty.

– Według mnie winny jest Lurton Sands – oznajmiła Pat.

– W takim razie jego również nie zapraszaj – powiedział Sal.

Zresztą na to się nie zanosilo. Transplantolog wylądował w więzieniu za zbrodnie popełnione na uspiionych i bezsensowny zamach na życie Jima. Cally Vale również została pozbawiona wolności za zabicie laserem montera. Na szczęście skończyły się kłopoty u zarania związane z Sandsem i jego kochanką.



– Wiesz – zaczęła dziwnym głosem Pat. – Jest jedna sprawa, która nie daje mi spokoju. Wciąż odnoszę wrażenie, że... – Jaśminowe wargi pani Heim rozchyliły się w uśmiechu wyrażającym niepokój. – Mam nadzieję, że nie udzieli ci się moje zdenerwowanie, ale...

– Ale w głębi duszy – dokończył za nią Sal – obawiasz się, że kilku z tych pekińczyków wciąż jest po naszej stronie.

– Tak.

– Ja również mam podobne obawy – przyznał Sal. – Szczególnie późno w nocy, kiedy idę ulicą i widzę kogoś ukradkiem znikającego za rogiem. Co śmieszniejsze, z tego, co mi mówił Jim, on również miewa podobne stany lękowe. Może w nas wszystkich tkwi poczucie winy związane z pekińczykami... Bądź co bądź to my pierwsi wtargnęliśmy do ich świata. Dręczą nas teraz wyrzuty sumienia.

Stojąc w cieniutkim szlafroku i trzęsąc się z zimna, Pat rzekła:

– Mam nadzieję, że to tylko kwestia sumienia, bo naprawdę nie chciałabym się natknąć na jakiegoś pekińczyka wśród ciemnej nocy. Od razu bym pomyślała, że znowu otwarli wejście i po cichu przepuszczają przez nie swoich ludzi.

„Tak jakbyśmy i bez tego nie mieli kłopotów z przeludnieniem”, pomyślał Sal.

– Wciąż nie mogę zrozumieć – mruknął – dlaczego nie przyjęli od nas Smithsona i Biblioteki Kongresu. Na Boga, przecież oni zniknęli, nic od nas nie otrzymawszy.

– To duma – stwierdziła Pat.

– Nie – potrząsnął głową Sal.

– W takim razie głupota, pierwotna głupota. Pod ich opadającymi czołami brak nawet przedniego płata mózgu.

– Niewykluczone. – Sal wzruszył ramionami. – Trudno jednak oczekiwać, by jeden gatunek porozumiał się z innym? Oni mają swoją logikę, my swoją. Te dwie nigdy się nie spotkają...

Przynajmniej nie za jego życia. Może w przyszłym pokoleniu, które będzie bardziej otwarte, by zaakceptować odmienne sposoby myślenia. Ale w przypadku obecnych mieszkańców tego świata taka możliwość nie istniała.

– Czy mam zaprosić pana Turpina? – zagadnęła Pat. – Czy robimy tutaj przyjęcie?

– Nie wiem, czy Turpin zechce uczcić zwycięstwo Jima – rzekł powątpiewająco Sal. – On i Schwarz trzymali komitwę przez cały czas kampanii.

– Pozwól, że cię o coś spytam – powiedziała nagle Pat. – Czy myślisz, że George Walt naprawdę jest Bogiem Wiatru? Urodził się przecież z dwoma ciałami. Sztuczna część została dołączona później. Na początku był więc dokładnie tym, czy udaje, że jest teraz. Jim zataił część prawdy przed sinantropusem.

– Owszem, masz zupełną rację – zgodził się Sal. – Ale nie zepsuj wszystkiego niepotrzebnymi skrupułami, słyszysz?

– Dobrze – powiedziała Pat.

Na zewnątrz grupa zwolenników wykrzykiwała slogany gratulacyjne. Hałas docierał do mieszkania. Sal wyszedł do pokoju gościnnego.

Zobaczył kilku kolorowych, ale towarzyszyli im również biali. To właśnie miał nadzieję zobaczyć. O to właśnie walczyli przez całą kampanię. Proces zjednoczenia trwał prawie dwieście lat dłużej niż powinien. Umysł ludzki był niezwykle oporny na zmiany. Wszyscy reformatorzy, łącznie z nim samym, jakby ciągle o tym zapominali. Zawsze zdawało się, że zwycięstwo jest o krok. Potem sprawy zaczynały się komplikować. „Stawiając na Jima Briskina, stawiasz na ludzkość”, przypomniał sobie jeden ze sloganów kampanii. Zdanie sprowadzone do banału, a jednak niezwykle prawdziwe. Hasło to zaprowadziło ich ostatecznie do wygranej. „Co teraz?”, pytał sam siebie. „Wszystkie najważniejsze problemy pozostały. Tyle że uśpieni zalegający w przepelnionych magazynach przeszli teraz pod kuratelę Jima Briskina i Patrii Liberalno-Republikańskiej. To samo dotyczy zastępów bezrobotnych kolorowych, żeby nie wspomnieć o uboższej warstwie białych... ludziach takich jak Hadley, pierwszy biały, który wyemigrował i prawie pierwszy, który powrócił po ponownym otwarciu przejścia. Kolejne cztery lata będą dla Jima trudne”, pomyślał Heim. „Odziedziczył po Schwarzu morze problemów. Jeśli sądzi, że w tej chwili jest zmęczony, to powinien zobaczyć siebie za rok lub dwa. Ale sądzę, że tego właśnie chciał. Taką mam nadzieję. Czy ta nieoczekiwana konfrontacja z pekińczykami czegokolwiek nas nauczyła?”, zastanawiał się dalej. „Pokazała, że różnica pomiędzy mną a przeciętnym czarnym jest diabelnie mała, praktycznie żadna. Dopiero spotkanie z inną rasą pozwala to sobie uświadomić, na przykład takiemu zwykłemu skąpemu snobowi, który siada ciężko koło ciebie w transporterze, chwyta pozostawioną przez kogoś gazetę, czyta nagłówek i zaczyna rozprawiać na lewo i prawo o swoich nędznych poglądach. Może to właśnie w ostateczności pozwoliło wygrać Jimowi? A w takim razie cała ta wielka awantura na coś się zdała.”

– Wciąż tylko marzysz o własnej wielkości – odezwała się Pat. – Właśnie dzwonię i zapraszam znajomych na przyjęcie. Pan Turpin nie może czy też, co bardziej prawdopodobne, nie chce przyjść. Wysłała jednak paru wybitnych pracowników, między innymi asystenta administracyjnego, Donalda Stanleya. Twierdzi, że powinniśmy się z nim spotkać, choć nie mówi dlaczego.

– Znam powód – stwierdził Sal. – Tito Cravelli też wspominał o tym człowieku, a ja osobiście spotkałem Stanleya podczas wyprawy do tamtego świata. To właśnie ten asystent zarządzał uszkodzonym scuttlerem i w pewnym sensie był odpowiedzialny za realizację całego projektu. Tak, Stanley niewątpliwie powinien pojawić się na przyjęciu. Mam nadzieję, że zadzwoniłaś również do naszego światowca, Tito.

– Zaraz to zrobię – powiedziała Pat. – Przychodzi ci jeszcze ktoś do głowy?

– Im więcej gości, tym lepiej – odparł Sal; nareszcie zaczął się wciągać.

Późno w nocy Darius Pethel pracował samotnie w swym sklepie. Nagle coś stuknęło w okno. Wyrzwał, zdziwiony, i na tonącym w ciemności chodniku ujrzał Stuarta Hadleya. Ruszył więc do drzwi wejściowych. Otworzywszy je, zagadał do swojego dawnego pracownika:

– Myślałem, że wyemigrowałeś.

– Zapomnij o tym. Wiesz, że wróciliśmy.

Hadley wzruszył ramionami, po czym wszedł do sklepu.

– Jak tam było?

– Okropnie.

– Tak słyszałem – powiedział Pethel. – Jak sądzę, chcesz z powrotem swoją posadę?

– Czemu nie. Jestem równie dobry jak przedtem.

Hadley zaczął niespokojnie krążyć po zaciemnionej stronie sklepu.

– Pewnie się ucieszysz, gdy ci powiem, że wróciłem do żony. Sparky wyjechała na satelitę. George Walt znowu zamierza otworzyć Złote Wrota. Pomimo że Jim Briskin wygrał wybory. Myślę, że zanoszą się na niezłą rozróbę. Tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi – dodał. – Mam własne problemy na głowie. Cóż, mówisz więc, że mogę ponownie podjąć pracę? – starał się, by zabrzmiało to beztrąsko.

– Nie widzę przeszkód – powiedział Pethel.

– Dzięki! – Hadleyowi wyraźnie ulżyło.

– Czytałem, że paru z was zostało zabitych. Okropność!

– To prawda, Dar. Zaatakowali nas, a zestaw wojskowy starał się odpierać ofensywę, dopóki wejście, a raczej wyjście nie zostało otwarte. Szczerze mówiąc wolałbym tego nie wspominać. Tak wiele nadziei zostało rzuconych w błoto, kiedy ta sprawa padła. Nadziei moich i wielu innych ludzi. Teraz wszystko zależy od nowego prezydenta. My, uzbrojeni w cierpliwość, będziemy czekać, co nowego wymyśli. Nic innego nam nie pozostaje.

– Możecie pisać listy do gazet.

Hadley spojrzał na szefa, dotknięty.

– Żartuj sobie, jesteś dobrze ustawiony, ale co z resztą nas? Niech lepiej Briskin czym prędzej coś wykombinuje, bo inaczej sprawy się pogorszą, zanim zdążą się polepszyć.

– Jak podoba ci się perspektywa posiadania kolorowego prezydenta?

– Głosowałem na niego tak jak inni. Mogę zacząć od jutra? – dodał po chwili, spoglądając na drzwi wejściowe.

– Jasne, przyjdź o dziewiątej.

– Myślisz, że życie jest warte zachodu, Dar? – spytał nagle Hadley.

– Kto wie? Ale jeśli o to pytasz, znaczy, że coś z tobą nie tak. O co chodzi, jesteś chory? Nie

zatrudniam niezrównoważonych psychicznie. Lepiej dojdź do siebie, zanim się tu jutro pojawisz.

– Ach ci współczujący pracodawcy. – Hadley potrząsnął głową. – Przykro mi, że w ogóle zadałem ci takie pytanie.

– Najwyraźniej ucieczka z tą dziewczyną niczego cię nie nauczyła. Jesteś równie stuknięty jak zawsze. Co, nie możesz zaakceptować życia, takim jakie jest? Zawsze tęskniłeś za niemożliwym. Diabelnie wielu pozazdrościłoby ci roboty. Masz cholerne szczęście, że dostałeś ją z powrotem.

– Wiem o tym.

– Więc dlaczego się nie uspokoisz? W czym problem?

– Jeśli raz się człowiek na coś nastawi – wyjaśnił Hadley po chwili milczenia – trudno mu żyć, kiedy z tego zrezygnuje. Wycofać się jest akurat najprościej. Bądź co bądź czasem zmuszają cię do spasowania okoliczności. Ale potem... – chrząknął. – Co może zastąpić utracone marzenia? Nic. Ta pustka jest wielka i przerażająca. Przesłania wszystko inne, niekiedy cały świat. I wciąż rośnie. Czy wiesz, co mam na myśli?

– Nie – powiedział krótko Pethel; w gruncie rzeczy nic go to nie obchodziło.

– Masz szczęście, pewnie czegoś podobnego nie doświadczysz. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Może kiedy będziesz miał sto pięćdziesiąt lat. – Hadley spojrzał na szefa. – Bardzo ci zazdroszczę – dodał.

– Weź proszek – doradził Pethel.

– Chciałbym znać lek, który by mi pomógł. Chyba lepiej pójde na długi spacer. Może całonocny. Wybierzesz się ze mną? Do diabła, widzę, że nie!

– Czeka na mnie robota – wyjaśnił Pethel. – Nie mam czasu na zwiedzanie. Powiem ci coś, Hadley. Słuchaj uważnie. Kiedy przyjdiesz jutro, dam ci podwyżkę. Czy to poprawi ci humor?

– Owszem – rzekł Hadley bez przekonania.

– Tak myślałem.

– Może Briskin powróci do pomysłu nawadniania planet...

– Interesowałby cię ten stary bezużyteczny projekt?

Wychodząc na zewnątrz, Hadley rzekł:

– Szczerze mówiąc, kupię każdy pomysł.

Dariusz Pethel czuł w głębi duszy, że poniósł klęskę w tej wymianie poglądów.

– Przyłóż się lepiej do pracy – rzekł.

– Nic na to nie poradzę – ciągnął Hadley. – Może z czasem się zmienię. Boże, wciąż mam nadzieję, że coś się jeszcze wydarzy! – Wyglądał na zdziwionego, a nawet nieco zniesmaczonego samym sobą.

– Wiesz, co powinieneś zrobić dla odmiany? – powiedział Pethel. – Przyjść jutro do pracy wcześniej, parę minut przed dziewiątą. To może zmienić całe twoje życie. Więcej niż bezmyślna

próba ucieczki z tą dziewczyną do dziwnego świata półmałp. Spróbuj. Przekonasz się, że miałem rację.

Hadley spojrział na Dariusa.

– Ty naprawdę tak uważasz. I w tym problem. Dlatego właśnie się nie rozumiemy. Może powinienem pożałować cię, zamiast starać się wzbudzić w tobie litość. Może pewnego dnia załamiesz się zupełnie, rozpadniesz na kawałki bez żadnego ostrzeżenia. A ja pociągnę jeszcze długo, nigdy się nie poddając i nie zatrzymując. To byłoby ciekawe.

– Jak na osobę, która zwykła być niepoprawnym optymistą...

– Postarzałem się – uciął krótko. – Przyczyniły się do tego doświadczenia w tamtym świecie.

Nie widzisz tego po mojej twarzy?

Skinął Pethelowi na pożegnanie.

– Do jutra rana.

„Mam nadzieję, że wciąż umie majstrować przy scuttlerach”, powiedział Pethel do siebie, kiedy za Stuartem zamknęły się drzwi. „Cóż, zobaczymy, jeśli nie, wylatuje, na dobre. Jest tutaj tylko na próbę. I tak dopisało mu szczęście, że się zgodziłem. Popadł w taką depresję, że nie warto z nim rozmawiać. Ale ta podwyżka poprawi mu humor, jakżeby inaczej!”, myślał wracając do pracy.

Jego i tak słaba skłonność do posiadania wątpliwości została uciszona dzięki temu nagłemu olśnieniu. Ale czy na pewno? W głębi duszy, gdzieś poza strefą pojmowania, wcale nie wydawało mu się to takie oczywiste.

– Wszystko zawdzięczasz moim wspaniałym przemówieniom, Jim – powiedział Phil Danville wyciągnięty na kanapie. – Jaką przewidujesz dla mnie nagrodę? – uśmiechnął się. – Czekam.

– Nie ma takiej rzeczy na świecie, która byłaby w stanie wynagrodzić to, co dla mnie zrobiłeś – odpowiedział Briskin, ale sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Myśli o czym innym – zwrócił się Danville do Dorothy Gill. – Spójrz na niego, nawet się nie cieszy. Zepsuje Salowi Heimowi całe przyjęcie. Może lepiej tam nie idźmy.

– Musimy – odparła Dorothy Gill.

– Nie popsuję nastroju przyjęcia – zapewnił ich Jim, podnosząc się. – Przejdzie mi, zanim tam dotrę.

Wielka historyczna chwila właściwie już przeminęła. Była zbyt nieuchwytna i przepleciona zwykłą rzeczywistością. Poza tym problemy czekające na nowego prezydenta przesłaniały wszystko inne.

Drzwi do pokoju otwarły się i wszedł człowiek pekiński, trzymając przenośną wersję maszyny tłumaczącej. Na jego widok wszyscy zerwali się na równe nogi. Trzech agentów

specjalnych wyciągnęło pistolety, a jeden z nich krzyknął:

– Padnij!

Wszyscy obecni runęli niezdarnie na podłogę, padając na siebie, z dala od prawdopodobnej linii ognia.

– Witajcie, przyjaciele – powiedział pekińczyk, korzystając z maszyny tłumaczącej. – Chcę podziękować szczególnie panu, panie Briskin, za zezwolenie mi na pozostanie w waszym świecie. Zapewniam, że moje zachowanie absolutnie nie wykroczy poza ramy waszego prawa. Co więcej, może kiedyś...

Trzej agenci odłożyli pistolety i powrócili na swoje miejsca w głębi pokoju.

– Dobry Boże – odetchnęła z ulgą Dorothy Gill, stając niepewnie na nogach. – To tylko Bill Smith, przynajmniej tym razem.

Usiadła z powrotem na swoim krześle, wzdychając:

– Na razie jeszcze jesteśmy bezpieczni.

– Naprawdę napędziłeś nam stracha – zwrócił się Briskin do pekińczyka, wciąż jeszcze drżąc. – Nie pamiętam, bym mu pozwalał tu zostać – szepnął do Tito Cravellego.

– On z góry ci dziękuje – powiedział Tito. – Ma nadzieję, że jako prezydent podejmiesz tę decyzję.

– Zabierzmy go ze sobą na przyjęcie – zaproponował Phil Danville. – Powinno ucieszyć Sala Heima, że wśród nas wciąż jest jeden sinantropus; że nie pozbyliśmy się ich zupełnie i prawdopodobnie nigdy się nie pozbędziemy.

– Naprawdę dobrze się złożyło, że nasze dwa ludy... – zaczął pekińczyk, ale Cravelli mu przerwał:

– Zachowaj to dla siebie, kampania się skończyła.

– Udajemy się teraz na wielce zasłużony odpoczynek – dodał Phil Danville.

Pekińczyk zamrugał oczyma i powiedział prędko:

– Jako jedyny przedstawiciel mojej rasy obecny w waszym świecie...

– Przykro mi – wtrącił się Jim – Tito ma rację. Nie możemy tego dłużej słuchać, musimy wyjść. Możesz zabrać się z nami, ale nie wygłaszaj przemówień, rozumiesz? Koniec z tym, mamy teraz inne rzeczy na głowie.

„Odnoszę wrażenie, że to, o czym mówisz, sinantropusie, zdarzyło się miliony lat temu”, myślał Briskin. „Wydaje się niewiarygodne, żeby nasza rasa z waszą spotkały się w dzisiejszych czasach. Pamięć o tym zaczyna już wygasać. Twoja obecność tutaj zakrawa na absurdalne nieporozumienie. Jest bardziej zadziwiająca niż cokolwiek innego.”

– Chodźmy – powiedział Phil Danville. Wziął z wieszaka płaszcz i podążył w kierunku drzwi.

– Zastanowiłbym się dwa razy, zanim bym poszedł na przyjęcie – zwrócił się pekińczyk do

Briskina. – Ktoś tam czeka na pana.

Tajni agenci, zaalarmowani, ruszyli do przodu.

– Kto to jest? – spytał Jim.

– Nie znam nazwiska – odparł pekińczyk.

– Lepiej nie wychodź – ostrzegął Tito.

– To zapewne jakiś życzliwy człowiek – stwierdził Jim.

– Chcesz powiedzieć: zabójca – skwitował Tito.

Jim już otwierał drzwi, ale powstrzymał go jeden z agentów.

– Niech pan pozwoli nam sprawdzić.

Tajni agenci w pełnej gotowości opuścili pokój jeden za drugim.

– Wciąż na ciebie polują – zwrócił się Tito do Jima.

– Bardzo wątpię – rzekł Jim.

W chwilę później agenci wrócili odprężeni.

– W porządku, panie Briskin, może pan z nim porozmawiać.

Jim wyrzwał na korytarz. Nie stał tam ani życzliwy, ani zabójca. Człowiekiem, który czekał, na Briskina okazał się być Bruno Mini.

– Niezmiernie dużo czasu zajęło mi dostanie się do pana – zaczął Mini, wyciągając rękę w kierunku Briskina. – Próbowałem tego dokonać przez pół kampanii.

– Rzeczywiście długo się pan starał – przytaknął Jim.

Mini podszedł do niego, w uśmiechu ukazując białe zęby. Był niski, nosił stylową, choć nieco krzykliwą, purpurową marynarkę ze skóry węża i pantofle ze świni brazylijskiej, z zadartymi noskami. Wyglądał dokładnie tak jak jeden ze sprzedawców suszonych owoców, którym był w istocie.

– Mamy do omówienia mnóstwo spraw – powiedział Mini z przejęciem; złota wykałaczką wystająca pomiędzy jego zębów poruszała się energicznie. – W tej chwili mogę już panu zdradzić, że pierwszą planetą, którą zaplanowałem zasiedlić, jest, co z pewnością pana zadziwi, Uran. Naturalnie zapyta pan dlaczego.

– Nie – uciał Briskin. – Nie zapytam.

Czuł się zrezygnowany. Wiedział doskonale, że wcześniej czy później Mini się z nim skontaktuje. Świadomość, że już to nastąpiło, przyniosła Jimowi niejaką ulgę.

– Gdzie moglibyśmy się udać, by omówić sprawę spokojnie i oczywiście bez świadków? – spytał Mini. – Już potrudziłem się zawiadomieniem mediów o naszym dzisiejszym spotkaniu – dodał. – W moim przekonaniu, wynikającym z wieloletniego doświadczenia, ciągle informowanie opinii publicznej o naszym programie pozwoli na rozpowszechnienie go wśród, jak by to powiedzieć, mniej wykształconych mas społeczeństwa.

Zaczął grzebać energicznie w swojej przeładowanej teczce. Nagle pojawił się jeden

z agentów i odebrał teczkę Miniemu.

– Na Boga – mruknął Mini z niezadowoleniem. – Sprawdzaliście ją już na chodniku przed wejściem, a także tutaj minutę temu.

– Nie możemy pozwolić na żadne ryzyko.

Najwyraźniej tajni agenci podchodzili do Bruno Miniego z wielką nieufnością. Było w tym mężczyźnie coś, co kazało zwrócić na niego baczniejszą uwagę. Teczka została skrupulatnie zbadana, a potem niechętnie zwrócona właścicielowi jako przedmiot zupełnie nieszkodliwy.

Z pokoju z wielkim hałasem wysypali się Tito Cravelli, Phil Danville z Dorothy Gill, pekińczyk Bill Smith w niebieskiej czapce, niosący maszynę tłumaczącą, i na końcu trzech tajni agenci.

– Idziemy do Sala i Pat – wyjaśnił Tito Briskinowi. – Zabierasz się z nami czy nie?

– Może później – powiedział Briskin.

Wiedział, że upłynie jeszcze wiele czasu, nim uda mu się pójść na jakiegokolwiek przyjęcie.

– Pozwoli pan, że przedstawię zalety Urana – rzekł Mini entuzjastycznie i zaczął wręczać Jimowi stertę dokumentów, wyciąganych pospiesznie z teczki. Zanosilo się na cztery ciężkie lata. Jim wiedział o tym. Cztery? Może raczej osiem.

Czas pokazał, że Briskin się nie mylił.